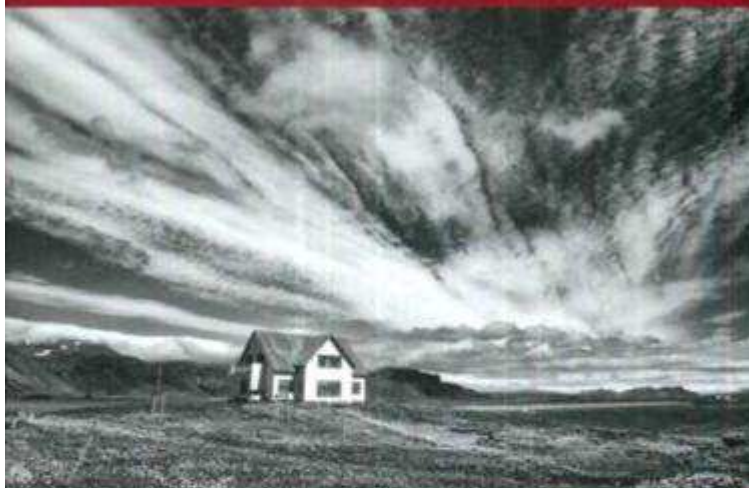


2011  
LATO  
z kryminałem  
POLITYKA 5



Arnaldur Indriðason

# Grobowa cisza

w  
ab

15 zł  
cena det.

2013  
LATO  
z kryminalną  
POLITYKA

Giuseppe Caraglio **Z zamkniętymi oczami**  
Henning Mankel **Piąta kobieta**  
Martha Grimes **Pod Przechytrzonym Lisem**  
Tommaso Konradowski **Wilcza wyprawa**  
Armasdur Indridason **Grobowca cisza**  
Alessandra Menina **Platki gina pierwsza**  
Mancin Wronski **Morderstwo pod szeptem**

**W małym białym przedmiocie, którym bawi się niemowlę, student medycyny rozpoznaje ludzką kość. Wkrótce na pobliskiej budowie zostają odkryte dawno pochowane zwłoki...**

Zanurzając się w mroczną i melancholijną atmosferę Islandii, stopniowo poznajemy przerażającą historię, która rozegrała się przed siedemdziesięciu laty. Świadców tamtych wydarzeń trudno odnaleźć. Ostatni z nich, tuż przed śmiercią, wspomina o „krzywej” kobiecie. Czy ta tajemnicza wskazówka naprowadzi komisarza Erlendura na rozwiązanie zagadki?

Misternie ułożona fabuła sprawia, że czytelnik gubi się w ślepych uliczkach własnych domysłów. Gubi się także w swoim dochodzeniu policyjna ekipa, która błądzi po omacku, szukając śladów sprzed kilkudziesięciu lat. Ci, którzy jeszcze cokolwiek pamiętają, stoją już nad własnym grobem, a każdy z nich pamięta historię inaczej. [...] Grobowca cisza potwierdza, że Indridason potrafi stworzyć bardzo realną fikcję kryminalną.

Marta Stasiak, Portal Kryminalny

Nr indeksu 230464



CENA 15,00 ZŁ  
(w tym 5% VAT)

W  
POLSKA  
ab  
LITWA

Arnaldur Indriðason

Grobowa

cisza

przełożył Jacek Godek

Publikacja dofinansowana

przez Bókmenntasjóður / The Icelandic Literature Fund.

Tytuł oryginału: *Grafarpögn*

Copyright © Arnaldur Indriðason, 2001

Published by arrangement with Forlagiö, [www.forlagid.is](http://www.forlagid.is)

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2010

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B.,  
2010

Wydanie II

Warszawa 2011

Książki oraz bezpłatny katalog Wydawnictwa W.A.B.

można zamówić pod adresem:

02-386 Warszawa,

ul. Usypiskowa 5

oraz pod telefonem 0 801 989 870

[handlowy@wab.com.pl](mailto:handlowy@wab.com.pl)

[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

## 1.

Od razu zauważył, że to ludzka kość. Jak tylko odebrał ją dziecku, które siedząc na podłodze, ssało ją w najlepsze.

Głośna zabawa urodzinowa osiągnęła szczyt. Dostawca przed chwilą przywiózł zamówioną pizzę i odjechał. Chłopcy opychali się smacznym ciastem, popijając je napojami gazowanymi i cały czas przy tym wrzeszcząc wniebogłosy. Po chwili zerwali się od stołu jak na komendę i ponownie zaczęli biegać po domu, niektórzy uzbrojeni w karabiny maszynowe, inni w pistolety, a młodszy bawili się samochodzikami lub gumowymi dinozaurami. Nie bardzo wiedział, o co w tej zabawie chodzi. Wszystko zlewało się w jeden irytujący jazgot.

Matka młodego jubilata nastawiła popcorn w mikrofalce. A jemu powiedziała, że włączy telewizor i puści film, co uspokoi chłopców. A gdyby i to nic nie dało, miała zamiar wyrzucić ich na dwór. Już po raz trzeci wyprawiała ósme urodziny swojego syna i była kłębką nerwów. Trzecie przyjęcie urodzinowe z rzędu! Najpierw cała rodzina wybrała się na obiad do złodziejsko drogiego fast foodu, gdzie na okrągło dudniła głośna muzyka rockowa. Następnie matka zorganizowała przyjęcie dla

rodziny i przyjaciół, z prawdziwie komunijnym zadęciem. A na dziś chłopiec zaprosił kolegów z klasy i przyjaciół z dzielnicy.

Otworzyła mikrofalówkę, wyjęła nadmuchaną torebkę z popcornem, włożyła drugą i pomyślała sobie, że następnym razem zorganizuje to prościej. Tylko jedno przyjęcie. Tylko jedno przyjęcie urodzinowe i koniec. Tak jak za jej młodych lat.

Na domiar złego ten młody człowiek na sofie milczał jak grób. Zagadywała do niego, ale bez skutku. Jego obecność w salonie mocno ją stresowała. Zresztą normalna rozmowa nie wchodziła w rachubę; hałas i wygłupy chłopców były wyjątkowo nieznośne, a ona nie była w stanie ich opanować. On też nie starał się jej w tym pomóc. Siedział, patrzył przez siebie i milczał. Nieśmiałość go wykończy - myślała sobie.

Nigdy wcześniej go nie widziała. Miał może jakieś dwadzieścia pięć lat i był bratem jednego z kolegów jej syna. Różnica między braćmi musiała więc wynosić około dwudziestu lat. Wchodząc do domu, niezwykle szczupły młodzieniec uścisnął jej dłoń. Palce miał długie, dłonie wilgotne. Sprawiał wrażenie skromnego. Przyszedł po brata, lecz młody zdecydowanie odmówił wyjścia. Zwłaszcza że przyjęcie trwało w najlepsze. Postanowili więc, że młodzian wejdzie na chwilę. To się niebawem skończy, powiedziała. Wy tłumaczył jej, że ich rodzice, mieszkający w szeregowcu przy tej samej ulicy, wyjechali za granicę i jemu przypadł w udziale obowiązek opieki nad bratem; normalnie wynajmuje mieszkanie w centrum. Zakłopotany przestępował z nogi na nogę w przedpokoju. Młodszy brat znów ganiał z kolegami.

Teraz młodzieniec siedział na sofie i obserwował roczną siostrę jubilata, raczkującą przed drzwiami jednego z pokojów dzieciennych. Miała na sobie białą sukienkę, kokardkę we włosach i popiskiwała z cicha. Zastanawiał się, jak podejść brata. Czuł się nieswojo w obcym domu. Nie miał pojęcia, czy nie zaproponować pomocy kobiecie. Powiedziała mu, że ojciec chłopca pracuje do późna. Z uśmiechem skinął głową. Podziękował za colę i pizzę.

Zauważył, że dziewczynka mocno trzyma jakąś zabawkę, a kiedy klapnęła na pupę, włożyła ją do buzi, śliniąc się okropnie. Zupełnie jakby śwędziało ją podniebienie. Pomyślał, że dziecko pewno ząbkuje.

Dziewczynka ruszyła w jego kierunku z zabawką w ręku i wtedy zaczął się zastanawiać, co to może być. Szorując pupą po podłodze, zbliżyła się do niego i zatrzymała. Patrzyła na niego z otwartą buzią. Ślina ciekła na sukienkę. Znów włożyła zabawkę do ust, przygryzła i zaczęła się do niego przesuwać z zabaweczką w buzi. Wyciągnęła rączki, skrzywiła się i zapiszczała. Zabawka wypadła jej z ust. Odnalazła ją z pewnym trudem i przysunęła się do niego całkiem blisko. Trzymając zabawkę w ręku, wstała na nóżki, przytrzymując się oparcia sofy. Dumna stała przy nim niepewnie.

Wziął od niej zabawkę i obejrzał ją. Dziewczynka patrzyła na niego, jakby nie wierzyła własnym oczom. Nagle zaczęła się drzeć wniebogłose. Zorientował się szybko, że trzyma w ręku ludzką kość, dziesięciocentymetrowy kawałek żebra. Kolor miał żółtawy, był obły, a odłamana krawędź zdążyła się stępić. W porach znajdowały się brązowe drobiny. Wyglądały na ziarnka piasku.

Domyślił się, że trzymany przez niego kawałek żebra ma już swoje lata.

Matka jubilata, słysząc wrzask dziecka, zajrzała do salonu i zauważyła, że jej najmłodsza stoi przy sofie obok nieznanego gościa. Odłożyła miskę z popcornem, podeszła do córeczki i wzięła ją na ręce. Spojrzała przy tym na młodzieńca, lecz ten zdawał się nie zwracać uwagi ani na nią, ani na płaczącą dziewczynkę.

- Co się stało? - spytała matka zaniepokojona, starając się jakoś udobruchać małą. Mówiła głośno, żeby przekrzywić wrzaski chłopaków.

Gość podniósł głowę, wstał powoli i podał kobiecie kość.

- Skąd ona to wzięła? - spytał.

- Co takiego?

- Kość - powiedział. - Skąd wzięła tę kość?

- Jaką kość? - zdziwiła się. Dziecko uspokoiło się nieco, widząc swoją zabawkę. Usiłowało po nią sięgnąć. Dziewczynka tak się skoncentrowała, że aż zrobiła zęza, a ślina znów pociekła jej z otwartej buzi. W końcu udało się jej chwycić kość. Patrzyła na nią z zainteresowaniem.

- Jestem przekonany, że to kość - wyjaśnił przybysz.

Dziecko ponownie włożyło kawałek żebra do ust i całkiem się uspokoiło.

- Co pan z tą kością? - dziwiła się matka.

- To, co mała obgryza, to kość - powiedział. - Wygląda mi na ludzką.

Matka spojrzała na ciamkające dziecko.

- Nigdy wcześniej tego nie widziałam. Jak to ludzką?

- Myślę, że jest to kawałek ludzkiej kości żebrowej - oznajmił. - Studiuję medycynę - dodał. - Jestem na piątym roku.

- Kość żebrowa? Co to za brednie? Pan to tu przyniósł?



- Ja? Ależ skąd. Nie wie pani, skąd się tu wzięła ta kość?

Matka spojrzała na dziecko i nagle jakby się ocknęła, wyrwała dziecku gnata z buzi i rzuciła na podłogę. Dziewczynka znów zaczęła płakać. Młody człowiek podniósł kość i przyjrzał jej się bliżej.

- Może jej brat będzie wiedział...

Matka dziewczynki była zdenerwowana. Spojrzała na płaczącą córkę. Następnie przeniosła wzrok na kość, potem na okno w salonie, skąd roztaczał się widok na budujące się w pobliżu domy, znów na kość, na nieznanego młodzieńca, a na koniec na syna, który wbiegł właśnie z pokoju dziecinnego.

- Toti! - zawołała chłopca, ale ten nie usłuchał. Weszła w sam środek tłumu dzieci, z trudem wyciągnęła swojego syna i postawiła przed studentem medycyny.

- To twoje? - spytała chłopca, a młody człowiek podał jej kość.

- Znalazłem - odpowiedział Toti. Nie chciał tracić czasu i jak najszybciej wrócić do zabawy urodzinowej.

- Gdzie? - wypytywała matka. Dziewczynkę posadziła na podłodze, mała uniosła głowę, nie do końca zdecydowana, czy znów zacząć płakać.

- Na dworze - rzucił jubilat. - Ładny kamień. Umyłem go - oddychał szybko. Po policzku spłynęła mu kropelka potu.

- Gdzie? Na dworze? - dociekała matka. - Kiedy? Co robiłeś?

Chłopiec patrzył na nią. Nie wiedział, czy zrobił coś złego, ale coś takiego właśnie wyczytał z jej twarzy i zastanawiał się, co to mogło być.

- Wczoraj chyba - powiedział. - W dole przy końcu ulicy. A coś się stało?

Jego matka i nieznajomy mężczyzna patrzyli sobie w oczy.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie dokładnie to znalazłeś? - spytała.

- Ojejku, mam urodziny - bronił się.

- Chodź - powiedziała. - Pokażesz nam.

Porwała młodsze dziecko z podłogi i pchnęła chłopca w kierunku drzwi wejściowych. Gość szedł tuż za nimi. Kiedy jubilat został aresztowany, w tłumie urodzinowych gości zapadło milczenie. Chłopcy obserwowali, jak matka popycha Totiego przed sobą w kierunku wyjścia, zła, z małą na ręku. Potem spojrzeli po sobie i ruszyli za nimi.

Kość została znaleziona w nowej dzielnicy przy drodze do jeziora Reynisvatn. Osiedle Tysiąclecia. Wzniesiono je na zboczu nad dzielnicą Grafarholt. Na samej górze pyszniły się zbiorniki miejskiego przedsiębiorstwa ciepłowniczego, pomalowane na brązowo giganty, górujące nad nową zabudową niczym zamek. Po obu stronach zbiorników wytyczono ulice, przy których jeden po drugim wyrastały domy. Niektóre z nich otaczały już ogródki, świeży torf i małe drzewka, które kiedyś urosną i będą osłaniać mieszkańców od wiatru.

Pochód spiesznie podążał za jubilatem ulicą położoną najwyżej przy zbiornikach. Tam wśród traw rozciągały się nowo wybudowane szeregowce, a po stronie północnej i wschodniej widać było stare domki letniskowe mieszkańców Reykjavíku. Jak we wszystkich nowych dzielnicach dzieciarnia buszowała po niedokończonych domach, wspinała się na rusztowania i bawiła w chowanego w cieniu wznoszonych murów lub ukrywała się w rowach świeżo wykopanych pod fundamenty i chlapała w wodzie, która się w nich zbierała.

To właśnie do takiego wykopu jubilat Toti zaprowadził nieznanego i swoją matkę wraz ze wszystkimi uczestnikami przyjęcia i wskazał miejsce, gdzie znalazł dziwny, biały kamień, który wydał mu się tak niezwykle lekki i gładki, że włożył go do kieszeni i zabrał ze sobą. Dokładnie pamiętał, gdzie znalazł ów kamyk. Wskoczył pierwszy do wykopu i bez wahania podszedł do miejsca, w którym znalazł go w suchej ziemi, matka poleciła pozostałym chłopcom, by trzymali się z daleka, i z pomocą młodego człowieka zeszła do wykopu. Kiedy już się w nim znalazła, Toti wziął od niej kamień i położył na ziemię.

- Tak leżał - powiedział. Wciąż myślał, że znaleziona kość to fajny kamień.

Ponieważ było piątkowe popołudnie, budowa świeciła pustkami. Dwie ławy fundamentowe zostały już wylane, ale tam, gdzie fundamentów jeszcze nie było, przygotowano już pod nie grunt. Młody człowiek zbliżył się do ściany ubitej ziemi, do miejsca, w którym chłopiec miał znaleźć kość, i zaczął ją badać. Rozdrapał jej powierzchnię i głęboko w ścianie ujrzał wyraźny kształt - kość ramieniową.

Matka Totiego, idąc za wzrokiem młodego człowieka, zauważyła kolejną kość. Podeszła bliżej. To chyba była żuchwa z dwoma zębami.

Przestraszona spojrzała znów na młodzieńca, na córeczkę i odruchowo zaczęła wycierać jej buzię.

Właściwie zorientowała się dopiero wtedy, kiedy poczuła ból w skroni. Uderzył ją bez uprzedzenia pięścią w głowę tak szybko, że nawet nie zauważyła, kiedy to się stało. A może nie wierzyła, że ją uderzy? To był pierwszy cios i w nadchodzących latach miała jeszcze nieraz wracać do

tego wspomnieniami. Ciekawe, czy jej życie byłoby inne, gdyby wtedy od razu wyszła?

Oczywiście, gdyby jej na to pozwolił.

Nie miała zielonego pojęcia, dlaczego ją nagle uderzył, i patrzyła na niego zdumiona. Nigdy dotąd jej nie bił. A od ślubu minęły dopiero trzy miesiące.

- Uderzyłeś mnie? - spytała, przykładając rękę do skroni.

- Myślisz, że nie widziałem, jak na niego patrzyłaś? - wycedził.

- Na niego? Na kogo? Mówisz o Snorrim? Ja patrzyłam na Snorriego?

- Myślisz, że tego nie widziałem? Tej chcicy?

Nie znała go jeszcze od tej strony. Nigdy nie słyszała, by używał tego słowa. Chcica. O czym on mówi? Zamieniła kilka słów ze Snorrim w drzwiach do ich mieszkania w suterenie, żeby mu podziękować za podrzucenie drobniaczka, który zapomniała zabrać podczas przeprowadzki; nie chciała zapraszać go do środka, bo jej mąż od rana był jakiś nieswój i mówił, że nie ma ochoty się z nim spotykać. Snorri powiedział coś zabawnego o kupcu, u którego wcześniej mieszkała, roześmiali się, po czym pożegnali.

- Przecież to był Snorri - powiedziała. - Przestań. Dlaczego jesteś taki wściekły cały dzień?

- Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? - spytał i zbliżył się do niej. - Widziałem cię przez okno. Jak dokoła niego tańczyłaś. Jak ostatnia dziwka!

- Nie, nie możesz...

Znów uderzył ją pięścią w twarz, aż zatoczyła się na kuchenny kredens. Stało się to tak szybko, że nie zdążyła nawet zasłonić ręką głowy.

- Tylko mi nie kłam! - krzyczał. - Widziałem, jak na niego patrzyłaś. Widziałem, jak go podrywałaś! Na własne oczy widziałem! Jak zwykła kurwa!

Kolejne słowo, które usłyszała od niego po raz pierwszy.

- Mój Boże - jęknęła. Górną wargę miała pękniętą i czuła w ustach krew. Jej smak mieszał się ze słonym smakiem łez, spływających po twarzy. - Dlaczego to zrobiłeś? Co ja ci takiego zrobiłam?

Stał nad nią gotowy do kolejnych ciosów. Czerwona twarz płonęła wściekłością. Zazgrzytał zębami i tupnął nogą, po czym odwrócił się na pięcie i wypadł z mieszkania. Została sama, nie rozumiejąc, co zaszło.

Często później wracała wspomnieniami do tej chwili. Zastanawiała się, czy cokolwiek by się zmieniło, gdyby od razu zareagowała na tę przemoc, gdyby spróbowała odejść od niego, gdyby wyszła i nigdy nie wróciła, zamiast oskarżać samą siebie o ten stan rzeczy. Coś przecież musiała zrobić, skoro tak zareagował. Coś, z czego może sama nie zdawała sobie sprawy, ale on dostrzegł coś, o czym będzie mogła z nim porozmawiać, kiedy wróci. Obieca mu poprawę i wszystko będzie tak jak przedtem.

Nigdy do tej pory nie widziała, żeby tak się zachowywał, ani wobec niej, ani nikogo innego. Był człowiekiem spokojnym i poważnym. To właśnie tak ją w nim ujęło, kiedy się poznali. Może nawet był zbyt posępny. Pracował we wsi Kjos u brata kupca, u którego i ona była zatrudniona, i czasem przywoził różne produkty rolne. Tak się właśnie poznali. Niedługo będzie już półtora roku. Byli w podobnym wieku. On zastanawiał się nad tym, czyby nie rzucić tej roboty i nie iść na morze. Bo tam jest pieniądze. I chciał mieć własny dom. Być panem

samego siebie. A robota u kogoś ograniczała tylko ludzkie możliwości, była przeżytkiem i się nie opłacała.

Ona z kolei powiedziała mu, że nudzi ją mieszkanie u kupca. Że to brutal, który ciągle napastuje swoje trzy pracownice, a jego żona to straszna jędza, która rządzi nimi twardą ręką. Nie miała specjalnych planów co do tego, czym chciałaby się zajmować. Nigdy nie zastanawiała się nad przyszłością. Od dziecka знаła jedynie ciężką harówkę. Życie kojarzyło się jej wyłącznie z wytężoną robotą.

Coraz częściej przyjeżdżał do kupca i coraz częściej odwiedzał ją w kuchni. I tak od słowa do słowa przyznała się, że ma córkę. On podobno już o tym wiedział. Mówił, że wypytywał o nią. Wtedy po raz pierwszy dał jej odczuć, że ma ochotę bliżej ją poznać. Powiedziała mu, że dziewczynka niebawem skończy trzy lata, i przyprowadziła ją. Dziecko akurat bawiło się z dziećmi kupca na tyłach domu.

Kiedy wróciła do niego z córeczką, zapytał, co ją tak ciągnęło do chłopów, ale z uśmiechem, jakby tylko dobrodusznie żartował. Potem bezlitośnie wykorzystywał to, co nazywał jej chcią, aby ją poniżyć. Do jej córki nigdy nie zwracał się po imieniu, lecz używał poniżającego przezwiska; nazywał ją pomiotem kurwy lub kaleką.

A jej przecież wcale nie ciągnęło do chłopów. Opowiedziała mu o ojcu dziecka, rybaku, który utonął w Kollafjordur. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, kiedy jego łódź zatoniła podczas sztormu wraz z czterema członkami załogi. Stało się to wtedy, kiedy była już w ciąży. Nie byli małżeństwem, więc nie mogła nazywać się wdową. Planowali ślub, ale rybak zginął i zostawił ją z nieślubnym dzieckiem.

On siedział w kuchni i słuchał. Zauważyła, że córka się go boi. Zazwyczaj nie stroniła od ludzi, ale kiedy on ją

zawołał, mocno chwyciła się matczynej spódnicy i za nie chciała jej puścić. Wyjął z kieszeni kawałek kandyzowanego owocu i podał jej, a ona jeszcze mocniej wtuliła się w spódnicę i rozplakała. Chciała wrócić do dzieci. A przecież wręcz uwielbiała kandyzowane owoce.

Dwa miesiące później oświadczył się jej. Nie było w tym niczego romantycznego, jak w książkach, które czytywała. Spotkali się kilka razy wieczorami i w niedziele, spacerowali po mieście lub chodzili do kina na filmy z Chaplinem. Ona śmiała się serdecznie z małego włóczęgi i w pewnej chwili zerknęła na niego. Nawet się nie uśmiechnął. Pewnego wieczoru, kiedy wyszli z kina i czekała razem z nim na okazję, która miała go zabrać do Kjos, zapytał ją po prostu, czy nie powinni się pobrać. Przyciągnął ją do siebie.

- Chcę, żebyśmy się pobrali - powiedział.

Bardzo ją to zaskoczyło. Dopiero dużo później, kiedy było już po wszystkim, dotarło do niej, że nie były to oświadczyzny i nie o jej zdanie w tym wszystkim chodziło.

Chcę, żebyśmy się pobrali.

Przewidywała, że może poprosić ją o rękę. Właściwie ich związek osiągnął już taki stopień zażyłości. Małej brakowało domu. Ona zaś chciała mieć więcej dzieci. Niewielu chłopaków okazywało jej zainteresowanie. Być może z powodu dziecka. A może dlatego że nie uchodziła za specjalnie atrakcyjną kobietę: niska, raczej pulchna, o grubych rysach, lekko wystających zębach i malutkich, spracowanych dłoniach, które zdawały się w ciągłym ruchu. Być może nigdy nie trafiłaby się jej lepsza partia.

- I co ty na to? - nalegał.

Skinęła głową. Pocałował ją. Przytulili się do siebie. Ślub odbył się wkrótce potem w kościele w Mosfellsheidi.

Niewiele osób poza nimi pojawiło się na uroczystości, właściwie tylko jego przyjaciele z Kjos i jej dwie przyjaciółki z Reykjavíku. Po ceremonii pastor zaprosił ich na kawę. Pytała męża o jego rodzinę, ale niewiele się dowiedziała. Nie bardzo chciał mówić. Powiedział tylko, że nie ma rodzeństwa, ojciec zmarł, kiedy on jeszcze raczkował, a matki nie było stać na to, by go wychować; oddała go obcym. Tułał się po różnych wsiach, dopóki nie został robotnikiem rolnym w Kjos. Chyba nie miał też ochoty wypytwać o jej rodzinę. Najwyraźniej przeszłość w ogóle go nie interesowała. Powiedziała mu, że ich losy są podobne; ona też nie wie, kim byli jej rodzice. Była sierotą, tułającą się po różnych domach w Reykjavíku, dopóki nie trafiła do kupca. On pokiwał tylko głową.

- Teraz zaczniemy od nowa - powiedział. - Zapomnimy o przeszłości.

Wynajęli niewielkie mieszkanie w suterenie przy ulicy Lindargata, składające się w zasadzie z jednego pokoju i kuchni. Na podwórku znajdował się wychodek. Odeszła z pracy u kupca. Mąż powiedział, że już nie musi pracować. On zapewni jej byt. Na początek znalazł pracę w porcie, dopóki nie zwolni się miejsce na jakimś kutrze. Marzył o tym, by iść na morze.

Stała przy stole kuchennym, trzymając się za brzuch. Jeszcze mu o tym nie powiedziała, ale była pewna, że jest w ciąży. W każdym razie mogła się tego spodziewać. Rozmawiali o dzieciach, choć nie była pewna jego zdania. Taki był skryty. A ona postanowiła już, jakie dziecko otrzyma imię i że to będzie chłopiec. Chciała urodzić chłopca. Na imię będzie mieć Simon.



Słyszała o takich, co biją żony. Słyszała o maltretowanych kobietach. Słyszała takie opowieści. Ale nie wierzyła, że on jest jednym z tych mężów. Nie wierzyła, że ona jest jedną z tych żon. Nie wierzyła, że on jest zdolny do czegoś takiego. To musi być jakieś chwilowe zaćmienie, powtarzała sobie. Sądził, że flirtowałam ze Snorrim, myślała. Muszę uważać, żeby to się więcej nie powtórzyło.

Dotknęła swojej twarzy i pociągnęła nosem. Co za furia. Wprawdzie wyszedł, ale pewno niebawem wróci i ją przeprosi. Nie może się tak wobec niej zachowywać. Po prostu nie może. Nie wolno mu. Oszołomiona poszła do pokoju zająć się córką. Dziewczynka miała na imię Mikkelina. Rano zbudziła się z gorączką, ale większość dnia przespała. Teraz zresztą spała nadal. Wzięła dziewczynkę na ręce i poczuła, że jest gorąca. Usiadła, trzymając ją w ramionach, i zaczęła nucić pod nosem, wciąż otępiąła i zszokowana pobiciem.

*Stoi tuż za łóżkiem,  
Skarpety ma krótkie,  
A włosy ma lniane,  
Dziewczę ukochane.*

Dziecko ciężko oddychało. Maleńka klatka piersiowa unosiła się i opadała, a od czasu do czasu słychać było delikatny świst. Buzia była rozpalona. Próbowwała zbudzić córkę, ale na próżno.

Głośny oddech mówił sam za siebie.

Dziewczynka była obłożnie chora.

## 2.

Zawiadomienie o znalezieniu kości na Osiedlu Tysiąclecia odebrała Elinborg. Została sama na komisariacie i już zbierała się do wyjścia, kiedy zadzwonił telefon. Zawahała się przez moment, spojrzała na zegarek, a potem przeniosła wzrok na telefon. Na wieczór zaprosiła gości na kolację, cały dzień oczyma wyobraźni widziała kurczaki w marynacie tandoori. Westchnęła i podniosła słuchawkę. Elinborg była w trudnym do odgadnięcia wieku, gdzieś między czterdziestką a pięćdziesiątką, krągła, choć nie za gruba. Doskonale gotowała. Rozwiedziona, miała czworo dzieci, w tym jedno adoptowane, które wyprowadziło się już z domu. Ponownie wyszła za mąż za mechanika samochodowego, który dzielił z nią miłość do jedzenia. Wychowywali troje jej dzieci w małym domku w dzielnicy Grafarvogur. Elinborg miała dyplom z geologii, ale nigdy nie pracowała w swoim fachu. Zaczęła od letnich zastępstw w policji i tak już zostało. Była jedną z niewielu kobiet w wydziale śledczym.

Kiedy odezwał się pager, Sigirdur Oli był właśnie w trakcie namiętnego stosunku ze swoją konkubiną Bergthorą. Urządzenie przyłączone do paska spoczywało wraz ze spodniami na podłodze w kuchni i wydawało

przeraźliwy pisk. Wiedział, że nie przestanie piszczeć, dopóki on nie wyjdzie z łóżka. A dziś udało mu się wcześniej skończyć pracę. Bergthora czekała na niego w domu i powitała namiętym, gorącym pocałunkiem. A dalej już krok po kroku: zostawił spodnie w kuchni, rozłączył telefon stacjonarny, wyłączył komórkę. Zapomniał o pagerze.

Westchnął ciężko i podniósł wzrok na Bergthorę, która siedziała na nim okrakiem. Był spocony, twarz miał rozgrzaną do czerwoności. Po zachowaniu konkubiny zorientował się, że jeszcze nie jest gotowa go puścić. Zmrużyła oczy, opadła na jego piersi i poruszała biodrami wolno i rytmicznie, dopóki nie minęła fala uniesienia i mięśnie znów się nie rozluźniły.

On sam musiał poczekać na bardziej dogodny moment. W jego życiu pager miał pierwszeństwo.

Wysunął się spod Bergthory, która bezsilnie opadła na poduszkę.

Erlendur siedział w kafejce Skulakaffi i jadł ze smakiem solone mięso. Jadał tam od czasu do czasu, ponieważ Skulakaffi było jedynym lokalem w mieście, w którym serwowano jeszcze tradycyjne islandzkie dania, jakie Erlendur sam by przyrządził, gdyby tylko chciało mu się gotować. Wystrój wnętrza także mu się podobał: wszystko z brązowego, zniszczonego, twardego plastiku - stare kuchenne krzesła, niektóre z gąbką wyzierającą spod przetartej ceratowej tapicerki, na podłodze plastikowa wykładzina poprzecierana obuwiem kierowców ciężarówek, taksówkarzy, dźwigowych, budowlańców i robotników. Erlendur siedział sam przy stoliku na uboczu i pałaszował tłuste solone mięso, gotowane kartofle, groszek i brukiew, rozgotowane w słodkawej mlecznej brei.

Popołudniowy szczyt minął już dawno, ale udało mu się namówić kucharza, by przygotował dla niego porcję. Odkroił słony kęs, nałożył na kawałek ziemniaka i bruki, zanurzył w sosie, po czym włożył wszystko do ust.

Kiedy przygotował sobie kolejny smakowity kęs na widelcu i już otwierał usta, odezwała się komórka, spoczywająca na stoliku obok talerza. Zatrzymał widelec w pół drogi, spojrzął na telefon, przeniósł wzrok na zniszczony widelec i znów na telefon, i w końcu z pewnym żalem odłożył sztućce.

- Dlaczego nie pozwolicie mi posiedzieć w spokoju? - spytał, zanim Sigurdur Oli zdążył się odezwać.

- Na Osiedlu Tysiąclecia znaleziono kości - poinformował go śledczy. - Jadę tam z Elinborg.

- Jakie kości?

- A bo ja wiem? Elinborg zadzwoniła, że tam jedzie. Zawiadomiła już technicznych.

- Jem teraz - spokojnie poinformował go Erlendur.

Sigurdur Oli o mały włos nie opowiedział mu, czym był zajęty, gdy to jemu przerwał pager, lecz się powstrzymał.

- Zobaczmy się na miejscu - powiedział. - To jest przy drodze do jeziora Reynisvatn, po północnej stronie zbiorników z wodą. Niedaleko drogi wyjazdowej w kierunku wschodnim.

- Co to jest Osiedle Tysiąclecia? - spytał Erlendur.

- Co? - Sigurdur Oli wciąż był rozdrażniony z powodu przerwanej zabawy z Bergthorą.

- Czy to jest osiedle, które ma tysiąc lat? A może dwieście pięćdziesiąt? Co to takiego?

- Mój dobry Boże! - jęknął Sigurdur Oli i się rozłączył.

Trzy kwadransy później Erlendur zjawił się tam swoim zdezelowanym, dwunastoletnim japońskim samochodem i zaparkował przed wykopem pod fundamenty w dzielnicy Grafarholt. Policja pracowała już na miejscu, które zostało odgrodzone żółtą taśmą. Erlendur prześlizgnął się pod nią. Elinborg i Sigurdur Oli stali przed ścianą wykopu, a z nimi młody student medycyny, który zgłosił policji znalezisko. Matka małego jubilata pozbierała wszystkich chłopców i odesłała z powrotem do domu. Lekarz okręgowy z Reykjavíku, grubawy, około pięćdziesiątki, schodził po jednej z trzech drabin ustawionych w wykopie. Erlendur szedł tuż za nim.

Media okazały spore zainteresowanie znaleziskiem. Reporterzy i dziennikarze zebrali się wokół wykopu, podobnie jak właściciele sąsiednich posesji. Niektórzy z nich już się wprowadzili, inni, którzy pracowali przy swoich niezadaszonych domach, stali z młotkami i łomami w rękach, zaskoczeni zamieszaniem. Był koniec kwietnia, pogoda łagodna i piękna.

Technicy policyjni ostrożnie zdrapywali ziemię ze ściany wykopu. Zgarniali ją na małe łopatkę i wkładali do plastikowych torebek. W ścianie rysowała się już dość wyraźnie górna część kręgosłupa. Można było także zauważyć ramię, część klatki piersiowej i żuchwę.

- To człowiek tysiąclecia? - spytał Erlendur, zbliższy się do ściany wykopu.

Elinborg spojrzała pytająco na Sigurdura Olego, który stał za plecami Erlendura, dotykał palcem skroni i kręcił nim kółka.

- Dzwoniłem do Muzeum Narodowego - zaczął Sigurdur Oli i szybko podrapał się w głowę, kiedy Erlendur nagle na niego spojrzał. - Jedź tu do nas archeolog.

Może on będzie nam w stanie powiedzieć, co to takiego.

- A nie potrzebujemy też geologa? - spytała Elinborg. - Żeby się zorientować, jakiego rodzaju to gleba. I w jaki sposób mogła wpłynąć na znalezisko.

- A ty nam w tym nie pomożesz? - spytał Sigurdur Oli. - Zdaje się, że to studiowałaś?

- Już nic nie pamiętam - odparła Elinborg. - Wiem tylko tyle, że to brązowe to ziemia.

- Sześć stóp pod ziemią na pewno nie leży - zauważył Erlendur. - Najwyżej metr, może półtora. Przysypany w pośpiechu. I najwyraźniej są to szczątki ludzkie. Długo też tutaj nie leży. To na pewno nie jest żaden z pierwszych osadników. Żaden Ingolfur.

- Ingolfur? - Sigurdur Oli nie zaskoczył.

- Arnarson - wyjaśniła Elinborg.

- A dlaczego myśli pan, że to on? - spytał lekarz.

- Nie, nie myślę, że to on - odparł Erlendur.

- Chodzi mi o to - kontynuował lekarz - że to równie dobrze może być ona. Dlaczego uważa pan, że to koniecznie musi być mężczyzna?

- Albo kobieta - zgodził się Erlendur. - Wszystko mi jedno. - Wzruszył ramionami. - Może pan nam powiedzieć coś na temat tych kości?

- Niewiele tu widzę - odparł lekarz. - Najlepiej mówić jak najmniej, póki nie wyciągniecie ich z tej ziemi.

- Mężczyzna czy kobieta? Wiek?

- Nie da się określić.

Podszedł do nich mężczyzna ubrany w gruby wełniany sweter i dżinsy, wysoki, brodaty i wielkousty, z dwoma pożółkłymi kłami sterczącymi spod siwawego zarostu, i przedstawił się jako archeolog. Patrzył na poczytania policyjnych techników i delikatnie dał do

zrozumienia, by przestali się wygłupiać. Obaj dżentelmeni z maleńkimi łopatkami zawahali się. Mieli na sobie białe kombinezony, białe gumowe rękawiczki, a na twarzach okulary ochronne. Erlendurowi zdało się, że równie dobrze mogliby pracować w elektrowni atomowej. Spojrzeli na niego, oczekując dalszych rozkazów.

- Na Boga żywego, musimy zdjąć z niego te warstwy ziemi - podkreślił człowiek z kłami, załamując ręce.  
- Chcecie go stamtąd wydłubać tymi łopatkami? Kto tu właściwie rządzi?

Erlendur przedstawił się.

- To nie jest żadne znalezisko archeologiczne - zwrócił się do niego człowiek z kłami. - Jestem Skarphedinn, cześć. Ale lepiej obchodzić się z tym jak ze znaleziskiem archeologicznym. Rozumiesz pan?

- Nie wiem, o co panu chodzi - odpowiedział Erlendur.

- Kości nie przeleżały tu specjalnie długo. Moim zdaniem najwyżej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. A może nawet krócej. Są jeszcze na nich szczątki odzieży.

- Ubranie?

- Tak, o tutaj - Skarphedinn pokazał grubym palcem. - Ale na pewno jeszcze i w innych miejscach.

- A ja myślałem, że to ciało - przyznał się zawstydzony Erlendur.

- W obecnej sytuacji najrozsądniejsze, co możecie zrobić, to pozwolić moim pracownikom wykopać je naszymi sposobami, żeby nie zniszczyć dowodów. Wasi techniczni mogą nam pomagać. Musimy odgrodzić to miejsce od góry i kopać w dół w kierunku szkieletu, a przestać skrobać ziemię od strony ściany. My nie zwykliśmy marnować dowodów. Już samo to, w jaki sposób

układają się kości, może nam wiele powiedzieć. A to, co znajdziemy wokół nich, może się okazać bezcenną wskazówką.

- Jak pan myśli, co tu się wydarzyło? - spytał Erlendur.

- Nie mam pojęcia - odparł Skarphedinn. - Zbyt wcześnie na zgadywanie. Musimy wykopać te kości i wtedy, miejmy nadzieję, odkryjemy coś istotnego.

- Czy to może być ktoś, kto zaginął? Zamarzał, a potem przykryła go ziemia?

- Nie można zapaść się pod ziemię tak głęboko - wyjaśnił Skarphedinn.

- To znaczy, że to jest grób.

- Na to wygląda - potwierdził Skarphedinn z powagą. - Wszystko na to wskazuje. To co, umawiamy się, że my go odkopujemy?

Erlendur skinął głową.

Skarphedinn wielkimi krokami podszedł do drabiny i wylazł na powierzchnię. Erlendur podążył za nim. Stali nad szkieletem i archeolog tłumaczył, w jaki sposób najlepiej będzie odkopać kości. Erlendurowi spodobał się ten człowiek i to, co mówił, więc już po chwili archeolog obdzwaniał wszystkich swoich współpracowników. W ostatnich latach brał udział w kilku najważniejszych odkryciach archeologicznych i znał się na swojej robocie. Komisarz całkowicie mu zaufał.

Szef techników natomiast był odmiennego zdania. Uniósł się, ponieważ odkopanie szczątków powierzono archeologom, a ci nie mają należytego pojęcia o kryminalistyce. Najszybciej byłoby wygrzebać szkielet ze ściany, dzięki czemu zyskaliby dość swobody, by obejrzeć sobie zarówno jego ułożenie, jak i poszukać jakichś śladów przemocy, jeśli takowe istniały. Erlendur przez chwilę słuchał jego wyводу, po czym podjął ostateczną



decyzję. Odkopaniem kości zajmie się Skarphedinn i jego ludzie, choć mogą na to potrzebować nieco więcej czasu.

- Kości przeleżały w tej ziemi jakieś pół wieku, więc kilka dni nie zrobi żadnej różnicy - zakończył, ucinając temat.

Następnie rozejrzał się wokół po nowo powstającym osiedlu. Spojrzał w górę na pomalowane na brązowo zbiorniki wody i w kierunku, w którym, jak wiedział, idzie się do jeziora Reynisvatn. Następnie odwrócił się i spojrzał na wschód ponad łąki, które rozścielały się w dali.

Jego uwagę przykuły cztery krzaki, wystające nad trawę, i mech w odległości jakichś trzydziestu metrów. Podeszedł bliżej i zobaczył krzaki porzeczek. Rosły blisko siebie w prostej linii na wschód od znaleziska. Dotykał ostrych, nagich gałązek i zastanawiał się, kto mógł je tutaj, na tej ziemi niczyjej, posadzić.

### 3.

Archeolodzy zjawili się w bluzach z polaru i ocieplanych kombinezonach, z nieodłącznymi szpachelkami i łopatkami, ogrodzili spory kawałek terenu wokół wykopu nad szkieletem i gdzieś w porze kolacji zaczęli ostrożnie podkopywać roślinność. Wciąż było widno jak w południe. Słońce miało świecić aż do dwudziestej drugiej. Ekipa składała się z czterech mężczyzn i dwóch kobiet. Pracowali spokojnie, bez pośpiechu, dokładnie oglądając zawartość każdej łopaty. Nie sposób było dostrzec w ziemi żadnych śladów, sugerujących, kto wykopał ten grób. Czas i roboty przy fundamencie zrobiły swoje.

Elinborg skontaktowała się z naukowcem z wydziału geologii uniwersytetu, który bardziej niż chętnie zgodził się pomóc policji. Rzucił wszystko, czym akurat się zajmował, i zjawiał się przy fundamencie w pół godziny po rozmowie z Elinborg. Miał koło czterdziestki, czarne włosy, niezwykle mroczny głos i był bardzo szczupły. Doktoryzował się w Paryżu. Elinborg przyprowadziła go pod ścianę w wykopie. Policja osłoniła znalezisko wielką płachtą, tak by spacerowicze i przygodni przechodnie nie mogli go zobaczyć. Zaprosiła geologa pod ów namiot.

Wielki reflektor oświetlał ścianę, a przebywający w wykopie ludzie rzucali ponure cienie na miejsce spoczynku szkieletu. Geolog ze spokojem wziął się do pracy. Obejrzał grunt, po czym wziął garść ziemi i rozdrobnił w dłoni. Ziemię z sąsiedztwa szkieletu porównał z ziemią znad i spod niego i zbadał, czy jest podobnie ubita. Pochwalił się z dumą, że kiedyś już został wezwany do sprawy kryminalnej. Poproszono go, by przeprowadził analizę grudki ziemi znalezionej na miejscu przestępstwa. Wtedy dobrze wykonał swoje zadanie. Następnie poinformował wszystkich zebranych, że istnieją prace naukowe na temat kryminalistyki i geologii, swego rodzaju geologia sądowa, jeśli Elinborg dobrze go zrozumiała.

Śluchała tych jego opowieści, dopóki nie straciła cierpliwości.

- Ile czasu ten szkielet spoczywa w ziemi? - przerwała ten słowotok.

- Niełatwo powiedzieć - odparł geolog swoim mrocznym głosem, przybierając pozę mentora. - Może niezbyt długo.

- A to „niezbyt długo” to dla pana jaki okres? - spytała Elinborg. - Tysiąc lat? Dziesięć?

Geolog spojrzął na nią.

- Niełatwo powiedzieć - powtórzył.

- A z jaką dokładnością potrafiłby pan to określić? - dociekała Elinborg. - Licząc w latach.

- Niełatwo powiedzieć.

- Czyli że nic nie jest łatwo powiedzieć?

Geolog spojrzął na Elinborg z uśmiechem.

- Przepraszam, zamyśliłem się. Co chce pani wiedzieć?

- Jak długo?

- He?

- On tutaj leży! - jęknęła Elinborg.  
- Gdybym miał zgadywać, to strzeliłbym, że jakoś tak między pięćdziesiąt a siedemdziesiąt lat. Muszę to jeszcze dokładnie zbadać, ale na pierwszy rzut oka tyle. Zwartość gleby... W każdym razie możemy wykluczyć, że to osadnik z epoki wikingów. To nie jest grobowiec pogańskiego wojownika.

- To wiemy - odparła Elinborg. - Tu są strzępy odzieży...

- Ta tutaj zielona linia - odezwał się geolog, wskazując zieloną warstwę na samym dole ściany - to są pozostałości po erze lodowcowej. Te linie pojawiające się tu w dość regularnych odstępach - ciągnął, wskazując wyższe warstwy gleby - to materiał piroklastyczny. Ten tu wyżej pochodzi z końca piętnastego wieku. Mamy tu najgrubsze warstwy materiału piroklastycznego w całej okolicy Reykjavíku od epoki osadnictwa, czyli dziesiątego wieku. Tu z kolei mamy starsze warstwy, pochodzące z wybuchów wulkanów Hekla i Katla. A potem cofamy się o wiele tysięcy lat. Stąd już blisko do twardych warstw skalnych, jak zresztą widać. To jest granit reykjavicki.

Spojrzał na Elinborg.

- Mając na uwadze całą tę historię, od czasu gdy powstał ten grób, minęła jakaś jedna milionowa część sekundy.

Ekipa archeologów zakończyła pracę około pół do dziesiątej wieczorem i Skarphedinn oznajmił Erlendurowi, że zjawią się na miejscu wczesnym rankiem następnego dnia. Nie znaleźli w ziemi niczego ciekawego, zresztą dopiero zaczęli usuwać warstwę roślinności i wierzchnią warstwę gleby. Erlendur zasugerował delikatnie, by przyspieszyli nieco pracę, lecz Skarphedinn

spojrzał na niego z niechęcią i spytał, czy chce, żeby zniszczyli dowody. I ponownie się zgodzili, że nie muszą się śpieszyć z wydobyciem kości.

Pod prowizorycznym zadaszeniem zgasł reflektor. Dziennikarze zniknęli. Znaleźisko było najważniejszym tematem w wieczornych wiadomościach. W telewizji pokazywano Erlendura i jego ludzi w wykopie, a jedna ze stacji uchwyciła nawet, jak dziennikarz usiłuje zadać mu kilka pytań, lecz on tylko macha ręką i odchodzi.

W dzielnicy znów zapanował spokój. Ucichło stukanie młotków. Robotnicy budowlani z okolicznych domów także skończyli pracę. Ci, którzy zdążyli już tu zamieszkać, powoli kładli się spać. Ucichły wrzaski dzieciarni. Dwóch funkcjonariuszy w samochodzie wyznaczono do pilnowania terenu przez noc. Elinborg i Sigurdur Oli poszli do swoich domów. Policijni technicy, którzy cały czas służyli pomocą archeologom, także udali się na spoczynek. Erlendur uciął sobie pogawędkę z matką Totiego i samym Totim na temat znalezionych przez małego kości. Chłopak był bardzo podekscytowany zainteresowaniem, które nagle zaczęło mu okazywać. „Coś takiego” - westchnęła jego matka. Że też jej syn musiał znaleźć ludzki szkielet w miejscu publicznym. „To najlepsze urodziny, jakie miałem - cieszył się chłopak. - Kiedykolwiek”.

Student medycyny też już poszedł do domu wraz ze swoim młodszym bratem. Erlendur i Sigurdur Oli porozmawiali z nim chwilę na temat znaleziska. Opisał im, jak obserwował raczkujące niemowlę, ale nie od razu zauważył kość, którą gryzło. I kiedy przyjrzał się jej bliżej, okazało się, że to kawałek żebra.

- A po czym tak szybko poznał pan, że to ludzka kość? - spytał Erlendur. - Mogła być na przykład z owcy.

- No właśnie, czy nie bardziej prawdopodobne było, że to owcza kość? - wtórował mu Sigurdur Oli, mieszczuch, zupełnie nie znający się na zwierzętach hodowlanych.

- Nie miałem cienia wątpliwości - odparł student.  
- Nieraz asystowałem przy sekcjach zwłok.

- A potrafisz określić, jak długo kości leżały w ziemi? - spytał Erlendur. Wiedział, że dostanie jeszcze opinię geologa, którego wezwała Elinborg, archeologa i lekarza sądowego, ale nie miał nic przeciwko temu, by poznać opinię chłopaka.

- Zajrzałem w ziemię i jeśli chodzi o stopień rozkładu, to możemy mówić najwyżej o okresie siedemdziesięciu lat. Raczej nie dłuższym. Ale przecież żaden ze mnie specjalista.

- Nie w tym rzecz - odparł Erlendur. - Archeolog też nie jest specjalistą, a uważa tak samo. - Zwrócił się do Sigurdura Olego: - Musimy poszperać w dokumentach spraw prowadzonych w tamtych czasach. Chodzi mi o sprawy zaginięć. W latach trzydziestych i czterdziestych dwudziestego wieku. Może nawet nieco wcześniej. Zobaczmy, co uda nam się znaleźć.

Erlendur stał nad wykopem skąpany w wieczornym słońcu i patrzył w kierunku północnym na Mosfellsbaer, fjord Kollafjordur i górę Esję. Widział domy w Kjalarnes. Widział samochody, mknące po obwodnicy i wjeżdżające do Reykjaviku spod góry Ulfalsfell. Nagle usłyszał auto, zatrzymujące się obok wykopu. Wsiadł z niego mężczyzna w zbliżonym do niego wieku, około pięćdziesiątki, grubawy, ubrany w krótką niebieską kurtkę, w bejsbolówce na głowie. Trzasnął drzwiczkami i spoglądał to na Erlendura, to znów na samochód, bałagan w wykopie i namiot zakrywający szkielet.

- Jest pan ze skarbowki? - spytał obcesowo, zbliżając się do Erlendura.

- Ze skarbowki? - zdziwił się Erlendur.

- Nigdzie od was nie ma spokoju - podsumował mężczyzna. - Umówiony pan jest czy...?

- Chodzi panu o tę działkę? - spytał Erlendur.

- Kim pan jest? Co to za namiot? O co tu chodzi?

Erlendur wyjaśnił mężczyźnie, który przedstawił się jako Jon, co się stało. Okazało się, że Jon to inwestor budowlany i właściciel działki. Stoi na krawędzi bankructwa, nękaną przez rozmaitych urzędników. Przez jakiś czas nie prowadzono robót przy fundamentach, ale Jon podobno przyjeżdżał tu regularnie sprawdzać, czy nic nie uległo zniszczeniu; cholerne dzieciaki w tych nowych dzielnicach dokazują na budowach. Nic nie słyszał ani nie oglądał wiadomości, w których mówiono o znalezisku, więc teraz patrzył z niedowierzaniem w dół, podczas gdy Erlendur objaśniał mu metody działania policji i archeologów.

- Nic o tym nie wiedziałem, a robotnicy z pewnością nie zauważyli tych kości. To jest jakiś grób sprzed wieków? - dopytywał się Jon.

- Tego jeszcze nie wiemy - uciął Erlendur, nie chcąc udzielać dalszych informacji. - Wie pan coś o tej ziemi tutaj na wschód? - spytał, wskazując w kierunku krzaków porzeczek.

- Wiem tylko, że to dobra ziemia budowlana - odparł Jon. - Nie sądziłem, że kiedyś dożyję chwili, gdy Reykjavik rozciągnie się aż tutaj.

- Może to miasto jest już przerośnięte? - zamyślił się Erlendur. - Wie pan, czy porzeczkę rosną dziko na Islandii?

- Porzeczkę? Nigdy o tym nie słyszałem.

Pogadali jeszcze chwilę, po czym Jon się pożegnał i odjechał. Erlendur pomyślał, że ten człowiek może wkrótce stracić działkę na rzecz swoich wierzących. Jedyna nadzieja w tym, że uda mu się zaciągnąć kolejny kredyt.

Erlendur miał zamiar jechać do domu. Wieczorne słońce pięknie rumieniło zachodnie niebo nad oceanem i lądem. Zaczęło się robić chłodno.

Zatrzymał się na chwilę nad wykopem i przyjrzał z bliska ciemnej darni. Rozgrzebał nogą kawałek ziemi, potem jeszcze jeden, nie wiedząc nawet, po co to robi. W domu nic na niego nie czeka, myślał sobie, rozkopując glebę. Nie przywita go żadna rodzina, żadna żona nie opowie, jak minął dzień. Żadne dzieci nie opowiedzą o lekcjach. Tylko stary telewizor, fotel, wytarty dywan, opakowania po fast foodach w kuchni i ściany wyłożone książkami, które czytywał w samotności. Wiele z nich opowiadało o zaginięciach na Islandii, ludzkich przeżyciach na pustkowiu w latach dawno minionych i o umieraniu w górach.

Nagle poczuł stopą coś twardego. Jakby spod ziemi wystawał kamyk. Kopnął go lekko kilka razy, ale ten ani drgnął. Schylił się więc i zaczął rękoma odgarniać ziemię. Skarphedinn powiedział mu, że pod nieobecność archeologów niczego nie powinno się ruszać. Erlendur szarpnął za kamień, zamyślony, ale nie udało mu się wyrwać go z ziemi.

Zaczął kopać głębiej i zdążył sobie kompletnie pobrudzić ręce, kiedy wreszcie trafił na podobny kamyk, a potem trzeci, czwarty i piąty. Padł na kolana i rozgarniał ziemię na wszystkie strony. Coraz wyraźniej widać było, do czego się dokopał i w końcu oczom Erlendura ukazała



się ludzka dłoń. Kości pięciu palców i dłoni wystające spod ziemi. Wyprostował się wolno.

Palce skierowane były ku górze, jakby leżąca tu osoba wystawiła rękę po to, by coś chwycić lub się przed czymś obronić. A może po to, by błagać o litość? Erlendur stał jak skamieniały. Palce dłoni wyciągały się ku niemu spod ziemi niczym wołanie o litość. Zawiał chłodny wiatr i Erlendura przeszedł dreszcz.

Żywa, pomyślał sobie. Spojrzał w kierunku krzaków porzeczek.

- Byłaś kiedyś żywa? - zapytał głośno.

W tym samym momencie zadzwonił jego telefon. Był tak pogrążony w myślach, że minęła chwila, nim to do niego dotarło. Wyjął aparat z kieszeni i odebrał. Najpierw słyszał jedynie trzaski.

- Pomóż mi - odezwał się znajomy głos. - Proszę.  
Potem połączenie się urwało.

## 4.

Aparat wyposażony był w wyświetlacz numerów, ale Erlendur nie wiedział, z jakiego numeru dzwoniło. Na małym wyświetlaczu przeczytał „Nieznany”. Dzwoniła Eva Lind. Jego córka. Z trwogą patrzył na telefon. Zupełnie jakby był drzazgą, która wbiła się w dłoń. Ten jednak nie odezwał się ponownie. Eva Lind miała jego numer. Pamiętał, że kiedy ostatnio do niego dzwoniła, to tylko po to, by mu powiedzieć, że już nigdy więcej nie chce go widzieć. Stał bezradny w tej samej pozycji i czekał na kolejny telefon. Nie doczekał się jednak.

Potem pognął do samochodu.

Od dwóch miesięcy nie kontaktował się z Evą Lind. I w zasadzie nie było w tym nic dziwnego. Jego córka żyła własnym życiem, nie dając mu specjalnie okazji do wtrącania się. Dobiegała trzydziestki. Narkomanka. Ostatnio, gdy się spotkali, strasznie się pokłócili. Działo się to w jego mieszkaniu w bloku. Wybiegła, trzaskając drzwiami i krzycząc, że jest obrzydliwy.

Erlendur miał również syna, Sindriego Snaera, który nie utrzymywał kontaktów z ojcem. Kiedy Erlendur opuścił dom, zostawiając żonę i dzieci, Sindri i Eva byli

jeszcze mali. Ekszona nigdy Erlendurowi tego nie wybaczyła i nie pozwalała widywać się z dziećmi. Całkowicie oddał jej inicjatywę i teraz coraz bardziej tego żałował. Kiedy dzieci dorosły, same go odnalazły.

Erlendur w pośpiechu wyjechał z Osiedla Tysiąclecia, wjechał na zachodnią obwodnicę i ruszył w kierunku miasta. Reykjavik tonął w chłodnym, wiosennym mroku. Komisarz upewnił się jeszcze, czy telefon jest włączony, i odłożył go na przednie siedzenie. Nie bardzo orientował się w prywatnych sprawach swojej córki i nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. W końcu przypomniał sobie mieszkanie w pewnej suterenie w dzielnicy Vogar, w którym Eva Lind mieszkała rok wcześniej.

Najpierw sprawdził, czy córka jest może w jego mieszkaniu, ale w pobliżu bloku jej nie zauważył. Okrążył biegiem budynek, potem wszedł do klatki. Eva miała klucz do jego mieszkania. Wszedł do środka i zawołał ją, ale jej nie było. Przyszło mu do głowy, by zadzwonić do byłej żony, ale nie potrafił się na to zdobyć. Wszak w zasadzie nie rozmawiali ze sobą od dwudziestu lat. Wziął zatem telefon i zadzwonił do syna. Wiedział, że rodzeństwo utrzymuje ze sobą kontakty, choć dość sporadyczne. Numer telefonu Sindriego otrzymał w biurze numerów. Okazało się jednak, że Sindri pracuje na prowincji i nie ma pojęcia o losach swojej siostry.

Erlendur zawahał się.

- Psiakrew - westchnął.

Potem znów zadzwonił do biura numerów i otrzymał telefon do swojej byłej żony.

- Mówi Erlendur - powiedział, kiedy odebrała. - Wydaje mi się, że Eva Lind ma jakieś poważne kłopoty. Nie wiesz, gdzie mogę ją znaleźć?

W słuchawce zapadła cisza.

- Dzwoniła do mnie i prosiła o pomoc, ale połączenie się zerwało, a ja nie wiem, gdzie ona jest. Wydaje mi się, że dzieje się z nią coś złego.

Żona nie odpowiedziała.

- Halldora?

- To ty dzwonicz do mnie po dwudziestu latach?

Po tych wszystkich latach nadal czuł w jej głosie lodowatą nienawiść. Natychmiast zorientował się, że popełnił błąd.

- Eva Lind potrzebuje pomocy, a ja nie mam pojęcia, gdzie ona jest - tłumaczył.

- Pomocy?

- Wydaje mi się, że dzieje się z nią coś złego.

- A to moja wina?

- Wina? Nie. To niczyja...

- Myślisz, że ja nie potrzebowałam pomocy? Sama z dwójkiem dzieci? Nie było cię, żeby mi pomóc.

- Hall...

- A teraz twoje dzieci zeszły na psy. Oboje! Zaczynasz już rozumieć, co narobiłeś? Co nam zrobiłeś? Co zrobiłeś mnie i swoim dzieciom?

- Nie pozwoliłaś mi zajmować się...

- Myślisz, że ja nie musiałam ratować jej z milion razy? Myślisz, że ja nie musiałam jej wspierać? A ty gdzie wtedy byłeś?

- Halldora, ja...

- Ty cholerny sukinsynu! - wyrzuciła z siebie.

Trzasnęła słuchawką. Erlendur przeklinał sam siebie za to, że zadzwonił. Wsiadł do samochodu i pojechał do dzielnicy Vogar. Zatrzymał się przed obdrapanym blokiem z kilkoma mieszkaniami w suterenie, jakby

wkopanymi w ziemię. Nacisnął guzik dzwonka, który zwiślał na kablu obok futryny przy jednych z drzwi, ale dźwięku nie usłyszał, więc po chwili zapukał. Niecierpliwie czekał, aż usłyszy jakieś odgłosy i drzwi się otworzą, ale nic takiego nie nastąpiło. Złapał za klamkę. Drzwi nie były zamknięte, więc ostrożnie wszedł do mieszkania. W niewielkim przedpokoju usłyszał cichutki płacz dziecka, dochodzący gdzieś z głębi. Zbliżając się do salonu, poczuł silny odór fekaliiów.

Mniej więcej roczna dziewczynka siedziała na podłodze, wyczerpana płaczem. Zanosząc się bezgłośnie szlochaniem, siedziała z gołą pupą w cienkiej, brudnej koszulce. Na podłodze wały się puszki po piwie i butelki po wódce oraz opakowania z fast foodów i resztki jakichś produktów mlecznych. Kwaśny zapach mieszał się ze smrodem dzieciennych odchodów. Z mebli w pokoju znajdowała się tylko wyświechtana sofa, na której plecami do Erlendura leżała naga kobieta. Kiedy zbliżał się do sofy, dziecko zupełnie nie zwracało na niego uwagi. Chwyił kobietę za nadgarstek i sprawdził tętno. Na jej ramieniu widniały ślady po ukłuciach.

Z salonem połączona była kuchnia, a obok znajdował się pokój, w którym Erlendur znalazł koc. Przykrył nim kobietę na sofie. Dalej była nieduża łazienka z prysznicem. Zabrał dziecko z podłogi i zaniósł do łazienki, gdzie ostrożnie opłukał je ciepłą wodą i owinął w ręcznik. Dziecko przestało płakać. Całe krocze miało odparzone. Pomyślał, że maleństwo jest głodne, ale nie znalazł nic, co nadawałoby się do jedzenia. Miał przy sobie tylko tabliczkę czekolady, którą zawsze nosił w kieszeni płaszcza. Ułamał kawałek i dał dziecku, cały czas zagadując do niego spokojnie. Na plecach i ramionach maleństwa zauważył rany. Skrzywił się.

Odszukał łóźeczko ze szczelkami i wyrzucił z niego puszkę po piwie i kartoniki po hamburgerach. Ostroźnie ułożył w nim małą. Wrócił do salonu, pieniąc się z wściekłości. Nie miał pojęcia, czy ta kupa gówna na sofie to matka dziewczynki. Ale miał to gdzieś. Szarpnął kobietę i zaciągnął do łazienki, położył w brodziku i oblał lodowatą wodą. W jego ramionach kobieta była jak martwa, ale zlaną wodą ocknęła się, zaczęła się szarpać, krztusić i krzyczeć.

Erlendur dość długo polewał ją wodą, po czym zakręcił kurek, rzucił kobiecie koc i wprowadził ją z powrotem do salonu. Posadził na sofie. Choć ocucona, najwyraźniej nadal nie kontaktowała. Patrzyła na Erlendura tępyim wzrokiem. Po chwili zaczęła się rozglądać, jakby jej czegoś brakowało. I w końcu przypomniała sobie, co to takiego.

- Gdzie Perła? - spytała, dygocąc pod kocem.

- Perła? - warknął wściekły Erlendur. - To jakaś suka?

- Gdzie moja dziewczynka? - powtórzyła. Mogła mieć koło trzydziestki. Krótkie włosy. Resztki makijażu rozmazane po całej twarzy. Górna warga napuchnięta, a na czole ogromny guz. Prawe oko podbite.

- Nie masz prawa o nią pytać - powiedział Erlendur.

- Co?

- Gasisz papierosy na ciele swojego dziecka!

- Co? Nie! Kto? Kim jesteś?

- To ten psychol, co tak cię bije?

- Biję mnie? Co? Kto ty jesteś?

- Zabiorę ci Perłę - powiedział Erlendur. - I znajdę tego faceta, co jej to robi. Tak że dwie rzeczy musisz mi powiedzieć.

- Zabierzesz mi ją?

- Kilka miesięcy temu, może rok, mieszkała tu pewna dziewczyna, wiesz coś o niej? Nazywa się Eva Lind. Szczupła, ciemnowłosa...

- Perła jest niegrzeczna. Płacze. Bez końca.

- Tak, jakaś ty biedna...

- I wtedy on wpada w szal.

- Zacznijmy od Evy Lind. Znasz ją?

- Nie zabieraj jej ode mnie. Proszę.

- Wiesz, gdzie jest Eva Lind?

- Eva wyprowadziła się już dawno temu.

- A wiesz dokąd?

- Nie. Była z Baddim.

- Baddim?

- Jest bramkarzem. Pójdę do gazet, jak mi ją zaberzesz. I co? Do gazet pójdę.

- Gdzie jest bramkarzem?

Powiedziała mu. Erlendur wstał i najpierw zadzwonił po karetkę, a potem do izby przyjęć pogotowia opiekuńczego i pokrótce opisał panujące tu warunki.

- A teraz druga sprawa - powiedział, czekając na karetkę. - Gdzie jest ten bandzior, który cię bije?

- Daj mu spokój - odparła.

- Żeby dalej mógł to robić? Tego chcesz?

- Nie.

- No to gdzie jest?

- Tylko że...

- Tak? Co? Tylko że co?

- Jeśli chcesz go zamknąć...

- No.

- Jeśli chcesz go zamknąć, to go zabij, bo inaczej on mnie zabije - powiedziała i uśmiechnęła się zimno do Erlendura.

Baddi okazał się umięśnionym, ale za to niezwykle ma-  
łogłowym bramkarzem w klubie go-go o dziwicznej  
nazwie Hrabia Rosso w centrum Reykjavíku. Nie było go  
akurat przy wejściu, kiedy zjawił się tam Erlendur.  
Drzwi pilnował inny, podobny mięśniak, który poinform-  
ował go, gdzie może znaleźć Baddiego.

- Pilnuje pokazu - powiedział bramkarz, lecz Er-  
lendur nie od razu zrozumiał, o co mu chodzi. Stał i po-  
dziwiał głowę faceta.

- Prywatnego pokazu - wytłumaczył mięśniak. -  
Prywatny taniec. - Przewrócił oczami.

Erlendur wszedł do lokalu oświetlonego słabymi,  
czerwonymi żarówkami. Na sali znajdował się jeden bar,  
kilka stolików i krzeseł i parę osób oglądających dziew-  
czynę, owijającą się wokół stalowej rury na niewielkim  
podwyższeniu w takt muzyki pop. Popatrzyła na Erlen-  
dura i zaczęła tańczyć przed nim, jakby był klientem  
godnym zainteresowania. Rozpięła skąpy stanik. Erlen-  
dur spojrział na nią z tak wielkim współczuciem, że się  
zawstydzila i potknęła, ale odzyskała równowagę i odsu-  
nęła się od niego, po czym beztrząsco spuściła stanik na  
podłogę, usiłując zachować jakieś pozory godności.

Teraz musiał się tylko dowiedzieć, gdzie odbywają się  
prywatne pokazy. Naprzeciwko sceny zauważył ciemny  
korytarz i tam się skierował. Korytarz pomalowany był  
na czarno, a na jego końcu znajdowały się schody, wio-  
dące do piwnicy. Wprawdzie Erlendur nie najlepiej wi-  
dział w tych ciemnościach, ale wolniutko posuwał się po  
schodach, aż w końcu trafił na kolejny korytarz pomalo-  
wany na czarno. Samotna czerwona żarówka zwisała z  
sufitu, a na końcu korytarza stała wpatrzona w Erlendu-  
ra góra mięśni z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.



Wzdłuż korytarza znajdowały się wejścia do sześciu pokoi, trzech po każdej stronie. Z jednego z nich dobiegały bardzo rzewne dźwięki skrzypiec. Góra mięśni zbliżyła się do Erlendura.

- Ty jesteś Baddi? - spytał Erlendur.

- A gdzie twoja dziewczyna? - spytał małogłowy mięśniak. Jego głowa sterczała z grubego karku niczym brodawka.

- To ciebie chciałem o to zapytać - zdziwił się Erlendur.

- Mnie? Ja żadnych dziewczyn nie załatwiam. Musisz wrócić na górę, ugadać sobie jakąś i potem dopiero zejść z nią tutaj.

- Ach, o to chodzi. - Erlendur w końcu zrozumiał, na czym polegało nieporozumienie. - Szukam Ewy Lind.

- Ewy? Ona już dawno tu nie pracuje. Byłeś z nią? Erlendur gapił się na niego zaskoczony.

- Dawno tu nie pracuje? O co ci chodzi?

- Czasami tutaj przychodziła. Skąd ją znasz?

Otworzyły się jedne z drzwi i z pokoju wyszedł młody człowiek. Zasunął rozporek. Erlendur zauważył w pokoju młodą dziewczynę, schylającą się po ubranie leżące na podłodze. Młody człowiek minął ich, lekko poklepał Baddiego po ramieniu i zniknął na schodach. Dziewczyna w pokoju spojrzała na Erlendura i zatrzasnęła drzwi.

- Tutaj na dół przychodziła? - Erlendura zatkało. - Eva Lind bywała tutaj na dole?

- Dawno temu. W tym pokoju jest jedna bardzo do niej podobna - odezwał się Baddi z zaangażowaniem sprzedawcy samochodów i wskazał jedne z drzwi. - Studentka medycyny z Litwy. Dziewczyna ze skrzypcami. Słyszysz, jak gra? Jest z jakiejś słynnej szkoły muzycznej w Polsce. Przyjeżdżają tutaj. Zarabiają szmal. A potem dalej się uczą.

- Wiesz, gdzie mogę znaleźć Evę Lind?  
- Nigdy nie mówimy, gdzie mieszkają dziewczyny  
- odparł Baddi, przybierając świętoszkowatą minę.

- Nie mam ochoty wiedzieć, gdzie mieszkają dziewczyny - powiedział Erlendur zmęczonym głosem. Zawsze się pilnował, by nie tracić panowania nad sobą, wiedział, że musi uważać, musi uzyskać informacje sposobem, choć najchętniej po prostu skręciłby kark facetowi brodawce. - Wydaje mi się, że Eva Lind wpadła w kłopoty i prosiła mnie o pomoc - powiedział w miarę spokojnie.

- A ty kim jesteś, jej tatusiem? - roześmiał się szyderczo Baddi.

Erlendur przyglądał mu się i zastanawiał, czy nie chwycić go za ten mały łeb. Baddi przestał się uśmiechać, gdy zorientował się, że trafił w dziesiątkę. Jak zwykle niespodziewanie. Wolno zrobił jeden krok do tyłu.

- Ty jesteś tym policjantem? - spytał, a Erlendur skinął głową.

- To jest całkiem legalny lokal.

- To mnie nie interesuje. Co wiesz o Evie Lind?

- Zaginęła?

- Tego nie wiem - odparł Erlendur. - Dla mnie zaginęła. Rozmawiała ze mną dzisiaj wieczorem i prosiła o pomoc, ale nie wiem, gdzie jest. Powiedziano mi, że ją znasz.

- Przez jakiś czas z nią chodziłem, nie mówiła ci o tym?

Erlendur pokręcił głową.

- Ale z nią się nie da na poważnie chodzić. Ona jest pojebana.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie ona jest?

- Dawno jej nie widziałem. Ona cię nienawidzi. Wiesz o tym?

- Kiedy z nią byłeś, to kto ją zaopatrywał w środki?

- Znaczący dilerem kto był?

- Dilerem, no.

- Chcesz go wsadzić do pierdła?

- Nikogo nie mam zamiaru nigdzie wsadzać. Muszę odnaleźć Evę Lind. Możesz mi pomóc czy nie?

Baddi zastanowił się chwilę. Nie musiał wcale pomagać temu facetowi ani Evie Lind. Niech ona sobie idzie do diabła. Ale coś w twarzy gliniarza mówiło mu, że lepiej być po jego stronie niż przeciwko niemu.

- Nic o Evie nie wiem - powiedział. - Pogadaj z Allim.

- Z Allim?

- Tylko mu nie mów, że to ja cię przysłałem.

## 5.

Erlendur zajechał do najstarszej części miasta tuż przy porcie. Myślał o Evie Lind i myślał o Reykjavíku. Sam był przybyszem i za takiego zawsze się uważał, choć większość swojego życia spędził w tym mieście. Widział, jak się rozrasta wzdłuż okolicznych zatok i wzgórz. I widział, jak wyludniają się pobliskie wsie. Reykjavík stał się nowoczesnym miastem, pełnym ludzi, którzy już nie chcieli mieszkać na prowincji albo już nie mogli tam mieszkać, więc przyjeżdżali do metropolii rozpoczynać nowe życie, pozbawiając się korzeni, przeszłości i pozostawiając sobie jedynie niepewną przyszłość. On w tym mieście nigdy dobrze się nie czuł.

Czuł się jak obcokrajowiec.

Alli miał około dwudziestu lat, był drobnokościsty, rudawy i piegowaty, brakowało mu przednich zębów, twarz miał ogorzałą, posiekaną słońcem i wiatrem. Najwyraźniej nie cieszył się najlepszym zdrowiem i brzydko kasłał. Erlendur znalazł go tam, gdzie Baddi kazał mu go szukać, czyli w barze Austurstraeti. Siedział sam przy stoliku nad pustą szklanką po piwie. Wyglądał, jakby spał, głowę zwiesił na piersi, na której oparł skrzyżowane ręce.

Miał na sobie zieloną zimową kurtkę z futrzanym kołnierzem. Baddi dość precyzyjnie go opisał. Erlendur dosiadł się do stolika.

- Ty jesteś Alli? - spytał, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Rozejrzył się dokoła. Lokal był ciemny i pusty, tylko niektóre stoliki były zajęte. W głośniku tuż nad ich głowami kiepski piosenkarz country śpiewał jakąś ponurą piosenkę o zmarnowanej miłości. Barman w średnim wieku siedział na wysokim stołku za barem i czytał *Sage o ludziach lodu*.

Erlendur powtórzył pytanie, a w końcu szturchnął tamtego w ramię. Alli się ocknął i spojrzał na niego tępym wzrokiem.

- Jeszcze piwa? - spytał Erlendur, usiłując się uśmiechnąć. Ale jego twarz wykrzywił tylko nieładny grymas.

- Kim jesteś? - spytał Alli, patrząc na rozmówcę tępym wzrokiem. Nie próbował nawet ukryć, że jest wstawiony.

- Szukam Evy Lind. Jestem jej ojcem i nie mam czasu. Dzwoniła do mnie i prosiła o pomoc.

- To ty jesteś tym gliną? - spytał Alli.

- Tak, jestem tym gliną - przytaknął Erlendur.

Alli uniósł się nieco na krześle i rozejrzył wokół.

- A dlaczego mnie pytasz?

- Bo wiem, że znasz Evę Lind.

- Skąd?

- Wiesz, gdzie ona jest?

- Postawisz piwo?

Erlendur patrzył na niego, zastanawiając się, czy to najlepszy sposób na rozmowę, ale uznał, że tak. Nie miał czasu. Wstał i szybko podszedł do baru. Barman niechętnie oderwał wzrok od *Ludzi lodu*, z żalem odłożył książkę i zszedł ze stolka. Erlendur poprosił o duże piwo.

Szukał pieniędzy w portfelu, kiedy zauważył, że Alli zniknął. Rozejrzał się szybko i kątem oka dostrzegł zamykające się drzwi wejściowe. Zostawił barmana z pełną szklanką piwa, wybiegł z knajpy i ujrzał uciekającego Allego.

Facet nie biegł zbyt szybko i długo też nie wytrzymał narzuconego sobie tempa. Obejrzał się, zauważył, że Erlendur go dogania, więc spróbował przyspieszyć, ale nie starczyło mu sił. Erlendur dopadł go i popchnął, tak że Alli, złorzecząc, runął na ziemię. Z kieszeni wypadły mu dwie buteleczki z pigułkami i Erlendur je podniósł. Podejrzewał się, że to ecstasy. Zerwał z Allego kurtkę i usłyszał brzęk kolejnych buteleczek. Kiedy opróżnił kieszenie, miał w rękach nieźle wyposażoną apteczkę.

- Oni... mnie... zabiją - powiedział Alli, ciężko dysząc i podnosząc się z chodnika. Ruch panował niewielki. Małżeństwo w średnim wieku po drugiej stronie przyglądało się całemu zdarzeniu, ale szybko się oddalili, widząc, jak Erlendur jedną po drugiej wyciąga buteleczki z pigułkami.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł Erlendur.

- Nie zabieraj mi tego. Nie masz pojęcia, do czego oni są zdolni...

- Kto taki?

Alli skulił się pod ścianą domu i szlochał.

- To moja ostatnia szansa - ciekło mu z nosa.

- Mam gdzieś, która to twoja szansa. Kiedy ostatnio widziałeś Evę Lind?

Alli pociągnął nosem i nagle spojrzął na Erlendura skupiony, jakby wymyślił wyjście.

- Okej.

- Co?

- Jeżeli ci powiem o Evie, to oddasz mi towar - zaproponował Alli.

Erlendur zastanowił się chwilę.

- Jeżeli wiesz, gdzie jest Eva, oddam ci to. Jeżeli skłamiesz, wrócę i zrobię sobie z ciebie trampolinę.

- Okej, okej. Eva była u mnie dzisiaj. Jeżeli ją spotkasz, to powiedz jej, że jest mi winna szmal. Kupę szmalu. Dzisiaj nie dałem jej towaru. Nie diluję z ciężarowymi.

- Jasne - przytaknął Erlendur. - Jesteś człowiek z zasadami.

- Przyszła z brzuchem i jęczała. I darła się, kiedy jej powiedziałem, że nic nie dostanie. A potem sobie poszła.

- A wiesz dokąd?

- Pojęcia nie mam.

- Gdzie mieszka?

- Szmata bez szmalu. Ja nie mam forsy, rozumiesz? Inaczej mnie zabiją.

- Wiesz, gdzie ona mieszka?

- Mieszka? Nigdzie. Włóczy się tu i tam. Włóczy się i wyłudza. Wydaje jej się chyba, że może to mieć za friko. - Alli kipiał nienawiścią. - Jakby człowiek miał jej to dać za darmo. Jakby to nic nie kosztowało.

Z powodu braku przednich zębów lekko sepleniał, przez co w swojej brudnej kurtce przypominał duże dziecko, usiłujące zachować resztki godności.

Znów się wysmarkał.

- A dokąd mogła pójść? - spytał Erlendur.

Alli patrzył na niego, pociągając nosem.

- Oddasz mi to?

- Gdzie ona jest?

- Dostanę wszystko, jak ci powiem?

- Gdzie?

- O Evie Lind.
- Jeżeli nie kłamiesz. Gdzie ona jest?
- Była z nią dziewczyna.
- Kto?
- Wiem, gdzie mieszka.

Erlendur zbliżył się do niego.

- Dostaniesz wszystko z powrotem - powiedział. - Co to była za dziewczyna?

- Ragga. Mieszka zaraz tu, niedaleko. Na Tryggvagata. Na samej górze w dużym domu naprzeciwko nabrzeża. - Alli z wahaniem wyciągnął dłoń. - Okej? Obiecałeś. Oddaj mi towar. Obiecałeś.

- Nie ma mowy, żebym ci to oddał, kretynie - uświadomił mu Erlendur. - Absolutnie. I gdybym miał czas, zabrałbym cię na komisariat i wpakował do celi. Tak że jednak coś z tego masz.

- Nie, oni mnie zabijają, błagam! Nie! Daj mi to, proszę. Oddaj mi!

Erlendur już go nie słuchał. Oddalił się, pozostawiając Allego szlochającego pod ścianą, przeklinającego na czym świat stoi i walącego głową w mur w bezsilnej rozpacz. Erlendur jeszcze długo słyszał jego przekleństwa. Co dziwne, nie były kierowane pod jego adresem, lecz pod adresem samego Allego.

- Ty pierdolony durniu, jesteś durniem, durniem, cholernym durniem...

Obrócił się i zobaczył, jak Alli sam siebie policzkuje.

Mały chłopiec, może czteroletni, z nagim torsem i w spodniach od pidżamy, bosi, z brudną czupryną, otworzył drzwi i podniósł wzrok na Erlendura. Ten pochylił się, lecz kiedy wyciągnął rękę, by pogłaskać chłopca,



malec uchylił głowę. Erlendur spytał go, czy mama jest w domu. Zapatrzony w niego badawczym wzrokiem chłopiec nie odpowiedział.

- Eva Lind jest u ciebie, przyjacielu? - zapytał Erlendur.

Czuł, że ma coraz mniej czasu. Minęły jakieś dwie godziny od momentu, kiedy Eva Lind dzwoniła. Usiłował nie myśleć o tym, że już może być za późno na pomoc. Próbował odgadnąć, w jakich tarapatach może znajdować się jego córka, lecz szybko przestał się zadreżczać i skoncentrował na poszukiwaniach. Wiedział, w czym była towarzystwie, kiedy pod wieczór opuszczała Allego. Wiedział, że jest coraz bliżej.

Chłopczyk nie odpowiedział. Cofnął się do środka i zniknął. Erlendur ruszył za nim, ale nie zauważył, gdzie chłopiec wszedł. W mieszkaniu panowały egipskie ciemności. Erlendur starał się namacać na ścianie jakiś włącznik światła. Posuwając się w głąb mieszkania, natknął się na kilka zepsutych. Dopiero kiedy znalazł się w małym pokoju, udało mu się zapalić światło. Z sufitu zwisała samotna żarówka. Na podłodze straszyla betonowa wylewka. Tu i ówdzie po kątach wały się brudne materace, a na jednym z nich leżała dziewczyna, niewiele młodsza od Ewy Lind, w wytartych dżinsach i czerwonej koszulce bez rękawków. Obok niej stało otwarte metalowe pudełko z dwiema igłami do zastrzyków. Cienki wąż ogrodowy z plastiku wił się po podłodze. Na materacach po obu stronach dziewczyny spało dwóch faceków.

Erlendur ukląkł obok dziewczyny i delikatnie nią potrząsnął, ale nie doczekał się żadnej reakcji. Podłożył jej poduszki pod głowę, posadził ją i lekko poklepał po policzku. Coś wymamrotała. Wstał, podniósł ją na nogi i usiłował zmusić do chodzenia po pokoju. Zaczęła trochę

przytomnieć. Otworzyła oczy. Erlendur dostrzegł w ciemności zarys taboretu i posadził ją na nim. Przez chwilę wpatrywała się w niego, lecz zaraz głowa opadła jej na piersi. Erlendur lekko uderzył ją w twarz i znów się ocknęła.

- Gdzie jest Eva Lind? - zapytał.
- Eva - wymamrotała dziewczyna.
- Byłaś z nią dzisiaj. Dokąd poszła?
- Eva...

Głowa znów opadła jej na piersi. W drzwiach do pokoju Erlendur zauważył chłopczyka. Pod pachą trzymał lalkę, w drugiej ręce pustą butelkę, którą wyciągnął w kierunku Erlendura. Następnie włożył do ust smoczek i Erlendur usłyszał odgłos zasysanego powietrza. Spojrzał na chłopczyka i zazgrzytał zębami, po czym wyjął komórkę i zadzwonił po pomoc.

Zgodnie z prośbą Erlendura karetka przywiozła na miejsce lekarza.

- Mogę pana poprosić, żeby dał jej pan zastrzyk? - spytał Erlendur doktora.
- Zastrzyk? - zdziwił się lekarz.
- Myślę, że to heroina. Ma pan z sobą naloxon albo narcantil? W swojej torbie?
- Tak, ja...
- Muszę z nią porozmawiać. Natychmiast. Moja córka jest w niebezpieczeństwie. A ona wie, gdzie mogę ją znaleźć.

Lekarz spojrział na dziewczynę. A potem znów na Erlendura. Skinął głową.

Erlendur położył dziewczynę z powrotem na materacu. Minęła dobra chwila, zanim zaczęła dochodzić do

siebie. Sanitariusze stali nad nią z rozłożonymi noszami. Dziecko schowało się w drugim pokoju. Dwaj mężczyźni nadal leżeli nieprzytomni na materacach.

Erlendur ponownie ukląkł obok dziewczyny. Powoli zaczynała odzyskiwać świadomość. Spojrzała na Erlendura, podniosła wzrok na lekarza i sanitariuszy z noszami.

- Co tu się dzieje? - mruknęła cicho, jakby rozmawiała sama z sobą.

- Co wiesz o Evie Lind? - zapytał Erlendur.

- O Evie?

- Była z tobą dzisiaj wieczorem. Myślę, że może jej grozić jakieś niebezpieczeństwo. Wiesz, dokąd poszła?

- Wszystko w porządku u Evy? - spytała, rozglądając się wokół. - Gdzie Kiddi?

- W tamtym pokoju jest mały chłopiec - odparł Erlendur. - Czekaj na ciebie. Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć Evę Lind?

- A kim ty jesteś?

- Jej ojcem.

- Gliniarz?

- Tak.

- Ona cię nie cierpi.

- Wiem. Wiesz, gdzie ją znajdę?

- Dostała bóli. Powiedziałam jej, żeby poszła do szpitala. No i tam poszła.

- Bóli?

- Brzuch ją rozboleł.

- Skąd tam poszła? Stąd?

- Byłyśmy na placu Hlemmur.

- Hlemmur?

- Chciała iść do kliniki. Nie ma jej tam?

Erlendur wstał, wziął od lekarza numer do szpitala klinicznego i natychmiast zadzwonił. Dowiedział się, że w ciągu kilku ostatnich godzin żadnej dziewczyny imieniem Eva Lind nie przyjęto. Żadna kobieta w wieku Ewy Lind też się u nich sama nie zjawiła. Połączono go z porodówką. Usiłował opisać swoją córkę najlepiej jak potrafił, ale dyżurna położna jej nie kojarzyła.

Wybiegł z mieszkania i łamiąc wszelkie przepisy, pojechał na plac Hlemmur. Nie zauważył tam żywej duszy. Poczekalnię autobusową zamykano o północy. Erlendur zostawił samochód i ruszył spiesznie na ulicę Snorrabraut, szybko przebiegł wzdłuż domów dzielnicy Nordurmyri, rozglądając się za córką po przydomowych ogrodach. Zbliżając się do budynków szpitalnych, zaczął wołać jej imię, ale na próżno.

W końcu znalazł córkę, leżącą w kałuży krwi na trawniku wśród krzaków jakieś pięćdziesiąt metrów od porodówki. Odnalezienie jej nie zajęło mu w sumie zbyt dużo czasu, a jednak się spóźnił. Trawnik, na którym leżała, nasiąkł krwią. Był brunatny, podobnie jak jej spodnie.

Erlendur ukląkł obok córki i spojrzał w stronę porodówki. Widział samego siebie, wchodzącego pewnego deszczowego dnia przez te drzwi z Halldorą. Wtedy przyszła na świat Eva Lind. Czyżby miała odejść z tego świata w tym samym miejscu?

Otarł czoło córki, niepewny, czy powinien ją w ogóle ruszać.

Zdaje się, że była w ósmym miesiącu ciąży.

Kiedys próbowała uciekać, ale już dawno zaprzestała tych prób.

Dwa razy od niego odchodziła. Obu prób dokonała, kiedy jeszcze mieszkali w suterenie przy Lindargata. Minał rok od czasu, jak pobił ją po raz pierwszy, od chwili, kiedy stracił nad sobą panowanie, jak wtedy to określał. Wtedy jeszcze gotów był rozmawiać na temat przemocy, której wobec niej się dopuszczał. Ona nigdy nie uważała, że kiedy ją bije, traci nad sobą panowanie. Według niej nigdy bardziej nad sobą nie panował jak właśnie wtedy, kiedy usiłował pobić ją do nieprzytomności, wyzywając przy okazji od najgorszych. I choć jego ruchy były gwałtowne, zdawał się przy tym chłodny, opanowany i świadomy tego, co robi. Zawsze.

Z czasem zdała sobie sprawę, że i ona musi być taka, jeśli chce go pokonać.

Pierwsza próba ucieczki zakończyła się niepowodzeniem. Nie przygotowała się do niej w ogóle, nie znała swoich możliwości, nie miała pojęcia, dokąd się udać, i nagle w chłodny lutowy wieczór znalazła się na ulicy z dwojgiem dzieci: Simonem, trzymającym ją za rękę, i Mikkeliną, którą niosła na barana. Nie miała pojęcia, dokąd iść. Wiedziała tylko, że musi uciec z sutereny.

Wcześniej rozmawiała na ten temat z pastorem, lecz ten powiedział jej, że dobra żona nie rozwodzi się z mężem. W oczach Boga małżeństwo to święty sakrament i to oczywiste, że ludzie muszą przejść wiele prób, by ich związek przetrwał.

- Pomyśl o dzieciach - upomniął ją pastor.

- Myślę o dzieciach - odparła, a wielebny uśmiechnął się dobitnie.

Nie próbowała zgłaszać tego policji. Dwukrotnie kiedy mąż rzucił się na nią, sąsiedzi zawiadamiali komisarjat. Policjanci zajrzeli nawet do sutereny, by zażegnać

rodzinne niesnaski, po czym po prostu wyszli. Stała wówczas przed nimi z podbitym okiem i pękniętą wargą, a oni kazali obojgu zachowywać się spokojnie. Bo ludzie skarżą się na zakłócanie spokoju. Za drugim razem, dwa lata później, policjanci nawet przeprowadzili z nim rozmowę. Wyprowadzili go z domu, bo wtedy wykrzyczała im, że on się na nią rzucił i chciał ją zabić, i to nie pierwszy raz. Spytałi, czy piła alkohol. Nie zrozumiała pytania. Czy piła, powtórzyli. Zaprzeczyła. Nigdy nie piła. Przy drzwiach coś mu powiedzieli. A potem go pożegnali. Uściskiem dłoni.

Kiedy sobie poszli, pogłodził ją po policzku. Brzytwą.

I wtedy wieczorem, kiedy spał sobie w najlepsze, wzięła Mikkelinę na plecy, a małego Simona cichutko wypchnęła z mieszkania i w górę po schodkach. Ze stelażu dużego wózka dzieciennego, który znalazła na wysypisku śmieci, przygotowała specjalny wózek dla Mikkeliny, ale on tego wieczoru zniszczył go w napadzie szału, jakby się spodziewał, że ona zechce go rzucić. Jakby w ten sposób miał zamiar ją powstrzymać.

Ucieczka była kompletnie nieprzygotowana. W końcu zgłosiła się do Armii Zbawienia, gdzie pozwolili jej przemocować. Nie miała żadnych krewnych, ani w Reykjavíku, ani gdzie indziej, więc jak tylko on się rano obudził i zauważył, że ich nie ma, wyruszył na poszukiwania. Miotał się po mroźnym mieście w samej koszuli, aż w końcu zobaczył ich wychodzących z siedziby Armii Zbawienia. Ona go nie widziała, dopóki nie wyrwał jej syna i nie chwycił na ręce córki. I bez słowa, w milczeniu, ruszył do domu, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo. Ani razu nie obejrzał się za siebie. Dzieci były zbyt przerażone, by protestować, a ona widziała, jak Mikkelina wyciąga do niej ręce i bezgłośnie szlocha.

Co sobie wtedy myślała?

W końcu ruszyła za nimi.

Po drugiej próbie zagroził, że zabije dzieci, więc nie próbowała więcej uciekać. Ale wtedy była lepiej przygotowana. Wyobrażała sobie, że uda jej się zacząć nowe życie. Wyjechać z dziećmi do osady rybackiej na północy kraju, wynająć pokój lub małe mieszkanie, pracować przy patroszeniu ryb i dbać o to, by niczego im nie brakło. Tym razem poświęciła trochę czasu na przygotowania. Postanowiła wyprowadzić się do Siglufjördur. Po ciężkich latach kryzysu było tam dość pracy, ludzie napływali z całego kraju, więc ona i dzieci nie rzucałyby się w oczy. Mogłaby mieszkać w hotelu robotniczym, zanim załatwi sobie pokój.

Podróż z dziećmi autobusem dalekobieżnym swoje kosztowała, a on przecież skąpił każdego grosza, którego zarobił w porcie. Długi czas minął, nim udało jej się zbierać tych kilka koron i uznała, że starczy na przejazd. Wzięła tyle dziecięcych ubranek, ile zmieściło się w jednej małej walizce, kilka drobiazgów osobistych i wózek, który naprawiła i który wciąż jeszcze nadawał się do wożenia Mikkeliney. Szybkim krokiem poszła na dworzec autobusowy i zalekniona rozglądała się wokół, jakby się spodziewała ujrzeć go na najbliższym skrzyżowaniu.

Jak zwykle przyszedł do domu na przerwę obiadową i od razu zauważył, że od niego odeszła. Wiedziała, że ma być gotowa z obiadem, kiedy on wraca, i nigdy dotąd nie zdarzyło jej się o tym zapomnieć. Zauważył, że zniknął wózek. Szafa z ubraniami stała otwarta. Brakowało walizki. Pomny poprzedniej próby ucieczki, natychmiast pognął do siedziby Armii Zbawienia, a kiedy usłyszał, że jej u nich nie ma, zrobił karczemną awanturę. Ganiał po

całym budynku, sprawdzał wszystkie pokoje, piwnicę. A gdy ich nie znalazł, rzucił się na kierownika domu, przewrócił go na podłogę i zagroził, że go zabije, jeśli ten nie powie mu, gdzie ich ukrył.

W końcu jednak dotarło do niego, że nie szukała pomocy w Armii Zbawienia, i zaczął poszukiwania na mieście. Ale też jej nie znalazł. Wdzierał się do sklepów i restauracji, lecz nigdzie jej nie zauważył. Jego wściekłość i szala rosły. Wrócił w końcu do sutereny nieprzytomny z wściekłości. Wywrócił wszystko do góry nogami, szukając jakichś wskazówek, gdzie mogła się udać. Następnie pognął do mieszkań jej dwóch przyjaciółek jeszcze z czasów, gdy pracowała u kupca, odepchnął je od drzwi i wtargnął do środka, wołając ją i dzieci. Potem znów wybiegł, nie przepraszając za swoje zachowanie, i zniknął.

Przyjechała do Siglufjordur o drugiej w nocy po niemal nieprzerwanej całodziennym podróży. Autokar zatrzymał się tylko trzy razy, by podróżni mogli rozprostować kości i zjeść zabrany na drogę posiłek lub zrobić zakupy w przydrożnych sklepikach. Ona przygotowała sobie prowiant na drogę, chleb i mleko w butelce, ale byli już głodni, kiedy autokar dotarł do Haganesvik w prowincji Fljot, gdzie czekał prom, który zabrał ich do Siglufjordur. W taki to sposób znalazła się z dwójką dzieci w zimną noc na parkingu przy nabrzeżu. Odnalazła hotel robotniczy i brygadzysta skierował ją do małej klitki z jednoosobowym łóżkiem, pożyczył dodatkowy materac na podłogę i tam spędzili pierwszą noc wolności. Dzieci zasnęły od razu, gdy tylko położyły się na materacu, a ona leżała na łóżku wpatrzona w ciemność. Nie potrafiła opanować drżenia całego ciała. W końcu rozkleiła się i rozpłakała.



Znalazł ją kilka dni później. Rozważał, że wyjechała z miasta, niewykluczone, że autobusem. Udał się zatem na dworzec autobusowy i wypytywał ludzi. Wreszcie dowiedział się, że jego żona i dzieci wsiadły do autokaru jadącego na północ do Siglufjordur. Rozmawiał z kierowcą, który doskonale pamiętał kobietę z dwojgiem dzieci, a zwłaszcza niepełnosprawną dziewczynkę. Kupił więc bilet na najbliższy kurs do Siglufjordur, gdzie zjawił się tuż przed północą. Biegał od kwatery do kwatery i w końcu, dzięki informacjom od brygadzysty, odnalazł ją, śpiącą w klitce. Zresztą dość zgrabnie przedstawił brygadziście całą sprawę. Ona przyjechała przed nim do miasteczka, ale pewno długo tu nie zabawią.

Wślizgnął się do pokoiku. Mdłe światło wpadało z ulicy przez niewielkie okno. Stał nad dziećmi, śpiącymi na materacu. Przeszedł ponad nimi i pochylił się nad nią. Ich twarze prawie się dotknęły. Szarpnął ją. Spała kamiennym snem, więc szarpnął jeszcze raz, mocniej, aż otworzyła oczy. Uśmiechnął się na widok strachu w jej oczach. Chciała wołać o pomoc, ale położył dłoń na jej ustach.

- Naprawdę myślałaś, że to ci się uda? - szepnął groźnie.

Patrzyła na niego z przerażeniem.

- Naprawdę myślałaś, że to takie łatwe?

Wolniutko skinęła głową.

- Wiesz, co najchętniej teraz bym zrobił? - cedził przez zaciśnięte zęby. - Zabrałbym twoją córkę tam na górę, zabił ją i pogrzebał w ziemi w miejscu, gdzie nikt by jej nie znalazł. I powiedziałbym, że niedojda musiała wpaść do morza. I wiesz co? Zrobię to. Zaraz to zrobię, natychmiast. Jeśli tylko piśniesz, to chłopaka też zabiję. Powiem, że wlaźł do morza za nią.

Usłyszała coś jakby cichutki skowyt. Spojrzała na śpiące dzieci. A on się uśmiechnął. Zabrał dłoń z jej ust.

- Nigdy więcej tego nie zrobię - jęknęła. - Nigdy. Nigdy więcej tego nie zrobię. Przepraszam. Przepraszam. Nie wiem, co sobie myślałam. Przepraszam. Jestem nienormalna. Wiem. Jestem nienormalna! Ale nie mścij się na dzieciach. Zbij mnie. Mnie zbij. Z całej siły. Zbij mnie tak mocno, jak tylko potrafisz. Możemy wyjść, jeśli chcesz.

Jej rozpacz napelniała go odrazą.

- Chcesz tego - powiedział. - Właśnie tego chcesz. No to spełnimy twoją wolę.

Wykonał ruch, jakby chciał wziąć śpiącą obok Simona Mikkelineę, lecz ona złapała go za rękę, półprzytomna z przerażenia.

- Zobacz - powiedziała i zaczęła bić się po twarzy. - No, zobacz. - Szarpała się za włosy. - Widzisz? - Usiadła i tak długo waliła tyłem głowy o metalowe oparcie łóżka, że wreszcie osunęła się nieprzytomna na podłogę.

Następnego ranka już siedzieli w autokarze jadącym na południe. Przepracowała zaledwie kilka dni przy soleniu śledzi, a on poszedł z nią po wypłatę. Pracowała na dużym placu, na którym solono śledzie. Dzięki temu mogła obserwować bawiące się w pobliżu dzieci, a nawet kontrolować je, kiedy przebywały w ich małym mieszkaniu. On wytłumaczył brygadziście, że muszą jechać z powrotem do Reykjaviku, otrzymali bowiem stamtąd wiadomości, które zmieniły ich plany, a ona nie dostała jeszcze wypłaty. Brygadzista zapisał coś na kartce i kazał iść do biura. Patrzył na nią, podając jej kartkę. Wyglądało, jakby chciał coś powiedzieć. Wziął jej strach za nieśmiałość.

- Wszystko w porządku? - zapytał wreszcie.

- W najlepszym porządku - odparł on i pociągnął ją za sobą.

Kiedy wrócili do mieszkania w suterenie w Reykjavíku, nawet jej nie dotknął. Stała na środku pokoju w nędznym palcie, z walizką w ręku, i spodziewała się ciągów, jakich nigdy dotąd jeszcze nie dostała, ale nic takiego nie nastąpiło. To, że sama się znokautowała w łóżku, kompletnie go zdezorientowało. Nie chciał szukać pomocy, sam ją ocucił, okazując jej troskę po raz pierwszy od czasu, gdy się pobrali. Kiedy się ocknęła, powiedział, że powinna zrozumieć, że nie wolno jej nigdy go opuścić. To już raczej on zabije i ją, i dzieci. Jest jego żoną i na zawsze nią pozostanie.

Na zawsze.

Nigdy więcej już nie próbowała uciekać.

Mijały lata. Jego plany, żeby pracować na morzu, skończyły się już po trzech rejsach. Cierpiał na chorobę morską, której nie umiał pokonać. A na to nałożył się jeszcze strach przed pływaniem, od którego także nie mógł się uwolnić. Bał się, że łajba zatonie. Bał się, że wypadnie za burtę. Bał się pogody. Podczas ostatniego rejsu rozpuętała się burza. Miał wrażenie, że łódź zaraz się wywróci, więc cały czas siedział w mesie i płakał, bo wydawało mu się, że nadeszła ostatnia chwila jego życia. Nigdy potem jego noga nie postąpiła na statku.

Zdawał się niezdolny do okazywania jej serdeczności. W najlepszym przypadku traktował ją obojętnie. Przez pierwsze dwa lata małżeństwa, kiedy ją bił albo doprowadzał do łez, obrzucając obelgami, miewał coś na kształt poczucia winy. Ale z czasem przestał okazywać skruchę, zupełnie jakby to, co robił, nie było niczym

niezwyczajnym. Jakby nie było wynaturzeniem ich współżycia, lecz czymś koniecznym i słusznym. Czasem nawet przychodziło jej do głowy, że on też zdaje sobie sprawę, że przemoc, jaką wobec niej stosuje, świadczy o jego słabości. Że im więcej ją bije, tym sam staje się słabszy. Obwiniął ją o to. Krzyczał, że to jej wina, że on zachowuje się wobec niej tak, jak się zachowuje. Bo to ona go do tego zmusza, ponieważ nie jest w stanie niczego zrobić tak, jak on sobie życzy.

Nie mieli wielu przyjaciół, a wspólnych żadnych, więc ona zaraz po ślubie zupełnie odizolowała się od świata. A kiedy czasem spotykała swoje przyjaciółki z okresu pracy u kupca, nigdy nie wspominała o upokorzeniach doznawanych od męża. Później kontakty z nimi wygasły. Bo wstydziała się tej przemocy. Wstydziała się, że jest bita i poniżana w najmniej spodziewanych momentach. Wstydziała się swoich podbitych oczu, rozciętych warg, siniaków na całym ciele. Wstydziała się swojego życia, które innym musiało się wydawać zupełnie niezrozumiałe, wynaturzone i brzydkie. Chciała je ukryć. Chciała zamknąć się w domu i wyrzucić klucz w nadziei, że nikt go nie znajdzie. Ale taki widocznie musiał być jej los, nieunikniony i niezmienny.

Dzieci były dla niej wszystkim. Pokrewnymi duszami, dla których żyła. Zwłaszcza Mikkelina, ale również Simon, kiedy zaczął dorastać, i najmłodszy chłopiec, któremu dali na imię Tomas. Sama wybrała imiona dla dzieci. On się nimi zupełnie nie interesował, chyba że wtedy, gdy na nie narzekał. Ile to takie muszą żreć. Jak to po nocy jazgoczą. Dzieci cierpiały, gdy ją bił, ale były też dla niej bezcenną pociechą, gdy takowej potrzebowała.

Pozbawił ją resztek godności. Z natury była skromna i niewymagająca, gotowa wszystkim nieba przychylić, uczynna i pomocna, a nawet oddana. Kiedy ktoś się do niej odezwał, uśmiechała się z zakłopotaniem i bardzo musiała się wysilać, by nie sprawić wrażenia nieśmiałej. On przez to uważał ją za niezgułę. Czerpał energię, żywiąc się na niej, aż w końcu z jej ego nie zostało nic. Całe jej istnienie zostało podporządkowane jemu. Jego nastrojom. Musiała mu usługiwać. Przestała o sobie dbać, jak robiła to wcześniej. Przestała się regularnie myć. Nie interesował ją jej własny wygląd. Oczy miała podkrążone, twarz zwiędłą; poszarzała, przygarbiona, głowę nosiła spuszczoną, jakby lękała się podnieść wzrok. Jej gęste, piękne włosy straciły blask i kolor i brudne kleiły się do głowy. Sama je obcinała kuchennymi nożyczkami, kiedy uznała, że są zbyt długie.

Albo kiedy on uznał, że są zbyt długie.

Straszna fleja.

## 6.

Archeologowie od wczesnych godzin rannych kontynuowali prace wykopaliskowe w rejonie znaleziska. Policjanci pilnujący terenu przez noc pokazali im miejsce, w którym Erlendur odkopał rękę, a Skarphedinn się wściekł, gdy zobaczył, jak komisarz rozgrzebał ziemię. Aż do południa słychać było, jak w kółko powtarza pod nosem: cholerni amatorzy. Jemu wykopaliska kojarzyły się ze świętym obrzędkiem usuwania ziemi warstwa po warstwie, aż historia odkrywanego artefaktu ukaże się w całej okazałości, objawiając tajemnice. Każdy detal był istotny, każda grudka ziemi mogła skrywać wiedzę na temat przeszłości. Dyletanci tylko niszczyli istotne dowody.

Wszystkie te żale wylał na Elinborg i Sigurdura Olego, choć oboje byli Bogu ducha winni. Jednocześnie wydawał polecenia swoim ludziom. Z powodu tej pedanterii prace postępowały niezwykle wolno. Cały teren został opasany taśmami oznaczającymi kolejność prac. Chodziło o to, by przy kopaniu nie zmienić sposobu ułożenia szkieletu. Mieli także dopilnować, by nie uszkodzić dłoni, mimo że trzeba było ją odkopać, przyglądając się

jednocześnie z uwagą każdemu ziarnku piasku.

- Dlaczego dłoń wystaje z ziemi? - spytała Elinborg, zatrzymując Skarphedinna, który akurat, zajęty czym innym, przechodził obok niej.

- Trudno powiedzieć - odparł. - W najgorszym przypadku może to świadczyć o tym, że ten, kto tu spoczywa, żył jeszcze, gdy go zakopywano, i usiłował jakoś się bronić. Albo chciał się wydostać spod ziemi.

- Żył jeszcze! - jęknęła Elinborg. - Chciał się wydostać spod ziemi?

- Ale niekoniecznie. Możliwe, że ręka po prostu tak się ułożyła, kiedy ciało złożono w ziemi. Na razie jest za wcześnie, by cokolwiek powiedzieć. I proszę mi nie przeszkadzać.

Sigurdur Oli i Elinborg dziwili się, że Erlendur jeszcze nie zjawiał się na terenie wykopalisk. Wprawdzie był dość nieobliczalny i zdolny do wszystkiego, ale wiedzieli też, że zaginięcie ludzi od dawna stanowi jego największe hobby, a znaleziony w ziemi szkielet może się okazać właśnie kluczem do rozwiązania zagadki zaginięcia z przeszłości, które wyszperał z rozkoszą w poźółkłym archiwum policji. Kiedy minęło południe, Elinborg zaczęła do niego wydzwaniać, zarówno do domu, jak i na komórkę, ale bez efektu.

Około czternastej odezwała się natomiast jej własna komórka.

- Jesteś tam? - usłyszała niski głos, który od razu poznała.

- Gdzie jesteś?

- Trochę mi tu zejdzie. Jesteś przy fundamencie?

- Tak.
- Widzisz krzaki? Myślę, że to krzaki porzeczek. Rosną jakieś trzydzieści metrów na wschód od wykopu, prawie w linii prostej, troszkę na południe.
- Krzaki porzeczek? - Elinborg rozejrzała się, mrużąc oczy. - Tak - powiedziała w końcu. - Widzę je.
- Zostały tam posadzone dawno, dawno temu.
- Tak.
- Dowiedz się dlaczego. Czy ktoś tam mieszkał. Czy dawniej stał tam dom. Wpadnij do biura architekta miejskiego i zdobądź plany tego terenu, może nawet zdjęcia lotnicze, jeśli jakieś mają. Być może będzie trzeba przejrzeć akta od początku wieku aż do lat sześćdziesiątych co najmniej. A może i późniejszych.
- Myślisz, że na tym wzgórzu stał dom? - spytała Elinborg, rozejrzawszy się wokół. Nie próbowała nawet udawać, że w to wierzy.
- Myślę, że powinniśmy to sprawdzić. Co robi Sigurdur Oli?
- Sprawdza przypadki zaginięć po wojnie. Tak na początek. Czekał na ciebie. Powiedział, że ty najbardziej lubisz taką właśnie robotę.
- Rozmawiałem przed chwilą ze Skarphedinnem i powiedział mi, że z czasów wojny pamięta koszary wojskowe po drugiej stronie, w Grafarholt. Tam, gdzie teraz jest pole golfowe.
- Koszary?
- Tak. Brytyjskie albo amerykańskie. Obóz wojskowy. Baraki. Nie pamięta, jak nazywano to miejsce. Powinnaś też to kazać sprawdzić. Sprawdzić, czy Brytyjczycy nie zgłaszali jakiegoś zaginięcia z tego obozu. Albo Amerykanie, którzy ich zluzowali.



- Brytyjczycy? Amerykanie? W czasie wojny? Czekaj, a gdzie to sprawdzę? - Elinborg była zaskoczona.  
- Kiedy Amerykanie przejęli te koszary po Brytyjczykach?

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. To mogła być baza zaopatrzeniowa, intendentura. Tak uważa Skarphedinn. No i interesują mnie domki letniskowe na wzgórzu i wokół. Czy mogą się z nimi wiązać jakieś przypadki zaginięć. Nawet jeśli to tylko plotki lub podejrzenia. Musimy pogadać z ludźmi z tych starych domków w okolicy.

- Strasznie dużo roboty jak na kilkudziesięcioletnie kości - zaprotestowała Elinborg i kopnęła kamyk. - A ty co właściwie robisz? - spytała z wyrzutem.

- Nic przyjemnego - odparł Erlendur i przerwał połączenie.

Wrócił na OIOM ubrany w zielony fartuch z fizeliny, z maseczką na twarzy. Eva Lind leżała na wielkim łóżku, podłączona do różnego rodzaju urządzeń, których zastosowania Erlendur kompletnie nie kojarzył. Usta i nos zasłaniała jej maska tlenowa. Zatrzymał się u stóp łóżka i przyglądał się córce. Była w śpiączce. Jeszcze nie odzyskała przytomności. Na jej twarzy malował się spokój, jakiego Erlendur nigdy wcześniej nie widział. Harmonia, jakiej nie znał. Kiedy tak leżała, jej rysy zdawały się wyraźniejsze, brwi mocniej zarysowane, kości policzkowe wydatniejsze, a oczy głębiej osadzone.

Na trawniku przed szpitalem, kiedy bezskutecznie próbował ocucić Evę, zadzwonił pod numer alarmowy. Wyczuwał u niej słaby puls. Przykrył córkę płaszczem, ale nie miał odwagi jej ruszyć. Wkrótce zjawiała się ta sama karetka, która przyjechała na ulicę Tryggvagata, z

tym samym lekarzem. Sanitariusze ostrożnie ułożyli Evę Lind na noszach i wsunęli je do karetki. Auto błyskawicznie pokonało krótki odcinek do izby przyjęć.

Od razu zabrano Evę Lind na operację, która trwała prawie całą noc. Erlendur krążył po niedużej poczekalni oddziału chirurgicznego, zastanawiając się, czy nie powinien powiadomić byłej żony. Miał opory, by do niej dzwonić. W końcu znalazł rozwiązanie. Obudził Sindriego Snaera i powiedział mu o siostrze, prosząc przy okazji, by skontaktował się z Halldorą, aby i ona mogła odwiedzić córkę w szpitalu. Chwilę porozmawiali. Sindri w najbliższym czasie nie wybierał się do stolicy. Nie uznał choroby Evy Lind za dostateczny powód do odbycia takiej podróży. Rozmowa sama jakoś wygasła.

Erlendur odpalał jednego papierosa od drugiego pod tablicą informującą o zakazie palenia, dopóki chirurg z maseczką na twarzy zdrowo go nie zbeształ za łamanie zakazu. Kiedy sobie poszedł, odezwała się komórka Erlendura. Dzwonił Sindri z wiadomością od Halldory: Erlendurowi dobrze zrobi, jak raz posiedzi sobie przy córce.

Nad ranem lekarz operujący Evę Lind zamienił z Erlendurem kilka słów. Sytuacja nie wyglądała dobrze. Nie udało im się uratować dziecka i nie mieli pewności, czy zabieg przeżyje sama Eva.

- Jest w bardzo złym stanie - powiedział lekarz, wysoki, drobnokościsty mężczyzna koło czterdziestki.

- Tak - rzekł Erlendur.

- Długotrwałe niedożywienie i uzależnienie od narkotyków. Było mało prawdopodobne, by dziecko przyszło na świat zdrowe, więc może... choć oczywiście nie powinienem tak mówić...

- Rozumiem - przytaknął Erlendur.  
- Nigdy nie zastanawiała się nad aborcją? W takich przypadkach jak ten to jest...

- Chciała urodzić - przerwał mu Erlendur. - Miała nadzieję, że to jej pomoże. Poza tym ja na nią naciskałem. Próbowwała zerwać z narkotykami. Jakaś mała częśćka Ewy chciała uwolnić się od tego piekła. Mała częśćka, która czasem się ujawnia i ma ochotę zacząć nowe życie. Ale to zazwyczaj zupełnie inna Eva podejmuje decyzje. Okrutna i bezlitosna. Jakaś Eva, której nie rozumiem. Jakaś Eva, która pragnie tego spustoszenia. Tego piekła.

Zorientował się, że rozmawia z człowiekiem, którego zupełnie nie zna, więc zamilkł.

- Wierzę, że to ciężkie doświadczenie dla rodziców - powiedział lekarz.

- Co się stało?

- Odklejenie się łożyska. Obfity krwotok wewnętrzny po oderwaniu się placenty w połączeniu z zatruciem organizmu. Czekamy jeszcze na szczegółowe wyniki badań. Ale straciła bardzo dużo krwi i nie udało nam się wybudzić jej z śpiączki. To nie musi oznaczać niczego szczególnego. Jest bardzo osłabiona.

Przez chwilę milczeli.

- Kontaktował się pan z rodziną? - spytał lekarz. - Żeby mogli być tu z panem albo...

- Moja rodzina nie istnieje - przerwał mu Erlendur. - Jesteśmy rozwiedzeni. Ja i jej matka. Ale ją poinformowałem. Również brata Ewy. Pracuje obecnie na prowincji. Nie mam pojęcia, czy jej matka się tu zjawi. Wygląda na to, że ma już wszystkiego dość. Bardzo jej było ciężko. Przez całe życie.

- Rozumiem.

- Wątpię - odparł Erlendur. - Ja sam tego nie rozumiem.

Wyjął z kieszeni płaszcza kilka foliowych torebek i pojemnik z pigułkami i pokazał je lekarzowi.

- Możliwe, że zażyła coś z tego - powiedział. Lekarz wziął do ręki truciznę i przyjrzał się pigułkom.

- Ecstasy?

- Na to wygląda.

- To wiele wyjaśnia. W jej krwi znaleźliśmy wiele różnych substancji.

Erlendur był zdenerwowany. Przez chwilę milczeli, on i lekarz.

- Wie pan, kto jest ojcem? - spytał lekarz.

- Nie.

- A myśli pan, że ona wie?

Erlendur patrzył chwilę na lekarza, po czym z rezygnacją wzruszył ramionami. I znów umilkli.

- Czy ona umrze? - spytał wreszcie Erlendur.

- Tego nie wiem - odparł lekarz. - Ale miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Erlendur wahał się, czy zadać następne pytanie. Bał się to zrobić. W końcu jednak postanowił stawić czoło rzeczywistości.

- Mogę go zobaczyć? - spytał.

- Go? Co pan chce...?

- Mogę zobaczyć płód? Mogę zobaczyć dziecko?

Lekarz patrzył na niego bez specjalnego zdziwienia. Raczej ze zrozumieniem. Skinął głową i poprosił, by Erlendur poszedł za nim. Długim korytarzem doszli do niewielkiej salki. Zupełnie pustej. Lekarz nacisnął włącznik. Świetlówki mrugały przez chwilę, po czym pomieszczenie rozświetlił niebieskawy blask. Doktor

podszedł do stalowego stołu, uniósł nieduże prześciera-  
dło i ich oczom ukazało się martwe dziecko.

Erlendur spojrział na nie i palcem pogładził po po-  
liczku.

Była to dziewczynka.

- Może mi pan powiedzieć, czy moja córka obudzi  
się z tego letargu?

- Tego nie wiem - odparł doktor. - Nie da się tego  
powiedzieć. Przede wszystkim, sama musi tego pragnąć.  
Bardzo dużo zależy od niej samej.

- Biedne dziecko - rzekł w zamyśleniu Erlendur.

- Powiada się, że czas goi rany - odezwał się lekarz  
w obawie, że jego rozmówca się rozklei. - To dotyczy  
zarówno ciała, jak i duszy.

- Czas - powtórzył Erlendur, okrywając przeście-  
radłem małe zwłoki. - Czas nie goi żadnych ran.

## 7.

Siedział przy córce aż do osiemnastej. Halldora się nie pokazała. Sindri Snaer dotrzymał słowa i nie przyjechał do miasta. Z nikim innym Erlendur nie mógł dzielić swoich zmartwień. Stan Evy Lind pozostawał bez zmian. Erlendur nie spał ani nie jadł od poprzedniego dnia. Był wykończony. W ciągu dnia rozmawiał przez telefon z Elinborg, a teraz postanowił spotkać się z nią i Sigurdurem Olim w biurze. Wychodząc, pogłaskał córkę po policzku i pocałował w czoło.

Gdy zasiadł przy stole na wieczorną naradę z Sigurdurem Olim i Elinborg, nie puścił pary z ust na temat ostatnich wydarzeń. Po południu dotarły do nich jakieś plotki z komisariatu o tym, co się stało z jego córką, ale nie mieli odwagi o to zapytać.

- Kopią koło szkieletu - poinformowała go Elinborg. - Strasznie wolno im to idzie. Można by odnieść wrażenie, że używają do tego wykalaczek. Dłoń, na którą się natknąłeś, wystaje już z ziemi, odkopali ją do nadgarstka. Lekarz okręgowy ją obejrzał, ale powiada, że nic nie może stwierdzić, poza tym, że to są szczątki człowieka o raczej małych dłoniach. Niewiele nam to wyясnia. Archeologom nie udało się znaleźć w glebie niczego,

co mogłoby podpowiedzieć, co się stało, albo kto jest tam pogrzebany. Uważają, że jutro po południu, najpóźniej pod wieczór, uda im się odkopać cały szkielet, co wcale nie znaczy, że uzyskamy jakieś ważne wskazówki. Takich informacji musimy oczywiście szukać gdzie indziej.

- Sprawdziłem dane dotyczące zaginięć ludzi w Reykjavíku i najbliższej okolicy - odezwał się Sigurdur Oli. - Mamy około pięćdziesięciu niewyjaśnionych przypadków w latach trzydziestych i czterdziestych. To może być któraś z tych osób. Kazałem też posegregować te zaginięcia ze względu na płeć i wiek. Pozostaje tylko oczekiwać na raport lekarza sądowego.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś z tamtego terenu zniknął? - spytał Erlendur.

- Sądząc po adresach zaginionych, podanych w raportach, to nie - odparł Sigurdur Oli. - Chociaż nie sprawdziłem jeszcze wszystkich. Niektórych w ogóle nie kojarzę. Ale kiedy otrzymamy raport medyczny na temat wieku, wzrostu i płci, będziemy mogli zawęzić grupę, może nawet znacznie. Przypuszczam, że to był mieszkaniec Reykjavíku. Na to chyba wskazuje logika, prawda?

- A gdzie jest lekarz sądowy? - zainteresował się Erlendur. - Jedyne, jakiego mamy.

- Na urlopie - rzuciła Elinborg. - W Hiszpanii.

- Sprawdziłaś, czy przy tamtych zaroślach stał dom? - zwrócił się do niej Erlendur.

- Jaki dom? - zapytał Sigurdur Oli.

- Nie, jeszcze nie miałam kiedy - odparła. Spojrzała na Sigurdura Olego. - Erlendur sądzi, że od strony północnej na pagórku stał dom, i uważa, że od strony południowej miały swoją bazę zaopatrzeniową wojska

brytyjskie lub amerykańskie. Chce, żebyśmy przepytali wszystkich właścicieli domków letniskowych aż do jeziora Reynisvatn. Ich babcie także, więc mam zamiar wybrać się na seans spirytystyczny i pogadać z Churchillem.

- To tak na początek - potwierdził Erlendur. - A jakie są wasze teorie na temat znalezionych kości?

- Czy to nie jest oczywiste morderstwo? - odezwał się pierwszy Sigurdur Oli. - Popelnione pół wieku temu, a może nawet dawniej. Przez cały ten czas ukryte pod ziemią. Nikt nic nie wie.

- On, a raczej denat - poprawiła się Elinborg - ewidentnie został tam zakopany po to, by ukryć zbrodnię. Myślę, że to jest dość oczywiste.

- Nie masz racji, że nikt nic nie wie - wtrącił się Erlendur. - Zawsze jest ktoś, kto coś wie.

- Wiemy, że żebra zostały złamane - powiedziała Elinborg. - To na pewno świadczy o jakiejś walce.

- Akurat - wtrącił sceptycznie Sigurdur Oli.

- A może nie? - zdziwiła się Elinborg.

- A to, że przez tyle lat leżały zakopane pod ziemią, nie mogło tak na nie wpłynąć? - spytał Sigurdur Oli. - Ciężar gleby. Może zmiany temperatury. Ujemnej i dodatniej na zmianę. Rozmawiałem z tym geologiem, którego sprowadziłaś, i wspominał o czymś takim.

- Ale już samo to, że pogrzebany jest tu człowiek, musi świadczyć o jakiejś walce. To mówi samo za siebie, prawda? - Elinborg spojrzała na Erlendura i zauważyła, że myśli zupełnie o czymś innym. - Erlendur? - ponagliła go. - Prawda?

- Jeżeli to jest morderstwo - odparł Erlendur, wracając do rzeczywistości.



- Jeżeli to jest morderstwo? - powtórzył zdumiony Sigurdur Oli.

- Nie mamy co do tego żadnej pewności - wyjaśnił Erlendur. - Może to jakiś stary grobowiec rodzinny. Może tych ludzi nie było stać na pochówek? Może to kości jakiegoś starego włóczęgi, który w tym miejscu wyzionął ducha i tu został pochowany za zgodą władz? Może te zwłoki złożono tam sto lat temu? Może pięćdziesiąt? Brakuje nam jeszcze wielu istotnych informacji. Dopiero jak je zdobędziemy, będziemy mogli przestać snuć bezsensowne domysły.

- To nie ma obowiązku chowania ludzi w poświęconej ziemi? - zdziwił się Sigurdur Oli.

- Wydaje mi się, że możesz kazać się pochować, gdzie tylko zechcesz - odparł Erlendur. - Jeśli ktoś zechce mieć twoje zwłoki u siebie w ogródku.

- A co z ręką wystającą spod ziemi? - zastanawiała się Elinborg. - Czy to nie świadczy o odbytej walce?

- Tak - powiedział Erlendur. - Wydaje mi się, że stało się tam coś, co przez te wszystkie lata wciąż było tajemnicą. Pochowano tam kogoś, kto miał pozostać nieodnaleziony, ale potem to miejsce wchłonął Reykjavik, i naszym zadaniem jest wyjaśnić, co się stało.

- Jeśli on, założmy, że to on - rzekł z namysłem Sigurdur Oli - nasz człowiek tysiąclecia, jeśli lata temu został zabity, to czy nie możemy założyć z pewnym prawdopodobieństwem, że jego morderca zmarł ze starości? A nawet jeśli jeszcze żyje, musi być bardzo stary, właściwie stoi nad grobem, więc chyba absurdem jest go ścigać i karać? Zresztą pewnie wszyscy w jakikolwiek sposób związani z tą sprawą już dawno poumierali,

zatem nawet jeśli kiedyś odkryjemy, co się stało, to i tak nie będziemy mieć świadków. Tak, że...

- Do czego zmierzasz?

- Czy to nie jest wystarczający powód, by się zastanowić, czy powinniśmy angażować w tę sprawę takie siły i środki? No bo w końcu czy to ma aż takie znaczenie?

- A może w ogóle powinniśmy dać sobie z tym spokój? - spytał z ironią Erlendur.

Sigurdur Oli wzruszył ramionami, jakby o sobiście było mu wszystko jedno.

- Morderstwo to morderstwo - podsumował Erlendur. - Nieważne, ile minęło lat. Jeśli mamy do czynienia z morderstwem, musimy ustalić, co się stało, kto został zamordowany i dlaczego, i wyjaśnić, kim był morderca.

Moim zdaniem powinniśmy podchodzić do tej sprawy jak do każdego innego śledztwa. Zdobywać informacje. Rozmawiać z ludźmi. Miejmy nadzieję, że to nas przybliży do wyjaśnienia sprawy.

Wstał.

- Jakies wyniki nasz wysiłek na pewno przyniesie - dodał. - Porozmawiajmy z właścicielami domków letniskowych i ich babciami. - Spojrzał na Elinborg. - Dowiedzmy się, czy przy porzeczkach stał dom. Więcej zaangażowania.

Pożegnał ich zamyślony i wyszedł na korytarz. Elinborg i Sigurdur Oli spojrzeli sobie w oczy. Sigurdur Oli skinął głową w kierunku drzwi. Elinborg wstała i wyszła za Erlendurem.

- Zaczekaj - zatrzymała go.

- Tak, słucham?

- Jak się czuje Eva Lind? - spytała ostrożnie.

Erlendur patrzył na nią w milczeniu.

- Dowiedzieliśmy się o tym na komisariacie. Gdzie została znaleziona. To okropne. Jeśli jest coś, co ja albo Sigurdur Oli możemy dla ciebie zrobić, to bez wahania daj nam znać.

- Przecież niczego nie da się zrobić - odparł zmęczony Erlendur. - Leży tam po prostu na sali i nikt nie może nic zrobić.

Zawahał się chwilę.

- Zwiedziłem ten jej świat, kiedy jej szukałem. Co nieco już widziałem, bo i wcześniej się zdarzało, że musiałem jej poszukiwać w tych miejscach, na tych ulicach, w tych domach, ale zawsze jednakowo zaskakuje mnie to, jakim ona żyje życiem, jak źle się ze sobą obeszła, jak sama się zadręcza. Widziałem ludzi, z którymi się zadaje, ludzi, do których się zwraca o pomoc, u których szuka litości, nawet takich, dla których wykonuje niewyobrażalną pracę.

Przerwał.

- Ale nie to jest najgorsze - dorzucił. - Nie te wyrzutki, nie drobni przestępcy czy dilerzy. To prawda, co mówi stara, jej matka.

Spojrzał na Elinborg.

- To ja jestem najgorszy - powiedział - bo to ja zawiodłem.

Po powrocie do swojego mieszkania w bloku Erlendur wykończony usiadł w fotelu i zadzwonił do szpitala z pytaniem o stan Evy Lind. Dowiedział się, że jest bez zmian. Ale jeśli tylko coś się zmieni, skontaktują się z nim. Podziękował i odłożył słuchawkę. Potem siedział i głęboko zamyślony patrzył przed siebie. Myślał o Evie Lind leżącej na OIOM-ie, o swojej byłej żonie i nienawiści,

którą wciąż się w życiu kierowała, o swoim synu, z którym nigdy nie rozmawiał, chyba że działo się coś złego.

W myślach słyszał ową głęboką ciszę panującą w jego życiu. Czuł otaczającą go samotność. Czuł, jak bezmiar bezbarwnych dni oplata go nierozzerwalnym łańcuchem, który zaciska się i go dusi.

Zaczął go morzyć sen, myśli zabłąkały się do dzieciństwa, do dni, które po ciemnych miesiącach zimowych zaczynają odzyskiwać swój blask, i do życia niewinnego, pozbawionego strachu i zmartwień. Coś takiego nieczęsto się zdarzało, ale czasem udawało mu się odnaleźć tamten spokój i wtedy przez chwilę miał złudzenie, że dobrze się czuje.

Jeśli potrafił zapomnieć o tęsknocie.

Z głębokiego snu wyrwał go dzwonek telefonu, który od dłuższego czasu brzęczał natrętnie - najpierw komórka w kieszeni płaszcza, potem stacjonarny na starym biurku, należącym do skromnego wyposażenia salonu.

- Miałaś rację - odezwała się Elinborg, kiedy wreszcie odebrał. - O, przepraszam. Obudziłam cię? Dopiero dziesiąta - dodała usprawiedliwiająco.

- Co? W czym miałem rację? - Erlendur jeszcze niezupełnie się obudził.

- W tym miejscu stał dom. Koło krzewów.

- Krzewów?

- Porzeczkowych. Krzaków. No tam, w Grafarholt. Zbudowano go w latach trzydziestych, a rozebrano gdzieś koło osiemdziesiątego roku. Poprosiłam w biurze architekta miejskiego, żeby skontaktowali się ze mną, jak tylko będą coś wiedzieć, i właśnie odłożyli słuchawkę. Cały wieczór tego szukali.

- Co to był za dom? - spytał Erlendur zmęczonym głosem. - Mieszkalny, stajnia, psia buda, letniskowy, gospodarczy, stodoła, barak?

- Mieszkalny - odparła Elinborg. - Taki domek letniskowy czy coś w tym rodzaju.

- Co?

- Domek letniskowy!

- Z jakich czasów?

- Gdzieś około tysiąc dziewięćset czterdziestego.

- A kto był właścicielem?

- Niejaki Beniamin Knudsen. Kupiec. Tak się nazywał.

- Nazywał?

- Umarł. Wiele lat temu.

## 8.

Kiedy Sigurdur Oli razem z Elinborg zjechali od strony północnej do dzielnicy Grafarholt w poszukiwaniu niezastawionej drogi, wielu właścicieli domków zajętych było pracami przydomowymi. Niektórzy przycinali drzewka, inni konserwowali pokostem drewniane altanki, jeszcze inni naprawiali płoty, a dwaj wybierali się na wycieczkę.

Przedpołudniowe słońce pięknie grzało, pogoda była ładna, bezwietrzna. Sigurdur Oli i Elinborg pogawędzili z kilkoma właścicielami, ale niczego ważnego się nie dowiedzieli. Teraz szli w kierunku domów stojących na samym wzgórzu. Nie śpieszyli się specjalnie, korzystając z promieni słonecznych. Cieszyli się, że mogli się wyrwać za miasto i pospacerować, pogawędzić z właścicielami domków, zdziwionych odwiedzinami policji o tak wczesnej porze. Niektórzy słyszeli już o znalezieniu kości, dla innych było to kompletnym zaskoczeniem.

- Przeżyje to czy...? - spytał Sigurdur Oli, kiedy po raz kolejny wsiadali do samochodu, żeby podjechać do następnego domku. O Evie Lind zaczęli mówić, jak tylko wyruszyli z komisariatu, i co chwilę temat ten wracał.

- Nie wiem - odparła Elinborg. - Myślę, że nikt tego nie wie. Biedna dziewczyna - westchnęła ciężko. - On zresztą też - dodała. - Biedny Erlendur.

- To narkomanka - odezwał Sigurdur Oli bardzo poważnie. - Była w ciąży i ćpała, jakby tylko o to jej w życiu chodziło, i w końcu zabiła własne dziecko. Takim ludziom nie potrafię współczuć. Nie rozumiem ich i na pewno nigdy nie zrozumieję.

- Nikt ci nie każe im współczuć - ucięła Elinborg.

- Czyżby! Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby mówiono o nich inaczej, niż że są tacy biedni. A na ile ja ich poznałem... - urwał. - Nie potrafię im współczuć - powtórzył. - To ludzkie śmieci. Nic innego. Śmieci.

Elinborg jęknęła.

- A jak to jest być takim absolutnie doskonałym? Zawsze tak elegancko ubranym, ogolonym i uczesany, z dyplomem amerykańskiej uczelni w kieszeni, niepoobgryzanymi paznokciami, kompletnie bez żadnych zmartwień, poza jednym - czy stać mnie na eleganckie ciuchy? Tobie się to nigdy nie znudzi? Ty sam się sobie nigdy nie nudzisz?

- Nie - szczerze odparł Sigurdur Oli.

- A może byś spróbował okazać tym ludziom odrobinę zrozumienia?

- To są śmieci i ty doskonale o tym wiesz. I chociaż jest córką starego, to wcale przez to nie jest lepsza. Jest dokładnie taka sama jak inne śmieci na ulicy, ćpa na okrągło i korzysta z przytułków i odwyków tylko po to, żeby sobie odpocząć, zanim znów zacznie ćpać, bo jedynie o to tym śmieciom chodzi. Oszukiwać siebie samego i ćpać.

- A jak tam twój związek z Bergthorą? - Elinborg ucięła rozmowę. Nie miała złudzeń, że w jakikolwiek sposób wpłynie na jego poglądy.

- Nieźle - odparł Sigurdur Oli ze znużeniem i zatrzymał się przed jednym z domków. Bergthora po prostu nie dawała mu chwili spokoju. Ciągle chciała to robić, wieczorem, z rana, w środku dnia, we wszystkich możliwych pozycjach i w każdym miejscu w domu: w kuchni, salonie, a nawet w maleńkiej pralni, na leżąco i na stojąco. I choć na początku bardzo mu się to podobało, powoli zaczynał odczuwać zmęczenie. Budziły się w nim podejrzenia co do jej intencji. Nie, żeby ich życie erotyczne kiedykolwiek było nudne, co to, to nie. Ale ona nigdy tak szaleńczo i tak namiętnie nie pragnęła się kochać. Nigdy poważnie nie rozmawiali o dzieciach, choć naturalnie już dawno powinni podjąć ten temat. Wystarczająco długo byli już razem. On wiedział, że ona bierze pigułki, ale nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że Bergthorą chce go złapać na dziecko. A przecież nie musiała go wcale łąpać, bo bardzo mu na niej zależało i nie wyobrażał sobie, by mógł mieszkać z jakąś inną. Ale kobiety są nieobliczalne, myślał sobie. Człowiek nigdy nie może być pewny, co sobie myślą.

- Dziwne, że w urzędzie statystycznym nie ma nazwisk ludzi, którzy mieszkali w tym domu, jeśli ktoś w nim mieszkał - odezwała się Elinborg, wysiadając z samochodu.

- Mają burdel w papierach meldunkowych z tamtego okresu. Podczas wojny i zaraz po niej tłumy ludzi przeprowadzały się do Reykjavíku i meldowały w najdziwniejszych miejscach, zanim znalazły dach nad głową. Poza tym zdaje się, że część spisu mieszkańców po



prostu zaginęła. W każdym razie są z tym jakieś kłopoty. Tak od razu tego nie znajdują. Tak przynajmniej twierdzi facet, z którym rozmawiałem.

- A może tam nikt nie mieszkał?

- Długo tam nikt mieszkać nie musiał. Ci ludzie mogli nawet być zameldowani gdzie indziej i nie zameldowali się. Może mieszkali w domu na wzgórzu tylko kilka lat, a nawet miesięcy, w czasie największego kryzysu mieszkaniowego w Reykjavíku, a po wojnie przeprowadzili się do powojennych baraków? Hołota z baraków. Co ty na taką teorię?

- Doskonale pasuje do gościa w płaszczu burber-ry.

Właściciel domku powitał ich w drzwiach. Był to leciwy mężczyzna, szczupły, o sztywnych ruchach, rzadkich, siwych włosach, ubrany w cienką, jasnoniebieską koszulę, pod którą rysował się wyraźnie podkoszulek, w szare sztruksowe spodnie i dość nowe tenisówki. Zaprosił ich do środka. Widząc w domu całe mnóstwo gratów, Elinborg zaczęła się zastanawiać, czy aby człowiek ten nie mieszka tutaj przez cały rok. Zapytała go o to.

- Można to i tak ująć - powiedział, siadając w fotelu, a im wskazując miejsca na krzesłach stojących pośrodku pokoju. - Zacząłem budować jakieś czterdzieści lat temu i całkiem się tu przeprowadziłem swoją starą ładą jakieś pięć lat temu, o ile dobrze pamiętam. A może i sześć? Wszystko mi się teraz zlewa. Ale już nie mam ochoty mieszkać w Reykjavíku. Nudne miasto i...

- Czy wtedy stał na pagórku dom, może taki letniskowy jak ten, ale niekoniecznie wykorzystywany w charakterze letniskowego? - spytał Sigurdur Oli. Nie miał ochoty słuchać żadnej opowieści. - To znaczy czterdzieści lat temu, jak pan zaczynał budować?

- Domek letniskowy, ale nie letniskowy, co...?  
- Stał sam jeden po tej stronie Grafarholt - powiedziała Elinborg. - Zbudowany jeszcze kiedyś przed wojną. - Wyrzwała przez okno. - Musiał go pan stąd widzieć.

- Pamiętam, że stał tam dom. Niepomalowany i niewykończony. Ale już dawno temu zniknął. To był z pewnością dość solidny domek letniskowy, czy też raczej miał być, dość duży, większy od mojego, ale stał w zupełnej ruinie. W każdej chwili groziło jego zawaleniem. Brakowało drzwi, szyby były powybijane. Czasem zaglądałem w drodze na ryby do jeziora. Ale już dawno nie chce mi się łowić.

- To znaczy, że nikt w tamtym domu nie mieszkał? - spytał Sigurdur Oli.

- Nie, wtenczas nikogo w domu nie było. Nikt by nie mógł tam mieszkać. Przecież walił się prawie.

- A zatem według pańskiej wiedzy nikt tam nie mieszkał - Elinborg szukała potwierdzenia. - Nie pamięta pan nikogo z tego domu?

- A dlaczego pytacie o ten dom?

- Znaleźliśmy w okolicy ludzkie kości - oznajmił Sigurdur Oli. - Nie oglądał pan dziennika?

- Ludzkie kości? Nie. To kości ludzi z tego domu?

- Tego nie wiemy. Jeszcze nie znamy historii tamtego domu i ludzi, którzy w nim mieszkali - odpowiedziała Elinborg. - Wiemy, kim był właściciel, ale on już dawno nie żyje, a myśmy jeszcze nie zdołali znaleźć żadnych zameldowanych tu mieszkańców. Pamięta pan może wojskowe baraki z czasów wojny po drugiej stronie pagórka? Od południa? Baza zaopatrzeniowa czy coś takiego?

- Baraki to były w każdej wiosce - odparł stary. - I po Angolach, i po Jankesach. Tutaj to specjalnie ich nie

pamiętam, ale też wtenczas mnie tu jeszcze nie było. To było, zanim nastąpiły moje czasy. Powinniście porozmawiać z Robertem.

- Z Robertem? - zainteresowała się Elinborg.

- To jeden z pierwszych, którzy tu pobudowali domki letniskowe. Jeżeli jeszcze nie umarł. Wiem, że był w domu starców. Robert Sigurdsson. Znajdziecie go, jeśli jeszcze żyje.

Przy wejściu nie było dzwonnka, więc Erlendur walił pięścią w grube, dębowe drzwi w nadziei, że usłyszą go w środku. Dom pozostawał własnością Beniamina Knudsen, bogatego kupca z Reykjavíku, który zmarł pod koniec lat sześćdziesiątych. Spadkobiercami byli brat i siostra, którzy wprowadzili się do domu po jego śmierci i mieszkali aż do swojej. Oboje byli samotni, ale siostra doczekała się córki spoza związku. Ta była lekarką. Niezamężna, mieszkała obecnie na parterze domu, odnajmując pierwsze piętro. Erlendur umówił się z nią telefonicznie. Mieli się spotkać w południe.

Stan Evy Lind pozostawał bez zmian. Zajrzał do niej przed pracą i przesiedział dość długo przy łóżku, patrząc na aparaturę odmierzającą jej życie, na rurki w jej nosie i żyłach. Nie mogła oddychać bez pomocy, toteż ciszę wypełniały odgłosy pracującej pompki respiratora. EKG było stabilne. Po drodze z OIOM-u rozmawiał chwilę z lekarzem, który poinformował go, że stan Evy nie uległ poprawie. Erlendur spytał, czy jest coś, co może dla niej zrobić, a lekarz odparł na to, że choć jego córka pozostaje w śpiączce, powinien jak najwięcej do niej mówić. Pozwolić jej słuchać swego głosu. To pomaga także bliskim przeżyć szok. Eva Lind przecież jeszcze nie odeszła i tak właśnie powinien ją traktować.

W końcu ciężkie, dębowe drzwi otworzyły się i stanęła w nich starsza kobieta około sześćdziesiątki. Przedstawiła się jako Elsa. Była szczupła, o sympatycznej twarzy, leciutko podmalowana. Krótkie, czarne włosy uczesane na bok, dżinsy i biała koszula, żadnych pierścionków, bransolet czy wisiorków. Zaprosiła go do salonu i zaproponowała, by usiadł. Była energiczna i pewna siebie.

- I jak myślicie, czyje to kości? - spytała wreszcie, gdy już przedstawił jej powód swojej wizyty.

- Tego jeszcze nie wiemy, ale jedna z teorii zakłada, że coś je łączy z najbliższym domkiem letniskowym, który należał do pani wuja Beniamina. Często tam przebywał?

- Wydaje mi się, że nigdy tam się nie pojawiał - odpowiedziała cicho. - To była bardzo smutna historia. Mama zawsze podkreślała, jaki był przystojny i inteligentny, i jak się wzbogacił, a potem stracił narzeczoną. Pewnego dnia po prostu zniknęła. Ot tak, po prostu. Była w ciąży.

Erlendur pomyślał o swojej córce.

- Wpadł w depresję. Przestał się zajmować sklepem, majątkiem. Wszystko po prostu podupadło, jak sądzę. Na koniec został mu tylko ten dom. Umarł w kwiecie wieku, jeśli o to chodzi.

- Jak zniknęła? Ta jego narzeczona?

- Uważano, że utopiła się w morzu - odparła Elsa.  
- W każdym razie ja tak słyszałam.

- Jakaś depresja?

- Nigdy o niej w ten sposób nie mówiono.

- I nigdy jej nie odnaleziono?

- Nie. Była...

Elsa urwała w pół słowa. Nagle dotarło do niej, o co mu chodzi. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, bólem,

oburzeniem i wściekłością, ze wszystkim naraz. Twarz jej poczerwieniała.

- Ja po prostu nie wierzę.

- W co? - zdumiał się Erlendur i w końcu zauważył, jak jej twarz się zmieniła. Stała się jakaś wroga.

- Pan myśli, że to jest ona. Że to jej kości!

- Ja nic nie myślę. Po raz pierwszy słyszę o tej kobiecie. Nie mamy pojęcia, czyje szczątki tam spoczywają. Za wcześniej jeszcze na to, by mówić, kto to może być, a kto nie może.

- To dlaczego się pan tak nią zainteresował? Co pan takiego wie, czego ja nie wiem?

- Nic takiego - odparł Erlendur kompletnie zbity z tropu. - Nie przyszło to pani do głowy, kiedy wspominałem, że znaleźliśmy te kości? Pani wuj miał przecież domek letniskowy w tamtej okolicy. Jego narzeczoną zniknęła. Znajdujemy kości. To nie jest trudna układanka.

- Zwariował pan? Sugeruje pan, że...

- Ja niczego nie sugeruję.

- ...że on ją zabił? Że Beniamin zabił swoją narzeczoną, zakopał w ziemi i przez te wszystkie lata, aż do śmierci, nikomu o tym nie powiedział? Że był tak zdemoralizowany?

Elsa wstała i zaczęła krążyć po pokoju.

- Chwileczkę, ja niczego takiego nie powiedziałem - jęknął Erlendur, zastanawiając się, czy w tej sytuacji w ogóle można okazać więcej taktu. - Absolutnie niczego - dodał.

- Myśli pan, że to ona? Kości, które znaleźliście? Czy to ona?

- Na pewno nie - odparł Erlendur, nie mając na to żadnych dowodów. Za wszelką cenę chciał kobietę uspokoić. Na pewno był zbyt obcesowy. Zasugerował coś,

na co nie miał żadnych argumentów, i teraz tego żałował. - A wie pani może coś na temat domku letniskowego? - zapytał, żeby zmienić temat. - Czy przed pięćdziesięciu, sześćdziesięciu laty ktoś w nim mieszkał? W czasie wojny lub zaraz po niej? Niestety, w urzędzie nie są w stanie szybko tego ustalić.

- Mój Boże, coś takiego! - westchnęła Elsa. - Co? Co pan powiedział?

- Być może wuj wynajmował domek - szybko wyrzucił z siebie Erlendur. - Pani wuj. W czasie wojny ludzie w Reykjavíku borykali się ze strasznymi problemami mieszkaniowymi. I po wojnie też. Ceny za wynajem były horrendalne, i przyszło mi do głowy, że on może go wynajął po korzystnej cenie. A może nawet i sprzedał. Może coś pani na ten temat wiadomo?

- Tak, coś sobie przypominam, jak mówiono, że go wynajął, ale nie mam pojęcia komu, jeśli o to panu chodzi. I proszę mi wybaczyć moje zachowanie. To po prostu... Co to są za kości? Cały szkielet, mężczyzna, kobieta, dziecko?

Uspokoili się nieco. Doszła do siebie. Usiadła i pytając spojrzała mu w oczy.

- Wygląda na cały szkielet, ale jeszcze go nie odkopaliśmy - odparł Erlendur. - Czy pani wuj prowadził jakieś księgi dotyczące działalności sklepu albo w ogóle swojego majątku? Coś, co jeszcze nie zostało wyrzucone?

- Piwnica jest pełna jego klamotów. Różne papiery, kartony, których nigdy nie miałam odwagi wyrzucić, ale też nigdy nie chciało mi się przeglądać. Na dole jest jego biurko i jakieś szafy. Ale czas szybko leci i już niedługo będę mogła sobie pozwolić na przejrzenie pamiętek po nim.

Powiedziała to jakby z żalem i Erlendur pomyślał, że może nie jest zadowolona ze swojego życia, mieszkając samotnie w wielkim domu, jedynej pozostałości po dawnej rodzinnej fortunie. Rozejrzał się dokoła i przyszło mu do głowy, że może całe jej życie jest pozostałością po dawnych czasach.

- Myśli pani, że moglibyśmy...?

- Proszę bardzo. Przeglądajcie sobie, co tylko chcecie - zgodziła się i uśmiechnęła zamyślona.

- Jedna rzecz mnie zastanawia - odezwał się Erlendur, wstając. - Wie pani, dlaczego Benjamin wynajął domek letniskowy? Brakowało mu pieniędzy? Chyba nie cierpiał na ich brak. Mając taki dom jak ten. Sklep. Powiada pani, że z czasem go stracił, ale w czasie wojny musiał zarobić tyle, by stać go było na spokojne życie. Nawet luksusowe.

- Nie, nie sądzę, żeby potrzebował pieniędzy.

- To takim razie dlaczego?

- Myślę, że go o to poproszono. Kiedy podczas wojny zaczęli się tu sprowadzać przybysze z prowincji. Myślę, że po prostu nad kimś się zlitował.

- A więc wcale nie jest powiedziane, że brał czynsz?

- Nic na ten temat nie wiem. Nie wierzę, że pan uważa, że Benjamin...

Urwała w pół zdania, jakby bała się swoje myśli ubrać w słowa.

- Ja nic nie uważam - powiedział Erlendur, zmuszając się do uśmiechu. - Jest jeszcze zbyt wcześnie, by cokolwiek uważać.

- Po prostu w to nie wierzę.

- To proszę mi powiedzieć co innego.

- Tak?

- Czy ona pozostawiła jakichś żyjących krewnych?
- Kto?
- Narieczona Beniamina. Czy jest ktoś, z kim można by porozmawiać?
- Po co? Po co chce pan drażnić ten temat? On nigdy nie zrobiłby jej krzywdy.
- Rozumiem. Niemniej znaleźliśmy te kości, czyjeś kości, i one nie znikną. Muszę zbadać wszystkie możliwości.
- Miała siostrę, która jeszcze żyje. Na imię jej Bara.
- A kiedy zniknęła?
- W tysiąc dziewięćset czterdziestym - odparła Elsa. - Powiedzieli mi, że był wtedy piękny, wiosenny dzień.



## 9.

Robert Sigurdsson żył jeszcze, ale ledwo ledwo. Tak pomyślał Sigurdur Oli. Siedział wraz z Elinborg naprzeciw starca w jego pokoju na oddziale i obserwując bezbarwną twarz staruszka, myślał sobie, czy sam chciałby dożyć dziewięćdziesiątki. Przeszedł go dreszcz. Starzec był bezzębny, miał blade wargi, zapadnięte policzki i bezbarwne kosmyki włosów sterczały mu na wszystkie strony. Podłączony był do aparatu tlenowego, ustawionego na małym rusztowaniu obok wózka. Za każdym razem, kiedy chciał coś powiedzieć, drżącą ręką zdejmował z ust maseczkę tlenową i wypowiadał dwa lub trzy słowa, po czym znów zakrywał usta i nos maską.

Robert już dawno sprzedał swój domek letniskowy, który potem był sprzedany jeszcze kilka razy. Aż w końcu go rozebrano i na parceli pobudowano nowy. Sigurdur Oli i Elinborg tuż przed południem zbudzili właścicieli nowego domku, a ci opowiedzieli im niejasną i nieskładną historię.

Zanim opuścili dzielnicę, kazali pracownikom biura odszukać staruszka. Okazało się, że przebywa on na stałe w szpitalu w Fossvogur. Niedawno skończył dziewięćdziesiątkę.

Elinborg uprzedziła szpital o ich wizycie, a po przyjeździe do szpitala wprowadziła Roberta Sigurdssona w całą sprawę. Biedak siedział sztywny na wózku inwalidzkim, oddychając tlenem z butli. Wieloletni palacz. Wydawał się w pełni władz umysłowych mimo słabego zdrowia.

Skinął głową na znak, że rozumie każde słowo i zdaje sobie sprawę z celu wizyty policjantów. Pielęgniarka, która ich do niego przyprowadziła, zajęła miejsce za wózkiem. Dała im znak, że nie powinni zbyt długo siedzieć, gdyż starzec szybko się męczy. Drżącą ręką zdjął maskę tlenową.

- Pamiętam... - powiedział słabym, schrypniętym głosem, włożył maskę i zaciągnął się tlenem. Potem znów opuścił maskę - ...tamten dom, ale...

Znów zasłonił usta i nos maską. Sigurdur Oli spojrział na Elinborg, a następnie na zegarek. Usiłował ukryć zniecierpliwienie.

- A może pan... - zaczęła Elinborg, ale maska znów opadła.

- ...nie pamiętam nic poza... - wtrącił szybko starzec zdyszczanym głosem.

Maska na usta.

- A może byś poszedł do stołówki coś zjeść? - spytała Elinborg Sigurdura Olego, który znów zerknął na zegarek, na starca i wreszcie na koleżankę, po czym westchnął, wstał i wyszedł z sali.

Maska z ust.

- ...jedną rodziną, która tam mieszkała.

Maska na usta. Elinborg odczekała chwilę na dalszy ciąg, lecz Robert milczał. Postanowiła formułować pytania w taki sposób, by mógł odpowiadać tylko „tak” i „nie” lub po prostu ruszać głową, nic nie mówiąc.

Powiedziała mu, że spróbuje takiej metody, a on potaknął. Jasny umysł, pomyślała sobie.

- Czy w czasie wojny miał pan tam domek?

Robert skinął głową.

- Czy ta rodzina mieszkała wtedy w tym domu?

Robert skinął głową.

- Pamięta pan imiona tych, którzy wtedy tam mieszkali?

Robert pokręcił głową.

- Czy to była duża rodzina?

Robert znów pokręcił głową.

- Rodzina z dwojgiem, trojgiem dzieci, więcej?

Robert skinął głową i podniósł trzy kościste palce.

- Małżeństwo z trojgiem dzieci. Spotkał pan kiedyś tych ludzi? Kontaktował się z nimi? Czy w ogóle się znaliście? - Elinborg zapomniała już o zasadzie „tak - nie” i Robert zdjął maskę.

- Nie znałem ich - maska znów zasłoniła usta.

Pielęgniarka za wózkiem inwalidzkim zaczęła się niecierpliwić. Patrzyła na Elinborg, jakby chciała ją zmusić do natychmiastowego zakończenia tej rozmowy. Gotowa była przerwać w każdej chwili. Robert opuścił maskę.

- ...umarli.

- Kto? Ci ludzie? Kto umarł? - Elinborg nachyliła się nad nim i czekała, aż znów zdejmie maskę. Kolejny raz podniósł drżącą rękę do maski tlenowej i odsunął ją od twarzy.

- Biedny...

Elinborg czuła, jak trudno mu mówić, i całą sobą starała się brać udział w tych jego staraniach. Patrzyła na niego skupiona, czekając, aż coś powie.

Maska opadła.

- ...nędzarz.

Maska wysunęła mu się z dłoni, oczy się zamknęły, a głowa wolno opadła na piersi.

- No proszę - zareagowała ostro pielęgniarka. - Wykończyła go pani.

Chwyliła maskę i zasłoniła nią usta Roberta, siedzącego z głową na piersiach i zamkniętymi starymi oczami. Jakby zasnął lub umarł, pomyślała Elinborg. Wstała i obserwowała poczynania pielęgniarki. Ta podwiozła Roberta do łóżka, podniosła go jak piórko i położyła.

- Chce pani zabić staruszka tymi idiotycznymi pytaniami? - gderała. Była kobietą słusznej postury, około pięćdziesiątki, z włosami upiętymi w kok. Ubrana była w białe fartuch, białe spodnie i białe drewniaki. Patrzyła rozgniewana na Elinborg. - Nigdy nie powinnam się na to godzić - mamrotała potępiająco, obwiniając policjantkę o to, co się stało.

- Przepraszam - powiedziała Elinborg, nie bardzo wiedząc, dlaczego przeprasza. - Myśleliśmy, że będzie nam mógł pomóc, udzielając jakichś informacji w związku ze znalezionymi kośćmi. Mam nadzieję, że nic złego mu się nie stało.

Nagle Robert, leżący bez ruchu na łóżku, otworzył oczy. Rozejrzał się dokoła, jakby chciał się zorientować, gdzie się znajduje, i mimo protestów pielęgniarki ściągnął maskę z twarzy.

- Często przychodziła - wydyszał - ...później. Zielona... kobieta... krzakach...

- Krzakach? - powtórzyła Elinborg. Zastanowiła się przez chwilę. - Chodzi panu o krzaki porzeczek?

Pielęgniarka znów włożyła mu maskę, ale Elinborg odniosła wrażenie, że stary skinął głową.

- Kto taki? Kto przychodził? Pamięta pan krzaki porzeczek? Był pan tam? Był pan przy tych krzewach?

Robert wolno pokręcił głową.

- Proszę wyjść i zostawić go w spokoju - zniecierpliwiła się pielęgniarka. Elinborg wstała i nachyliła nad Robertem, nie na tyle jednak, by jeszcze bardziej zdenerwować kobietę.

- A może mi pan o tym opowiedzieć? - spytała. - Znał ją pan, tę, która tam przychodziła? Do tych krzaków porzeczek?

Robert przymknął oczy.

- Później? - ciągnęła Elinborg. - Co znaczy później?

Robert otworzył oczy i starymi, wychudzonymi rękami pokazał, że chce dostać kartkę i ołówek. Pielęgniarka potrząsnęła głową i kazała mu odpoczywać, bo już się zanadto zmęczył. Złapał ją za rękę i patrzył błagalnym wzrokiem.

- Nie ma mowy - upierała się przy swoim pielęgniarka. - Zechce pani stąd wyjść - powiedziała do Elinborg.

- A może powinnyśmy jemu pozwolić zdecydować? Jeżeli wieczorem umrze...

- My? - powtórzyła z ironią kobieta. - Co za „my”? Pracuje tu pani może od trzydziestu lat i opiekuje się pacjentami? - Była wściekła. - Proszę stąd wyjść, zanim zawołam kogoś, kto panią wyprowadzi.

Elinborg spojrzała na Roberta, który znów zdawał się spać. Przeniosła wzrok na pielęgniarkę, po czym z ociąganiem ruszyła do drzwi. Pielęgniarka podążała za nią i gdy tylko Elinborg znalazła się na korytarzu, zatrzasnęła za nią drzwi. Elinborg zastanawiała się, czy nie poprosić o pomoc Sigurdura Olego. I nie poawanturować się trochę z pielęgniarką. Żeby jej uświadomić, jakie to ważne,

by Robert powiedział im wszystko, co ma do powiedzenia. Ale zrezygnowała. Sigurdur Oli z pewnością jeszcze bardziej zdenerwowałby tę kobietę.

W drodze do wyjścia zajrzała do stołówki, gdzie Sigurdur Oli raczył się bananem. Minę miał raczej nietęgą. Chciała do niego podejść, lecz się zawahała. Odwróciła się i zaczęła obserwować drzwi sali, w której leżał Robert. Na końcu korytarza znajdował się maleńki kącik telewizyjny. Poszła tam i usadowiła się za dużym drzewkiem w ogromnej donicy, sięgającym aż do sufitu. Postanowiła przeczekać niczym lwica na czatach. Cały czas obserwowała drzwi sali Roberta.

Nie musiała długo czekać, aż pielęgniarka wyjdzie i pomaszkuje korytarzem obok stołówki do drugiego skrzydła budynku. Nie zwróciła uwagi na Sigurdura Olego ani on na nią, skupiony na jedzeniu banana.

Elinborg wyszła z ukrycia za drzewkiem i ostrożnie przemierzyła korytarz. Weszła do sali Roberta. Spał z maską na twarzy, dokładnie tak, jak go zostawiła. Okna były szczelnie zasłonięte i tylko światło niedużej lampki przy łóżku rozjaśniało mrok. Podeszła do łóżka. Przez chwilę się wahała. Rozejrzała się wokół z lękiem, po czym podjęła decyzję i szturchnęła staruszka.

Robert się nawet nie poruszył. Spróbowała ponownie, lecz chory spał jak kamień. Elinborg pomyślała, że być może zasnął na zawsze. Zaczęła obgryzać paznokcie i zastanawiała się, czy potraktować go bardziej zdecydowanie, czy może raczej stąd zniknąć i zapomnieć o wszystkim. Wiele nie powiedział. Tylko tyle że ktoś tam się pałętał wokół krzewów na pagórku. Zielona kobieta.

Już miała wyjść, kiedy Robert nagle otworzył oczy i wbił w nią wzrok. Elinborg nie miała pojęcia, czy ją poznaje,

ale w końcu skinął głową. Zauważyła nawet coś na kształt uśmiechu pod maską tlenową. Zrobił ten sam znak, co przedtem, kiedy chciał otrzymać kartkę i ołówek. Elinborg pogrzebała w kieszeniach płaszcz, wyjęła notes, który zawsze ze sobą nosiła, i długopis. Włożyła mu je do rąk, a on trzęsącą się ręką zaczął stawiać wielkie drukowane kulfony. Trwało to dość długo. Elinborg nerwowo spoglądała na drzwi, spodziewając się w każdej chwili pielęgniarki miotającej przekleństwa. Bardzo chciała poprosić Roberta, aby się pośpieszył, ale nie miała odwagi go naciskać.

Wreszcie skończył pisać. Białe dłonie opadły na kółdę razem z notesem i długopisem. Znów zamknął oczy. Elinborg właśnie sięgała po notatnik, kiedy aparatura EKG, do której staruszek był podłączony, zaczęła piszczeć. Jednostajny pisk ciął ciszę. Elinborg aż podskoczyła ze strachu. Nie wiedząc, co począć, szybko spojrzała na Roberta, po czym uciekła z pokoju. Pobiegła korytarzem do stołówki, gdzie Sigurdur Oli kończył właśnie banana. W oddali brzęczał dzwonek alarmowy.

- Wyduśiłaś coś ze starucha? - spytał Sigurdur Oli, kiedy ciężko dysząc, usiadła obok niego. - Co, wszystko w porządku? - dodał, gdy zauważył, że jest zmęczona i ledwo oddycha.

- Tak, w najlepszym porządku - uspokoiła go Elinborg.

Grupa lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszy przebiegła przez stołówkę i dalej korytarzem w kierunku sali, w której leżał Robert. Wkrótce pojawił się człowiek w białym fartuchu pchający przed sobą jakieś urządzenie. Elinborg zdało się, że to defibrylator. Ten człowiek również poszedł w głąb korytarza. Sigurdur Oli obserwował, jak cały ten korowód znika za rogiem.

- Coś ty tam, kurwa, narobiła? - zwrócił się do Elinborg.

- Ja? - westchnęła Elinborg. - Nic takiego. Ja! O co ci chodzi?

- To dlaczego jesteś taka spocona? - dociekał Sigurdur Oli.

- Nie jestem spocona.

- Co się stało? Dlaczego wszyscy latają jak kot z pęcherzem? A ty nie możesz złapać tchu?

- Nie mam pojęcia.

- Wydusiłaś coś z niego? To właśnie on umiera?

- Oj, postaraj się okazać tym ludziom odrobinę szacunku - warknęła Elinborg, rozglądając się nerwowo.

- Co z niego wydusiłaś?

- Jeszcze muszę to sprawdzić - odparła Elinborg. - To co, idziemy?

Wstali i opuścili stołówkę i szpital. Potem wsiedli do samochodu. Sigurdur Oli ruszył.

- No to co powiedział? - zapytał niecierpliwie.

- Napisał mi to na kartce - jęknęła Elinborg. - Biedny staruszek.

- Na kartce?

Wyjęła z kieszeni notesik. Przewracała kartki, dopóki nie trafiła na wpis Roberta. Drżącą ręką umierająco człowiek nabazgrał tylko jedno słowo. Prawie niemożliwe do odczytania. Dobrą chwilę zajęło Elinborg odcyfrowanie liter, nim w końcu nabrała pewności, choć nie bardzo rozumiała, co to znaczy. Wpatrzona w ostatnie w życiu Roberta słowo, przeczytała:

K R Z Y W A

Tego wieczoru chodziło o kartofle. Uznał, że są niedogotowane. Tak sądziła. Ale równie dobrze mogły być



przegetowane, rozgotowane na papkę, surowe, nieobrane, źle obrane, obrane, nieprzekrojone na pół, nie w sosie, w sosie, pieczone, niepieczone, puree zbyt gęste albo zbyt rzadkie, za słodkie, nie dość słodkie...

Nigdy nie potrafiła się połapać w jego humorach.

To była jedna z jego najsilniejszych broni. Ataki zawsze następowały bez zapowiedzi, kiedy najmniej się ich spodziewała. Częściej, gdy wszystko zdawało się w jak najlepszym porządku, niż gdy przeczuwała, że coś jest nie tak. Genialnie potrafił utrzymywać ją w niepewności. Nie знаła dnia ani godziny. W jego obecności zawsze czuła się zagrożona, zawsze więc gotowa była spełniać jego zachcianki. Żeby jedzenie zostało podane o właściwej porze. Żeby z rana ubranie było przygotowane. Żeby chłopcy nie rozrabiali. Żeby Mikkelina nie rzucała mu się w oczy. Była na każde jego skinienie, choć wiedziała, że na niewiele się to zda.

Już dawno przestała się łudzić, że on się zmieni. Jego dom był jej więzieniem.

Gdy skończył kolację, wziął talerz, jak zwykle bez słowa, i zaniósł go do zlewu. Zawrócił do stołu, jakby miał zamiar wyjść z kuchni, lecz się zatrzymał. Ona siedziała jeszcze przy stole. Nie miała odwagi na niego spojrzeć. Patrzyła na chłopców, również siedzących przy stole, i jadła. Wszystkie mięśnie miała napięte. Może wyjdzie z domu, nie dotykając jej? Chłopcy spojrzeli na nią i wolno odłożyli widelce.

W kuchni panowała śmiertelna cisza.

Nagle chwycił ją za głowę i uderzył nią w talerz, który pękł. Potem chwycił ją za włosy i pociągał do tyłu, tak że krzesło wysunęło się spod niej i upadła na podłogę. Strącił skorupy ze stołu i kopał krzesło, ciskając nim o ścianę.

Zakręciło jej się w głowie od upadku. Zupełnie jakby wirowała cała kuchnia. Usiłowała podnieść się na nogi, choć z doświadczenia wiedziała, że lepiej leżeć bez ruchu, ale wstał w nią jakiś bies, który kazał jej go prowokować.

- Nie rusz się, krowo! - krzyknął, a kiedy podniosła się na kolana, pochylił się nad nią i wrzasnął:

- Wstawać ci się zachciało? - Chwycił ją za włosy i pchnął twarzą na ścianę. Kopnął w udo, że aż straciła czucie w nodze. Zawyla z bólu i znów opadła na podłogę. Krew pociekła jej z nosa, szumiało w uszach. Właściwie nie słyszała jego wrzasków.

- A teraz spróbuj się podnieść, brudna cipo! - krzyczał.

Tym razem leżała spokojnie, skulona i z osłoniętą ramionami głową czekała na kopniaki. Wziął zamach i z całej siły kopnął ją w bok. Zatkąło ją z bólu w piersiach. Pochylił się, złapał ją za włosy i splunął w twarz, po czym znów uderzył jej głową w podłogę.

- Flejowata cipa! - syknął. Potem się wyprostował i rozejrzał po kuchni. Po tym napadzie wściekłości wszystko było poprzewracane. - Zobacz, jak dbasz o porządek, kurwo jedna! - krzyknął. - Posprzątaj tu natychmiast albo cię zabiję.

Cofnął się wolno i chciał jeszcze raz na nią napluć, ale zabrakło mu śliny.

- Pieprzona niedojda - powiedział. - Jesteś do niczego. Czy ty nic nie potrafisz porządnie zrobić, kurwo jebana? Czy ty to kiedykolwiek zrozumiesz? Zrozumiesz to?

Było mu obojętne, czy na jej ciele widać będzie ślady pobicia. Wiedział, że nikt się tym nie zainteresuje. Rzadko kiedy ktokolwiek odwiedzał ich tu, na tym wzgórzu. A domki letniskowe leżały dość daleko od siebie. W ogóle

zresztą niewiele osób zapuszczało się w te rejony, chociaż nieopodal wytyczono drogę między Grafarvogur a Grafarholt. Nikt nigdy nie miał żadnych spraw do rodziny mieszkającej w tym domku.

Zajmowali dość duży dom letniskowy, który wynajął od mieszkańca Reykjavíku. Dom nie był wykończony, ponieważ właściciel stracił zainteresowanie budową i teraz wynajmował mu go niedrogo, pod warunkiem że dokończy budowę. Na początku nawet dość ochoczo się do tego zabrał i prawie udało mu się ukończyć robotę, lecz potem okazało się, że właściciela to niewiele obchodzi, więc stracił zapał. Dom był drewniany, z salonem z wnątką kuchenną, wyposażony w piec węglowy, miał dwie sypialnie i korytarz. W pobliżu domku znajdowała się studnia, z której co rano czerpali wodę. Każdego ranka dwa wiadra, które potem stały na stole w kuchni.

Wprowadzili się tam jakiś rok wcześniej. Po inwazji angielskiej do Reykjavíku zaczęli zjeżdżać ludzie z prowincji w poszukiwaniu pracy. Wtedy stracili mieszkanie w suterenie. Już nie było ich na nie stać. Ceny wynajmu bardzo poszły w górę, kiedy ludzie zaczęli pracować u Brytyjczyków. Gdy udało mu się zdobyć ten na wpół wykończony dom w Grafarholt i przeprowadził się tu z rodziną, zaczął rozglądać się za jakimś zajęciem odpowiednim do nowych warunków mieszkaniowych. Znalazł robotę przy rozwożeniu węgla do podrejkjavickich wsi. Co rano schodził do skrzyżowania prowadzącego do Grafarholt, skąd zabierał go samochód z węglem i gdzie kierowca zostawiał go wieczorem. Ona czasem myślała sobie, że wyprowadzili się z Reykjavíku wyłącznie dlatego, że on nie chciał, by słyszano jej wrzaski, kiedy się nad nią znęca.

Jedną z pierwszych rzeczy, jaką zrobiła po przeprowadzce, było zdobycie krzaków porzeczkowych. To miejsce wydawało jej się strasznie łyse, więc posadziła je przy domku. Miały stanowić południową granicę ogródka, który chciała stworzyć. Nosiła się z zamiarem posadzenia większej liczby krzewów, ale jego zdaniem była to strata czasu, więc jej zakazał.

Leżała bez ruchu na podłodze i czekała, aż on się uspokoi albo wyjdzie do miasta spotkać się z kumplami. Czasem szedł w miasto i gdzieś nocował, nie tłumacząc się jej z tego. Twarz miała rozpaloną z bólu i czuła pieczenie w piersiach jak wtedy, kiedy dwa lata temu złamał jej żebra. Wiedziała, że nie chodziło mu o kartofle. Ani o plamkę, którą zauważył na swojej świeżo upranej koszuli. Nie bardziej niż o sukienkę, którą sobie uszyła, a on uznał, że jest pokraczna, i porwał ją na strzępy. Nie bardziej niż o płacz dzieci w nocy, o który ją obwiniał. Koszmarna matka! Każ im się zamknąć albo je pozabijam! Wiedziała, że jest do tego zdolny. Wiedziała, że może się posunąć tak daleko.

Obaj chłopcy uciekli z kuchni, kiedy zobaczyli, jak on rzuca się na matkę. Mikkelina jak zwykle została. Nie była w stanie ruszyć się bez pomocy. Leżała na swoim posłaniu na ławie w kuchni, tam, gdzie przebywała cały dzień, gdzie spała, bo tam matce najłatwiej ją było upilnować. Kiedy on wracał do domu, zazwyczaj w ogóle się nie poruszała, a kiedy zaczynał znęcać się nad matką, sprawną ręką naciągała koc na głowę, jakby chciała zniknąć.

Nie widziała, co się dzieje. Nie chciała. Przez koc słyszała jego wrzaski i okrzyki bólu matki. I aż zadrżała, słysząc, jak uderza o ścianę i pada na podłogę. Skuliła się pod kocem i zaczęła powtarzać w myślach:

*Stoi tuż za łóżkiem,  
Skarpety ma krótkie,  
Włosy u niej lniane,  
Dziewczę ukochane.*

Kiedy skończyła wierszyk, w kuchni znów zrobiło się cicho. Minęła jeszcze długa chwila, nim odważyła się wychynąć spod koca. Ostrożnie spod niego wyjrzała. Jego już nie było. Spojrzała w kierunku korytarza. Zauważyła, że drzwi wejściowe są otwarte. Na pewno wyszedł. Uniosła się i zobaczyła matkę leżącą na podłodze. Zrzuciła z siebie koc, wypełzła z posłania i przeczołgała się pod stół kuchenny w kierunku matki, która wciąż leżała bez ruchu.

Mikkelina mocno przytuliła się do niej. Była wychudzona, nie miała sił i czułanie się po podłodze bardzo ją wyczerpało. Zwykle w razie potrzeby przynosili ją na rękach bracia lub matka. Nigdy on. Często groził, że zabije debilkę. Udusi debilkę w tym obrzydliwym barłogu! Garbuskę!

Matka się nie poruszała. Czowała, jak Mikkelina zbliża się do jej pleców i głaszcze ją po głowie. Ból w piersiach nie ustępował, a z nosa wciąż sączyła się krew. Nie miała pojęcia, czy zemdlą. Sądziła, że on nadal jest w kuchni, ale skoro Mikkelina opuściła posłanie, musiało go nie być. Mikkelina niczego w życiu nie bała się tak jak swojego ojczyma.

Wyprostowała się ostrożnie, jęcząc z bólu, i dotknęła skopanego boku. Na pewno złamał jej zebra. Przewróciła się na plecy i spojrzała na Mikkelinę. Dziewczyna była zapłakana. Miała przerażoną minę. Wystraszyła się, widząc zakrwawioną twarz matki, i znów się rozplakała.

- Wszystko w porządku, Mikkolino - sieknęła matka. - Wszystko będzie dobrze.

Powoli, z wielkim trudem podniosła się i oparła o kuchenny stół.

- Przeżyjemy i to.

Obmaciała bok. Przeszył ją ból ostry jak miecz.

- Gdzie chłopcy? - spytała, patrząc na Mikkelinę leżącą na podłodze. Mikkelina wskazała drzwi i wydobyła z siebie dźwięk, świadczący jednocześnie o podnieceniu i przerażeniu. Matka zawsze traktowała ją tak, jakby była zdrowa. Ojczym zaś nie nazywał jej nigdy inaczej jak debilką albo jeszcze gorzej. W wieku trzech lat Mikkelina zachorowała na zapalenie opon mózgowych i nikt nie sądził, że przeżyje. Dziewczynka leżała wiele dni na granicy życia i śmierci u sióstr zakonnych w szpitalu Landakot. Matce nie pozwolono przy niej siedzieć, mimo iż o to błagała i płakała rzewnymi łzami przed wejściem na oddział. A kiedy wreszcie choroba zaczęła ustępować, okazało się, że dziewczynka ma porażoną prawą stronę ciała. Jej twarz stała się krzywa, niesymetryczna, jedno oko było wpróprzymknięte, a usta ciągle otwarte i ciekła z nich ślina.

Chłopcy wiedzieli, że nie są w stanie obronić matki. Młodszy miał zaledwie siedem lat, starszy dwanaście. Teraz już doskonale wyczuwali, kiedy ojciec zacznie bić matkę, znali wszystkie brzydkie słowa, jakich używał, szykując się do ataku. Wtedy zawsze uciekali, starszy Simon pierwszy. Chwytał brata i przyciągał do siebie, a potem popychał przed sobą jak przerażone jagniątko, śmiertelnie się lękając, że gniew ojca obróci się przeciwko nim.

Kiedyś zabierze ze sobą także Mikkelinę.

I kiedyś też będzie mógł obronić matkę.

Bracia przerażeni wybiegli z domu w stronę krzaków porzeczek. Była jesień. Krzewy były ciemnozielone, a małe czerwone owoce, napęczniałe od soku, pękały im w dłoniach, gdy zbierali je do słoików, które dawała im matka.

Za krzakami rzucili się na ziemię. Słyszeli przekleństwa i złorzeczenia ojca, brzęk tłuczonych talerzy i rozpaczliwe wołanie matki o pomoc. Młodszy zakrył uszy, ale Simon wpatrywał się w kuchenne okno, rozjaśniające mrok żółtawym światłem, i zmuszał się do słuchania krzyków.

Już dawno przestał zakrywać uszy. Jeśli miał spełnić swój obowiązek, musiał słuchać.

## 10.

Nie było ani słowa przesady w tym, co Elsa opowiadała o piwnicy w domu Beniamina. Była pełna rupieci. Erlendurowi na chwilę opadły ręce. Zastanawiał się, czy nie wezwać Elinborg i Sigurdura Olego, ale postanowił się wstrzymać. Piwnica miała jakieś dziewięćdziesiąt metrów kwadratowych i została podzielona na kilka pomieszczeń bez drzwi i okien. Każde z nich wypełniały pudła i kartony, niektóre oznakowane, lecz większość nie. Były to kartony po alkoholu i papierosach albo skrzynki najrozmaitszych rozmiarów i skrywały najdziwniejsze przedmioty. Stały tam także stare szafki, kufry i walizy i różne inne przedmioty, nagromadzone przez lata, jak choćby pokryte kurzem rowery, kosiarki, stary grill.

- Może pan tu sobie grzebać ile tylko się panu podoba - powiedziała Elsa, prowadząc go na dół. - Jeśli będę mogła w czymś pomóc, proszę mnie zawołać. - Właściwie współczuła temu nieobecnemu myślami, ponuremu policjantowi, niechlujnie ubranemu w wełnianą kamizelkę wydzierganą na drutach i starą marynarkę z przetartymi łatami na łokciach. Miał w sobie jakiś smutek, który wyczuła, gdy podczas rozmowy spojrzała mu w oczy.



Erlendur uśmiechnął się smutno i podziękował. Dwie godziny później trafił na pierwsze dokumenty należące do kupca Beniamina Knudsen. Ale nie szło mu przeszukiwanie piwnicy. Stare graty wymieszane były z nowszymi. Musiał przejrzeć stopy zbędnych rzeczy i przesunąć niektóre z nich, żeby móc wejść do zagraconych pomieszczeń. Mimo to miał wrażenie, że im głębiej wchodzi do pomieszczenia, tym starsze znajduje przedmioty. Miał ochotę na kawę i papierosa i zastanawiał się, czyby nie zawołać Elsy albo nie zrobić sobie przerwy i nie poszukać gdzieś w pobliżu jakiejś kawiarni.

Nie potrafił przestać myśleć o Evie Lind. Miał przy sobie komórkę. W każdej chwili spodziewał się telefonu ze szpitala. Dręczyły go wyrzuty sumienia, że nie czuwa przy niej. Może powinien wziąć kilka dni wolnego, siedzieć przy córce i mówić do niej, jak kazał mu lekarz? Być z nią, a nie zostawiać jej samej na OIOM-ie nieprzytomnej, bez rodziny, bez słowa pociechy, bez rokowań na poprawę? Wiedział jednak, że nigdy nie usiedziałyby beczynnie, czekając przy jej łóżku. Praca była swego rodzaju pocieszeniem. Potrzebował jej, by nie myśleć o czym innym. Nie myśleć o najgorszym, co może nastąpić. O tym, o czym myśleć nie chciał.

Usiłował się skoncentrować na pracy. Brnął przez tajemnice ukryte w piwnicy. Otworzył stare biurko i znalazł faktury z hurtowni wystawione na magazyn Knudsen. Wypisane zostały ręcznie i trudno było rozróżnić litery, ale chyba chodziło o dostawy towarów. Zresztą w zakamarkach biurka sporo było podobnych faktur i na pierwszy rzut oka Erlendur ocenił, że Benjamin Knudsen prowadził sklep kolonialny. „Kawa i cukier” napisał na fakturach, a obok liczby.

Za to na temat inwestycji budowlanej na wsi, w miejscu, gdzie teraz powstawało Osiedle Tysiąclecia, nie znalazł ani jednej wzmianki.

W końcu głód nikotyny zwyciężył i Erlendur odszukał w piwnicy drzwi prowadzące do ładnie utrzymanego ogrodu. Roślinność dopiero co zaczynała budzić się po zimie, lecz Erlendur nie zwracał na to uwagi. Stał i chciwie zaciągał się dymem. W krótkim czasie wypalił dwa papierosy. Kiedy już miał wejść do środka, w kieszeni marynarki odezwał się telefon. Odebrał. Dzwoniła Elinborg.

- Jak się czuje Eva Lind? - spytała.

- Ciągle nieprzytomna - odparł krótko Erlendur. Nie miał ochoty na pogawędkę. - Coś nowego? - zapytał.

- Rozmawiałam z tym starcem, Robertem. Miał domek tam, na wzgórzu. Nie bardzo wiem, o co mu chodziło, ale pamiętał kogoś, kto się kręcił w tych twoich krzakach.

- Krzakach?

- Koło kości.

- Przy krzakach porzeczek? Kto taki?

- A potem, myślę, umarł.

Erlendur dosłyszał w tle chichot Sigurdura Olego.

- Ten z krzaków?

- Nie, Robert - odparła Elinborg. - Tak, że z niego już nic więcej nie wydobędziemy.

- I kto to był? Ten w krzakach?

- To bardzo niejasne - zaczęła tłumaczyć Elinborg.

- Ktoś, kto często przychodził tam później. Właściwie tylko to udało mi się z niego wyciągnąć. Potem zaczął coś bredzić. Powiedział „zielona kobieta” i już było po wszystkim.

- Zielona kobieta?

- No. Zielona.
  - „Często” i „później”, i „zielona” - zastanawiał się Erlendur. - Później niż kiedy? Co miał na myśli?
  - Jak mówię, to wszystko było strasznie poszarpane. Myślę, że to mógł być... myślę, że ona mogła być...
  - Elinborg zawahała się.
  - Być kim? - nalegał Erlendur.
  - Krzywa.
  - Krzywa?
  - To jedyny opis tej osoby, który nam przedstawił. Nie mógł już mówić, biedak, i zapisał na kartce to jedno słowo: „krzywa”. Potem zasnął, ale myślę, że coś się stało, bo cały tłum lekarzy wbiegł do niego i...
- Głos Elinborg zanikł. Erlendur przez chwilę zastanawiał się nad jej słowami.
- Więc wygląda na to, że jakaś kobieta często później przychodziła do krzewów porzeczkowych.
  - Niewykluczone, że po wojnie - wtrąciła Elinborg.
  - Pamiętał mieszkańców tego domu?
  - Rodzina - przypomniała sobie Elinborg. - Małżeństwo z trojgiem dzieci. Nic więcej mi nie powiedział.
  - Czyli że w tamtej okolicy mieszkali ludzie?
  - Na to wygląda.
  - I ona była krzywa. Co to znaczy być krzywym? Ile ten Robert ma lat?
  - Ma... albo raczej miał, nie wiem... ponad dziewięćdziesiąt.
  - Nigdy się nie dowiemy, co dokładnie chciał nam przekazać za pomocą tych słów - powiedział Erlendur jakby do siebie. - Krzywa kobieta koło krzaków porzeczek. Czy ktoś mieszka w domku Roberta? Czy on w ogóle jeszcze stoi?

Elinborg opowiedziała mu, że wcześniej tego dnia oboje z Sigurdurem Olim rozmawiali z obecnymi właścicielami domków, ale o tej kobiecie nikt nie wspomniał. Erlendur kazał im wrócić tam i porozmawiać z ludźmi, a szczególnie wypytać ich, czy zauważyli jakichś ludzi kręcących się wokół krzaków i czy ewentualnie była to kobieta. Mieli także odszukać krewnych Roberta, jeśli takowi jeszcze żyją, i wy badać, czy wspominał coś kiedyś na temat rodziny ze wzgórze. Sam powiedział, że ma zamiar jeszcze trochę pogrzebać w piwnicy, a potem pojechać do szpitala do córki.

Powrócił do przeglądania zbiorów kupca Beniamina. Patrząc na piwnicę, zastanawiał się, czy grzebanie w tych kłopotach nie stanie się zadaniem na wiele dni. Przeciśnął się do biurka Beniamina i zauważył, że znajdują się w nim dokumenty i faktury dotyczące magazynu. Erlendur go wprawdzie nie pamiętał, ale podobno stał przy ulicy Hverfisgata.

Dwie godziny później, po kawie z Elsą i dwóch kolejnych papierosach w ogrodzie na tyłach domu, trafił w piwnicy na stary, wyblakły kufer, zamknięty na klucz, który szczęśliwie tkwił w zamku. Sporo wysiłku kosztowało Erlendura, by go przekreślić i unieść wieko. Wewnątrz znajdowało się wiele różnych dokumentów i kopert opasanych recepturkami, ale nie było żadnych faktur. Wśród listów natknął się na kilka zdjęć; niektóre były w ramkach, inne nie. Obejrzał je sobie. Nie miał bladego pojęcia, kim są ludzie na fotografiach, ale domyślił się, że na kilku musi być sam Beniamin. Jedno przedstawiało wysokiego, przystojnego mężczyznę, zaczynającego już nieco przybierać na wadze, stojącego przed sklepem. Okazja do zrobienia zdjęcia była nader

oczywista. Nad wejściem wieszano właśnie szyld z nazwą sklepu: „Magazyn Knudsena”.

Erlendur obejrzał kolejne zdjęcia. Na niektórych zauważył tego samego mężczyznę, czasem w towarzystwie młodej kobiety. Uśmiechali się do obiektywu. Wszystkie fotografie zrobione zostały na zewnątrz, pod gołym niebem, i na wszystkich świeciło słońce.

Odłożył je i wziął plik kopert. Zorientował się, że są to listy miłosne pisane przez Beniamina do jego przyszłej żony. Na imię miała Solveig. Niektóre z nich składały się tylko z kilku zdań, wyznań miłosnych, inne były bardziej opisowe, opowiadały o codziennych wydarzeniach. Wszystkie zostały napisane z wyjątkowym uczuciem. Listy zostały chyba ułożone w kolejności chronologicznej. Erlendur przeczytał jeden, choć z pewnymi oporami. Czuł się, jakby popełniał świętokradztwo. Poniekąd nawet się wstydził. Jakby podglądał przez okno życie innych ludzi.

*Serce moje,  
bardzo tęsknię do mojej ukochanej. Cały dzień o Tobie  
rozmyślałem i odliczam minuty do Twojego powrotu.  
Życie bez Ciebie jest niczym mroźna zima, bezbarwna,  
pusta i martwa. Pomyśleć tylko, że nie będzie Cię przez  
całe dwa tygodnie. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak to  
zniosę.*

*Twój kochający  
Beniamin K.*

Erlendur włożył list z powrotem do koperty, wyciągnął drugi z pliku. Ten był bardziej szczegółowy i opowiadał o planach młodego kupca, związanych z otwarciem sklepu przy Hverfisgata. Beniamin planował dla siebie wspaniałą

przyszłość. Czytał, że w amerykańskich miastach są ogromne sklepy, w których sprzedaje się najróżniejsze towary, zarówno odzież, jak i żywność, a ludzie sami biorą z półek to, co chcą kupić. I wkładają do koszyków, które pchają przed sobą.

Pod wieczór Erlendur udał się do szpitala. Miał zamiar posiedzieć przy Evie Lind. Wcześniej jednak zadzwonił do Skarphedinna, który poinformował go, że prace wykopaliskowe postępują jak należy, ale nie chciał określić, kiedy odkopią kości. Jeszcze nie znaleźli w ziemi nic, co wyjaśniłoby przyczyny śmierci człowieka tysiąclecia.

Przed wyruszeniem do szpitala Erlendur zadzwonił do lekarza Evy Lind i dowiedział się, że jej stan nie uległ zmianie. Na OIOM-ie zobaczył kobietę w brązowym płaszczu, siedzącą obok łóżka córki, i był już prawie na sali, gdy się zorientował, kto to. Stał jak wryty i cichutko wycofał się za drzwi. Usiadł na korytarzu i z pewnej odległości obserwował odwiedzającą.

Siedziała zwrócona do niego plecami, ale on doskonale wiedział, kim jest. Była w jego wieku, siedziała zgarbiona, nieco tęgawa, w jasnioletowym dresie pod brązowym paltem. Trzymała chusteczkę przy nosie i cicho przemawiała do Evy Lind. Erlendur nie słyszał, co mówi. Zauważył tylko, że ma ufarbowane włosy, ale najwyraźniej minęło trochę czasu, odkąd ostatnio robiła sobie płukanke, bo przy samej skórze widać było białe odrosty. Zupełnie bezwiednie policzył w myślach, ile ona ma lat. Proste. O trzy więcej od niego.

Z tak bliska nie widział jej ze dwadzieścia lat. Od kiedy odszedł od niej i rozwiódł się z nią, zostawiając z dwojgiem dzieci. Nie wyszła ponownie za mąż, podobnie

jak on się nie ożenił, ale miała kilka nieformalnych związków, nie zawsze z odpowiednimi mężczyznami. Eva Lind opowiadała mu o nich, kiedy już dorosła i zaczęła go odwiedzać. Dziewczyna początkowo była wobec niego dość nieufna, ale z czasem nawiązali jakieś porozumienie. On starał się spełniać wszystkie jej prośby. To samo dotyczyło syna, który jednak był bardziej nieprzystępny. Właściwie Erlendur nie miał z nim żadnych kontaktów. A z kobietą, która teraz siedziała przy ich córce, nie rozmawiał od dwudziestu lat.

Cofnął się w głąb korytarza, przez cały czas obserwując swoją byłą żonę. Zastanawiał się, czy wejść, lecz się nie zdecydował. Spodziewał się skandalu, a nie chciał w tym miejscu hałasować. Takiego rabanu nie chciał zresztą nigdzie. W swoim życiu też nie, choć było to nieuniknione. Nigdy nie starali się z żoną o utrzymanie poprawnych stosunków i była to jedna z rzeczy, które najbardziej bolały Evę Lind.

To, w jaki sposób odszedł.

Odwrócił się na pięcie i wolnym krokiem ruszył w kierunku wyjścia, rozmyślając o listach miłosnych, które niedawno czytał w piwnicy domu Beniamina K. Erlendur nie zauważył nawet, kiedy znalazł się u siebie. Ciężko opadł na fotel i pozwolił, by sen uwolnił jego myśli. Ale nie potrafił odpowiedzieć sobie na ważne pytanie.

Czy ona kiedykolwiek była jego sercem?

## 11.

Zapadła decyzja, że tylko Erlendur, Sigurdur Oli i Elinborg zajmą się śledztwem w sprawie znalezionych kości. Komendant główny policji nie miał środków, by oddelegować do tego zadania więcej ludzi. Nie była to zresztą sprawa priorytetowa. Właśnie trwało wielowątkowe śledztwo w sprawie wielkiej afery narkotykowej, wymagające dużo czasu i starań, toteż komendant nie był w stanie zaangażować więcej ludzi do sprawy sprzed lat. Tak określił to Hrolfur, ich bezpośredni przełożony. Zresztą nie ustalono jeszcze, czy to w ogóle jest sprawa kryminalna.

Rano przed pracą Erlendur zajrzał do szpitala do córki i spędził przy jej łóżku jakieś dwie godziny. Jej stan nie uległ zmianie. Matki Evy Lind nigdzie nie zauważył. Siedział długo, patrząc w milczeniu na chudą, kościstą twarz córki i wspominał. Starał się przypomnieć sobie chwile spędzone z nią, kiedy jeszcze była dzieckiem. Gdy rozwodził się z Halldorą, Eva Lind miała trzy lata i pamiętał doskonale, że spała między nimi w łóżku. We własnym łóżeczku nie chciała spać, mimo że stało u nich w sypialni. Mieszkanie mieli nieduże: jedna sypialnia, pokój dzienny i kuchnia. Mała gramoliła się ze swojego



łózczyka, wskakiwała do nich i wila sobie gniazdko między ojcem a matką.

Pamiętał, jak stanęła w drzwiach jego mieszkania, kiedy była już nastolatką. Sama odszukała ojca. Halldora bowiem zabraniała mu jakichkolwiek kontaktów z dziećmi. Zawsze kiedy usiłował się z nimi spotkać, była żona obrzucała go przekleństwami i wtedy zdawało mu się, że wszystko, co do niego mówi, to święta prawda. Więc po pewnym czasie przestał ich odwiedzać. Kiedy Eva Lind stanęła wtedy w drzwiach, kompletnie jej nie poznał, choć wyraz twarzy wydał mu się znajomy. Te same rysy spotykało się w jego własnej rodzinie.

- Nie zaprosisz mnie do środka? - spytała, kiedy gapił się na nią już od dobrej chwili. Miała na sobie czarną skórzaną kurtkę, wytarte dżinsy i czarną szminkę na ustach.

Paznokcie też pomalowała na czarno. Palila papierosa, wydmuchując nosem dym.

Wtedy jeszcze miała młodzieńczą, niemal niewinną buzię.

Zawahał się. Nie wiedział, jak zareagować. Ale w końcu poprosił, by weszła.

- Mama wpadła w szal, kiedy jej powiedziałam, że idę cię odwiedzić - powiedziała, mijając go wśród oparów dymu, i klapnęła na jego fotel. - Powiedziała, że jesteś miernotą. Zawsze to mówiła. Mnie i Sindriemu. Ta cholerna, pieprzona miernota, wasz ojciec. A potem dodawała: jesteście tacy sami jak on, cholerne miernoty.

Eva Lind wybuchnęła śmiechem. Rozglądała się za popielniczką, żeby zgasić papierosa, ale Erlendur wziął od niej niedopałek i zgasił za nią.

- Dlaczego... - zaczął, lecz nie dane mu było dokończyć.

- Po prostu chciałam cię zobaczyć - odparła. -  
Chciałam zobaczyć, jak ty, do diabła, wyglądasz.

- I jak wyglądam? - spytał. Przez chwilę mu się przyglądała.

- Jak normalna miernota - powiedziała.

- No to nie jesteście do siebie niepodobni - zripotował.

Patrzyła na niego długą chwilę i wydało mu się, że na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Kiedy Erlendur przyjechał do biura, Elinborg i Sigurdur Oli przyszedli do niego i poinformowali, że nie udało się im niczego wyciągnąć z obecnych właścicieli domku letniskowego Roberta. Ci ludzie nie zauważyli żadnej „krzywej kobiety”, jak się wyrazili, nigdzie, na całym wzgórzu. Żona Roberta zmarła jakieś dziesięć lat wcześniej. Mieli dwoje dzieci. Syn zmarł mniej więcej w tym samym czasie w wieku sześćdziesięciu lat, a córka, kobieta około siedemdziesiątki, czekała na wizytę Elinborg.

- A co z Robertem? Uda nam się wyciągnąć z niego coś więcej? - spytał Erlendur.

- Robert zmarł wczoraj wieczorem - Elinborg powiedziała z odrobiną poczucia winy. - Nażył się. Wiem, co mówię. Myślę, że miał już dosyć. Biedne, stare warzywo. Boże, ja bym nie chciała tak dogorywać w szpitalu.

- Tuż przed śmiercią napisał krótką wiadomość - wtrącił Sigurdur Oli. - Ona mnie zabiła.

- Aleś ty dowcipny - skarciła go Elinborg. - Ja już z nim nie wytrzymuję.

- Dzisiaj już go więcej nie musisz oglądać - rzucił Erlendur, wskazując głową Sigurda Olego. - Mam

zamiar wysłać go do piwnicy Beniamina, właściciela tamtego domku letniskowego, żeby poszukał jakichś wskazówek.

- A co właściwie spodziewasz się tam znaleźć? - uśmiech zamarł na ustach Sigurdura Olego.

- Skoro odnajmował domek letniskowy, to musiał prowadzić jakieś notatki. Musimy się dowiedzieć, jak się nazywali jego lokatorzy. Bo nie zanosi się na to, że znajdzie je urząd statystyczny. Jak tylko się dowiemy, jak się nazywali, będziemy mogli sprawdzić przypadki zaginięć i czy ktoś z nich jeszcze żyje. A jak tylko kości zostaną odkopane, musimy poznać płeć i wiek nieboszczyka.

- Robert wspominał o trojgu dzieci - przypomniała Elinborg. - Któreś z nich musi jeszcze żyć.

- A zatem nie mamy zbyt wiele - rzekł Erlendur, podsumowując dotychczasowe wyniki śledztwa - a to, co mamy, wygląda tak: w czasie wojny w domku letniskowym w Grafarholt mieszkała pięcioosobowa rodzina, małżeństwo z trojgiem dzieci. To są jedyni ludzie, o których wiemy, że mieszkali w tym domku, choć inni też mogli tam mieszkać. Wygląda na to, że nie byli tam zameldowani. Skoro nic więcej na ten temat nie wiemy, możemy założyć, że któreś z nich spoczywa w ziemi. Albo ktoś z nimi związany. I ktoś z nimi związany, kobieta, którą zapamiętał Robert, zjawiał się tam...

- Często i później i była krzywa - dokończyła Elinborg. - Czy „krzywa” nie może oznaczać, że była kulawa?

- Tylko czy wtedy nie napisałby „kulawa”? - wtrącił Sigurdur Oli.

- A co się stało z tym domem? - zastanawiała się Elinborg. - Nie ma po nim ani śladu.

- Może dowiesz się tego w piwnicy albo od siostrzenicy Beniamina - zwrócił się Erlendur do Sigurdura Olego. - Zapomniałem o to zapytać.

- Musimy tylko wiedzieć, jak się ci ludzie nazywali, porównać ich imiona z listą osób zaginionych w tamtym okresie, i sprawa załatwiona. Czy to nie jest jasne? - spytał Sigurdur Oli.

- Niekoniecznie - odparł Erlendur.

- Jak to?

- Bo chcesz wyjaśniać tylko te zaginięcia, które zostały zgłoszone.

- A jakie inne mielibyśmy wyjaśniać?

- Te, które nie zostały zgłoszone. Przecież nie każdy musi zgłaszać zniknięcie bliskiej osoby. Ktoś tam wyprowadza się na prowincję i kontakt się urywa. Ktoś inny wyprowadza się z prowincji i kontakt się urywa. Ktoś wyjeżdża z kraju i z czasem wszyscy o nim zapominają. A ci, którzy pozamarzali na śmierć? Jeśli mamy jakiś spis osób, które wówczas uznano za zmarłe na skutek fatalnej pogody w tamtej okolicy, także powinniśmy go przejrzeć.

- Myślę, że wszyscy możemy się zgodzić co do tego, że to nie jest taki przypadek - upierał się Sigurdur Oli, jakby pozjadał wszystkie rozumy świata. Zaczynał już drażnić Erlendura. - Wykluczone, by ten człowiek, czy kto tam leży, zmarł. To był czyn zamierzony. Ktoś go tam zakopał.

- Właśnie dokładnie to mam na myśli - powiedział Erlendur, świetnie odczytany w literaturze poświęconej tragediom na bezdrożach Islandii. - Człowiek wybiera się w drogę. Jest środek zimy i kiepskie prognozy pogodowe. Wszyscy starają się go odwieść od tego zamiaru. On nie słucha rad, myśli, że mu się uda. Najdziwniejsze we wszelkich relacjach na temat ludzi,

którzy zamarzli, jest to, że nigdy nie słuchają rad. Jakby coś ciągnęło ich do śmierci. Mówi się, że śmierć ich napiętnowała. Jakby chcieli zmasakrać swój los. Ale co tam. Nasz człowiek uważa, że nic mu się nie stanie. Tylko że rozpętuje się zawierucha gorsza, niż się spodziewał. Traci orientację w terenie. Gubi się. W końcu zasypuje go śnieg i zamarza. Z dala od uczęszczanych dróg, którymi miał wędrować. Dlatego jego ciało nigdy nie zostaje znalezione. Uznają go za zmarłego.

Elinborg i Sigurdur Oli spojrzeli po sobie, niepewni, o czym mówi Erlendur.

- To jest typowo islandzki przypadek zaginięcia, który można wytłumaczyć i który rozumiemy, ponieważ mieszkamy w tym kraju, wiemy, jak nagle może przyjść załamanie pogody, i wiemy też, że historie takie jak tego człowieka powtarzają się regularnie co jakiś czas i nikt się specjalnie nie dziwi. Taka jest Islandia, myślą sobie ludzie i kiwają głowami. Dawniej oczywiście takich przypadków było o wiele więcej, bo ludzie od farmy do farmy przemieszczali się pieszo. Istnieje na ten temat cała literatura; książek o tym jest więcej niż ludzi, których to interesuje. Sposób podróżowania zmienił się oczywiście w ostatnich sześćdziesięciu, siedemdziesięciu latach. Ci ludzie znikali i choć nikt się nigdy nie potrafił pogodzić ze stratą, społeczeństwo rozumiało ten mechanizm. Nigdy nie uważano takich przypadków za sprawy wymagające śledztwa policyjnego czy kryminalnego.

- O co ci chodzi? - nie zrozumiał Sigurdur Oli.

- I co to za kazanie? - dodała Elinborg.

- A jeżeli niektórzy z tych mężczyzn czy kobiet nigdy nie wyruszyli w drogę?

- Jak to? - spytała Elinborg.

- Co, jeśli domownicy powiedzieli, że ten czy ów wyruszył na wrzosowiska czy w drogę do najbliższej farmy lub poszedł zarzucić sieci na jeziorze i więcej go nie widziano? Rozpoczynają się poszukiwania, człowieka nie znajdują i uznaje się go za tragicznie zmarłego.

- Czyli że wszyscy w domu działali w zмовie i pozabawili go życia? - spytał z powątpiewaniem Sigurdur Oli.

- A dlaczego nie? - bronił swojego zdania Erlendur.

- I został zadźgany, pobity, zastrzelony i pogrzebany w ogródku? - dorzuciła swoje wątpliwości Elinborg.

- A potem zabity nie ma już spokoju w swoim grobie - podsumował Erlendur.

Sigurdur Oli i Elinborg spojrzeli po sobie, po czym znów popatrzyli na Erlendura.

- Benjamin miał narzeczoną, która zniknęła w dość dziwnych okolicznościach - powiedział Erlendur. - Mniej więcej w czasie, kiedy budowano domek. Mówiono, że utopiła się w morzu, a Benjamin nigdy nie doszedł do siebie po tej stracie. Podobno miał wielkie plany zrewolucjonizowania handlu w Reykjavíku, ale po zniknięciu dziewczyny jego zapal całkowicie wygasł, a z czasem stracił także kwitnący interes.

- Ale zgodnie z twoją najnowszą teorią ona nie zniknęła - wtrącił Sigurdur Oli.

- Nie. Zniknęła.

- Ale on ją zamordował.

- Chociaż trudno mi to sobie wyobrazić - powiedział Erlendur. - Czytałem listy, które do niej pisał, i według mnie nie byłyby w stanie jej skrzywdzić.

- No to w takim razie musiało chodzić o zazdrość - zauważyła Elinborg, czytana w romansidłach. - Zabił ją

z zazdrości. Najwyraźniej szczerze ją kochał. Zakopał ją w ogródku i nigdy więcej tam nie poszedł. Koniec, kropka.

- A ja się zastanawiam nad następującą sprawą - rzucił Erlendur. - Czy aż taka apatia to nie zbyt ostra reakcja młodego człowieka na śmierć ukochanej? Nawet jeśli popełniła samobójstwo? O ile wiem, Beniamin już nigdy nie przeboleł jej śmierci. Czy może się za tym kryć coś więcej?

- Ciekawe, czy zachował sobie kosmyk jej włosów? - zastanawiała się Elinborg, a Erlendur pomyślał, że to dalsze skojarzenia z wyciskaczami łez. - Może w ramce ze zdjęciem albo w naszyjniku - dodała. - Skoro tak bardzo ją kochał.

- Kosmyk? - Sigurdur Oli rozdziawił usta.

- A on zawsze tak samo tępy - zauważył Erlendur, który rozumiał, co mówi Elinborg.

- Jaki kosmyk? - powtórzył Sigurdur Oli.

- To by mogło ją przynajmniej wykluczyć.

- Kogo? - Sigurdur Oli patrzył na nich kolejno, ale usta już zamknął. - Chodzi wam o badanie DNA?

- No i jest jeszcze ta kobieta ze wzgórza - dodała Elinborg. - Fajnie byłoby ją znaleźć.

- Zielona kobieta - zamruczał Erlendur jakby do siebie i zamyślił się.

- Erlendur! - Sigurdur Oli wpadł na jakiś pomysł.

- Tak?

- Ona oczywiście nie może być zielona.

- Słuchaj no!

- Tak?

- Myślisz, że jestem idiotą?

W tym momencie na biurku Erlendura zadzwonił telefon. Telefonował archeolog Skarphedinn.

- Wszystko jest na dobrej drodze - grzmiał. - Możemy odkopać szkielet już za jakieś dwa dni.

- Dwa dni! - krzyknął Erlendur.

- Albo jakoś tak. Nie natrafiliśmy jeszcze na nic, co można by uznać za narzędzie zbrodni. Pewno wydaje się panu, że za bardzo jesteście drobiazgowi, ale moim zdaniem najlepiej zrobić to porządnie. Wpadnie pan tu zobaczyć, co tu się dzieje?

- Tak, właśnie się do was wybierałem - powiedział Erlendur.

- To może po drodze kupiłby pan dla nas jakieś ciastka? - zaproponował Skarphedinn i Erlendur oczyma duszy ujrzał jego żółte kły.

- Ciastka? - powtórzył.

- Drożdżówki - poprawił się Skarphedinn.

Erlendur odłożył słuchawkę i poprosił Elinborg, by pojechała z nim do Grafarholt, a Sigurdur Oli otrzymał zadanie przeszukania piwnicy Beniamina w nadziei znalezienia czegoś na temat domku letniskowego, który wybudował kupiec, a którym najwyraźniej zupełnie się nie interesował, kiedy jego życie naznaczyła tragedia.

W drodze do Grafarholt Erlendur wciąż myślał o ludziach, którzy zaginęli na skutek fatalnych warunków pogodowych. Przypomniała mu się opowieść o zniknięciu Jona Austmanna. Zamarzył najprawdopodobniej na przełęczy Blondugil w tysiąc siedemset osiemdziesiątym roku. Znalaziono jego konia z poderżniętym gardłem, a jeśli chodzi o samego Jona, to znalaziono jedynie jedną dłoń.

Odzianą w niebieską wełnianą rękawicę z jednym palcem.



We wszystkich koszmarach Simona jego ojciec występował jako potwór.

Tak było od zawsze, od kiedy pamiętał. Potwora obawiał się bardziej niż czegokolwiek innego w życiu i kiedy potwór zaczynał znęcać się nad matką, Simon niczego tak nie pragnął, jak przyjść jej z pomocą. Oczywiście wyobraźni widział nieuniknioną walkę, jak w powieściach przygodowych, gdzie rycerz musi pokonać zięjącego ogniem smoka. Niestety, w tych snach Simon nigdy nie zwyciężał.

Potwór w koszmarach Simona na imię miał Grimur. Nigdy nie występował jako jego ojciec, lecz jako Grimur.

Simon nie spał, kiedy Grimur wyniuchał ich w kanciapie w Siglufjordur, i słyszał, jak szepcze matce, że zabije Mikkelinę na górze. Widział przerażenie w oczach matki i widział, jak nagle straciła panowanie nad sobą, z całych sił uderzyła głową o poręcz łóżka i straciła przytomność. Tu uspokoiło nieco Grimura. Chłopak widział, jak Grimur mocno klepie ją po twarzy. Czuł od niego kwaśny smród i zagrzebał się głęboko w łóżku, błagając w przerażeniu Jezusa, by go natychmiast zabrał do nieba.

Nie usłyszał więcej z tego, co Grimur szeptał matce na ucho. Słyszał jedynie jej pojękiwania. Stłumione, jakby była rannym zwierzęciem. Mieszały się z przekleństwami Grimura. Uchylił lekko powieki i widział, jak Mikkalina patrzy na niego w ciemnościach szeroko otwartymi, nieopisanie przerażonymi oczami.

Simon dawno przestał modlić się do Boga i nie rozmawiał już z dobrym bratem Jezusem, chociaż matka powtarzała mu, by nigdy nie tracił wiary w Niego. Simon wiedział lepiej i starał się nie rozmawiać o tym z matką, bo widział po jej minie, że nie podoba się jej to, co on

mówi. Wiedział, że nikt, a zwłaszcza Bóg, nie pomoże matce pokonać Grimura. Przecież Bóg był wszechmocnym i wszechwiedzącym stwórcy i twórcy nieba i ziemi, i to Bóg stworzył Grimura i wszystkich innych, i to On utrzymuje potwora przy życiu i pozwala mu bić matkę i ciągnąć ją za włosy po kuchennej posadzce, i pluć na nią. Czasem też Grimur rzucał się z pięściami na Mikkelinę, cholerną debilkę, bił ją i szydził z niej, a czasem atakował Simona, kopał go albo bił po twarzy tak mocno, że raz chłopak stracił ząb w górnej szczęce i pluł krwią.

Jezu, bracie wielu. Dzieci przyjacielu.

Grimur nie miał racji, że Mikkelina jest debilką. Simon uważał, że jest mądrzejsza od nich wszystkich razem. Ale nigdy nie odzywała się ani słowem. Simon był przekonany, że ona umie mówić, ale nie chce. Wiedział, że wybrała milczenie. Uważał, że stało się tak dlatego, że dziewczyna boi się Grimura, podobnie jak on sam, a może nawet bardziej, bo Grimur czasem mówił, że należałoby ją wyrzucić na śmietnik razem z wózkiem, bo i tak jest ułomna, i on już ma dość patrzenia, jak żre jego jedzenie i nic nie robi w domu. Jest tylko kulą u nogi. Mówił także, że ona wystawia całą rodzinę na pośmiewisko, a zwłaszcza jego, bo jest imbecylką.

Grimur szczególnie dbał o to, by Mikkelina dobrze słyszała jego słowa i to, jak matka usiłuje usprawiedliwić te złorzeczenia; po prostu śmiał się z niej. Mikkelina nie narzekała, gdy się na niej wyżywał, nie chciała, by matka za nią cierpiała. Simon dostrzegał to w jej oczach, gdy na niego patrzyła. Zawsze byli ze sobą bardzo zżyci, o wiele bardziej niż Mikkelina z małym Tomasem, który był raczej skryty i samotny.

Ale matka wiedziała, że Mikkeline wcale nie jest debilną. Ciągłe robiła z nią ćwiczenia, ale tylko wtedy, gdy Grimur nie widział. Rozmasowywała jej nogi. Podnosiła bezwładną rękę, tę wykręconą i skurczoną, i smarowała sparaliżowany bok maścią, którą sporządzała z roślin porastających zbocza wzgórza. Co więcej, uważała, że Mikkeline będzie kiedyś mogła chodzić, więc brała ją w objęcia, kuśtykała z nią po kuchni tam i z powrotem, zachęcając do stawiania kroków i dodając odwagi.

Zawsze rozmawiała z Mikkeliną, jakby ta była zupełnie zdrowa, i kazała Simonowi i Tomasowi postępować tak samo. Pilnowała, by uczestniczyła we wszystkim, co robią razem, kiedy Grimura nie było w domu. Doskonale się rozumiały, Mikkeline i mama. I bracia także ją rozumieli. Każdy jej ruch i każde skrzywienie. Porozumiewali się zupełnie bez słów, chociaż Mikkeline słowa знаła, tylko nigdy ich nie używała. Matka nauczyła ją czytać i jedyne, co dziewczynka lubiła bardziej od wylegiwania się na słońcu, to były książki.

A potem, latem, po wybuchu wojny na świecie i przybyciu Brytyjczyków na wzgórze, Mikkeline przemówiła. Simon właśnie niósł ją z powrotem na legowisko w kuchni, bo na zewnątrz pod wieczór zrobiło się zimno, a Mikkeline, która przez cały dzień okazywała niezwykle ożywienie, dmuchała na dmuchawce i z radości wystawiała język, uszczęśliwiona całodziennym słońcem, nagle wydała z siebie dźwięk, który sprawił, że matka upuściła talerz do zlewu. Zapominając o przerażeniu, w które zazwyczaj wprawiało ją stłuczenie talerza, odwróciła się i wbiła wzrok w Mikkelinę.

- EMAAEMAAAA - powtórzyła Mikkeline.

- Mikkelina! - westchnęła ich matka.
- EMAAEMMAAA! - krzyczała Mikkelina, kręcąc głową w szalonej radości ze swego dokonania.

Matka podeszła do niej wolno, jakby nie wierzyła własnym uszom. Popatrzyła uważnie na córkę i Simonowi wydało się, że widzi w jej oczach łzy.

- Emaaemaaaa - powiedziała Mikkelina, a matka wzięła ją od Simona i wolniutko, ostrożnie ułożyła na kuchennym posłaniu, po czym pogłaskała po głowie. Simon nigdy wcześniej nie widział matki płaczącej. Nie ważne, co jej robił Grimur, nigdy nie płakała. Krzyczała przeraźliwie z bólu, wzywała pomocy, błagała go, by przestał, lub cierpiała w milczeniu, ale Simon nie widział nigdy wcześniej łez w jej oczach. Teraz pomyślał, że matka pewnie źle się czuje i przytulił ją, lecz ona powiedziała, by się nie martwił. Że to jest najlepsze, co ją w życiu spotkało. Czuł, że matka płacze z powodu stanu Mikkeliny, ale także dlatego że siostrze udało się czegoś dokonać i to uczyniło matkę szczęśliwszą niż kiedykolwiek.

Minęły dwa lata i Mikkelina wzbogacała stale swój zasób słów, mogła już wypowiadać całe zdania, z twarzą pąsową z bólu, wywalając język i kręcąc głową z wysiłku. Wyglądało na to, jakby głowa zaraz miała odpaść od słabowitego ciała. Grimur nie wiedział, że dziewczyna potrafi mówić. Mikkelina nie odzywała się ani słowem w jego obecności, a matka utrzymywała to przed nim w tajemnicy, ponieważ nie chciała zwracać jego uwagi na Mikkelinę, nawet na jej sukcesy. Udawali, że nic się nie stało. Że nic się nie zmieniło. Simon słyszał kilka razy, jak matka bardzo ostrożnie podejmowała w rozmowie z Grimurem temat Mikkeliny, pytając, czy nie można by pomyśleć o jakiejś pomocy dla niej. Wtedy dziewczynka

ruszałyby się więcej i z wiekiem wzmocniła. Bo jej zdaniem jest w stanie się uczyć. Przecież umie już czytać, a ona uczy ją też pisać zdrową ręką.

- Ona jest debilką - zawyrokował Grimur. - Nie myśl sobie, że jest czymś więcej niż tylko debilką. I nie rozmawiaj ze mną na ten temat.

Przestała więc rozmawiać, bo zawsze robiła wszystko, co kazał jej Grimur. Mikkelina nigdy nie miała żadnego wsparcia poza pomocą matki i poza tym, że Simon i Tomas wynosili ją czasem na słońce i bawili się z nią.

Simon niewiele mógł powiedzieć o Grimurze, zwłaszcza że unikał ojca jak ognia. Czasem jednak zdarzało się, że był zmuszony go słuchać. Zwłaszcza kiedy był jeszcze mały i Grimur bardziej mógł go wykorzystywać. Zabierał go nawet na wyprawy do Reykjavíku i kazał nosić zakupy do domu. Taka podróż do miasta zajmowała około dwóch godzin. Trzeba było zejść do Grafarvogur, przez most na rzece Ellida, wzdłuż kanału Sund i przez cypel Laugarnes. Czasem chodzili także przez wzniesienie do Haaleiti, a potem w dół przez błota Sogamyri. Simon trzymał się tuż za Grimurem o jakieś cztery czy pięć małych kroków. Grimur nigdy się do niego nie odzywał i w ogóle nie zwracał na niego uwagi, poza tym, że objucał go zakupami i poganiał do domu. Powrót trwał trzy do czterech godzin, w zależności od ciężaru, jaki dźwigał Simon.

Podczas tych wypraw do Reykjavíku Simon odkrył w zachowaniu Grimura coś, co dość długo do niego docierało, a czego nigdy w pełni nie zrozumiał. W domu Grimur był milczący, humorzasty i porywczy. Nie cierpiał, kiedy się do niego odzywano. Był wulgarny, kiedy mówił, i pełen pogardy, gdy poniżał swoje dzieci i ich matkę;

kazał im wszystkim sobie usługiwać i biada temu, kto nie stanął na wysokości zadania. Natomiast w swoich interesach z innymi ludźmi potwór zdawał się zrzucać skórę i zmieniać w kogoś niemal ludzkiego. W czasie pierwszych wypraw do miasta chłopak spodziewał się, że Grimur będzie się zachowywał jak zawsze w domu, będzie rzucał ludziom w twarz chamskie słowa albo ich bił. Tak się jednak nigdy nie działo. Wręcz przeciwnie. Grimur nagle chciał się wszystkim przypodobać. U kupca prowadził wesole rozmowy, czapkował i kłaniał się, kiedy ktoś wchodził do sklepu, mówił z szacunkiem. Nawet się uśmiechał. Podawał ludziom rękę. Czasem, spotykając znajomych, wybuchał głośnym, radosnym śmiechem, a nie tym schrypniętym, oschłym rechotem, który czasem wydobywał się z niego, kiedy okładał ich matkę. Ludzie pytali o Simona, a wtedy Grimur kładł mu dłoń na głowie i mówił, że ten chłopak to jego syn, tak, już taki duży. Z początku Simon uchylał się w obawie przed uderzeniem, a Grimur obracał to w żart.

Simon potrzebował dużo czasu, by się połapać w tej niezrozumiałej dwoistości natury Grimura. Nie znał jego nowej maski. Nie rozumiał, jak to możliwe, że Grimur w domu jest taki, a zupełnie inny, gdy znajdzie się poza nim. Nie rozumiał, jak Grimur może się podlizywać, uginać i odzywać do ludzi z szacunkiem, on, który panował nad całym światem, dzierżąc nieograniczoną władzę nad życiem i śmiercią. Kiedy opowiedział o tym matce, potrząsnęła tylko głową i jak zwykle powiedziała, żeby uważał na Grimura. Żeby uważał, by go nie rozjuszyć. Bo nie miało znaczenia, czy powód do awantury dali Simon, Tomas czy Mikkelina, czy jakieś wydarzenie poza domem. Zawsze i tak wszystko skrupiało się na matce.

Między takimi napadami mogły minąć długie miesiące, niekiedy prawie rok, ale Grimur nigdy nie rezygnował. Zdarzało się też, że między kolejnymi napadami mijały tylko tygodnie. Ataki nie były też jednakowo gwałtowne. Czasem ograniczały się do jednego niespodziewanego ciosu, innym razem Grimur z furią obalał matkę na ziemię i kopał do nieprzytomności.

Ale nie tylko przemoc fizyczna stanowiła koszmar ich życia. Słowa Grimura potrafiły chłostać niczym bicz. Poniżające uwagi na temat Mikkeliny, ułomnej debilki. Wściekłe docinki pod adresem Tomasa, nie będącego w stanie przestać moczyć się w nocy. I kiedy trzeba było poganiać Simona, cholernego lenia. Tego wszystkiego musiała wysłuchiwać ich matka. Oni zaś usiłowali tego nie słyszeć.

Grimurowi było wszystko jedno, czy dzieci patrzą, jak bije ich matkę i jak ją poniża, używając słów ostrych jak brzytwa.

A na co dzień prawie w ogóle się nimi nie interesował. Zazwyczaj zachowywał się tak, jakby nie istnieli. Bardzo rzadko grał z chłopcami w karty i potrafił nawet dać Tomasowi wygrać. Czasem, w niedziele, wszyscy razem szli na spacer do Reykjavíku. Grimur kupował chłopcom słodycze. Kilka razy wolno im było nawet zabrać Mikkelinę i wtedy Grimur załatwił im przejazd samochodem rozwożącym węgiel, żeby nie musieli znosić jej ze wzgórza. Podczas tych pojedynczych wypraw, między którymi potrafiło minąć sporo czasu, ojciec wydawał się Simonowi prawie człowiekiem. Prawie ojcem.

W tych rzadkich przypadkach, kiedy Grimur jawił się Simonowi inaczej niż jako tyran, wydawał mu się tajemniczy i niezrozumiały. Kiedyś siedział przy kuchennym stole, pił kawę i przyglądał się Tomasowi bawiącemu się

na podłodze. Gładząc otwartą dłonią blat stołu, prosił Simona, który miał zamiar wymknąć się z domu, by nalał mu jeszcze kawy. I gdy Simon napełniał jego filiżankę, ojciec powiedział:

- Strasznie się denerwuję, kiedy o tym myślę.

Simon zamarł w bezruchu z dzbankiem w dłoniach i stał obok ojca.

- Tak strasznie się denerwuję - powtórzył, gładząc blat stołu.

Simon wycofał się wolno i odstavil dzbanek na płytę.

- Strasznie się denerwuję, kiedy widzę, jak Tomas bawi się na podłodze - ciągnął Grimur. - Ja byłem niewiele starszy od niego.

Simon nigdy nie wyobrażał sobie ojca jako chłopca. Nie zastanawiał się nad tym, że Grimur kiedyś mógł być inny. I teraz, nagle, stał się dzieckiem, takim jak Tomas. Simon nagle ujrzał swojego ojca w zupełnie innym świecie.

- Jesteście kolegami, ty i Tomas, prawda?

Simon skinął głową.

- Prawda? - powtórzył Grimur, a Simon potwierdził. Ojciec siedział, gładząc blat stołu.

- My też byliśmy kolegami. Umilkł.

- To była kobieta - odezwał się w końcu. - Tam mnie wysłali. Byłem w tym samym wieku co Tomas. Spędziłem tam wiele lat.

Znów umilkł.

- I jej mąż.

Przestał gładzić blat i zacisnął pięść.

- Przeklęte bestie. Przeklęte, kurwa, bestie.

Simon znów zaczął się cofać. Ale ojciec jakby się uspokoił.



- Sam tego nie potrafię pojąć - powiedział. - I już nie daję sobie w tym rady.

Dopił kawę, wstał i ruszył do swojej sypialni. Po drodze podniósł z podłogi Tomasa i zabrał go z sobą. Zamknął drzwi.

Czas płynął, Simon rósł, męźniał i stawał się coraz bardziej odpowiedzialny. Zaczął też zauważać zmiany w zachowaniu swojej matki. Nie były tak gwałtowne jak u Grimura, który nagle potrafił stać się prawie człowiekiem. Te zmiany następowały bardzo powoli i podstępnie przez wiele lat. Dzięki wyjątkowej wrażliwości Simon czuł, że są bardzo istotne. Tym mocniej je odczuwał, że były groźne dla niej samej, może nawet tak samo groźne jak Grimur. Simon wiedział w głębi duszy, że odpowiedzialność za matkę spoczywa na nim i że musi reagować, zanim będzie za późno. Mikkelina była zbyt słaba, a Tomas zbyt mały. Tylko on mógł matce pomóc.

Niełatwo mu było zrozumieć te zmiany i to, co zwiastują, ale jego złe przeczucia nasiliły się mniej więcej wtedy, kiedy Mikkelina wykrzyczała pierwsze słowo. Postępy, jakie czyniła dziewczyna, niewymownie wręcz ucieszyły matkę i przez chwilę wyglądało, jakby cały jej smutek zniknął. Uśmiechnęła się, przytuliła Mikkelinę i chłopców i przez następne tygodnie i miesiące ćwiczyła córkę w mówieniu, ciesząc się z najmniejszych nawet postępów.

Niebawem jednak matka znów popadła w apatię, cały jej smutek wrócił znowu, był jednak jakby o wiele dotkliwszy. Czasem wysprzątała mieszkanie tak, że nie było w nim ani krzty brudu, siadała na łóżku w sypialni i całymi godzinami patrzyła tylko przed siebie. Patrzyła

półprzymkniętymi oczami w przestrzeń z tak nieskończonym smutkiem, jakby była sama na świecie. Pewnego razu, kiedy Grimur uderzył ją w twarz i wybiegł z domu, Simon znalazł matkę z kuchennym nożem w ręku, głaszczącą się ostrzem po nadgarstku. Kiedy go zauważyła, uśmiechnęła się z przymusem i odłożyła nóż z powrotem do szuflady.

- Co mama robiła z nożem? - spytał Simon.

- Sprawdzalam, czy jest ostry. On chce, żeby noże były ostre.

- W mieście jest całkiem inaczej - powiedział Simon. - Wtedy on nie jest taki zły.

- Wiem.

- Jest wesoły i uśmiechnięty.

- Tak.

- Dlaczego nie jest taki w domu? Dla nas?

- Nie wiem.

- Dlaczego on jest taki zły w domu?

- Nie wiem. Źle się czuje.

- Chciałbym, żeby był inny. Chciałbym, żeby umarł. Matka spojrzała na niego.

- Nie. Nie mów tak jak on. Nie wolno ci tak myśleć. Nie jesteś taki jak on i nigdy nie będziesz. Ani ty, ani Tomas. Nigdy. Słyszysz! Zabraniam ci myśleć w ten sposób. Nie wolno ci.

Simon patrzył na matkę.

- Opowiedz mi o tacie Mikkeliney - powiedział. Czasem słyszał, jak opowiadała o nim Mikkelinie, i wyobrażał sobie, jak by wyglądał jej świat, gdyby tamten człowiek nie umarł. Wyobrażał sobie, że jest jego synem, wyobrażał sobie życie rodzinne z ojcem, który nie jest potworem, lecz przyjacielem i kolegą, który kocha swoje dzieci.

- On umarł - odpowiedziała jego matka, a w jej głosie zabrzmiała oskarżycielska nutka. - I więcej o tym nie mówmy.

- Ale on był inny - powiedział Simon. - Ty byłabyś inna.

- Gdyby nie zginął? Gdyby Mikkelina nie zachorowała? Gdybym nie poznała twojego ojca? I co nam przyjdzie z tego, że się będziemy nad tym zastanawiać?

- Dlaczego on jest taki zły?

Pytał ją o to wiele razy. Czasem mu odpowiadała, a czasem milczała. Od wielu lat szukała odpowiedzi na to pytanie i nie mogła jej znaleźć. Wpatrywała się gdzieś daleko w przestrzeń, jakby Simona już przy niej było, jakby została sama i sama ze sobą rozmawiała, ponura, zmęczona i odległa. Jakby nic, co może powiedzieć czy zrobić, nie miało już żadnego znaczenia.

- Nie wiem. Wiem tylko, że to nie nasza wina. To coś tkwi w nim samym. Na początku obwiniałam o to siebie. Staralam się odkryć, gdzie popełniłam błąd, który sprawił, że się zdenerwował. Bo chciałam to zmienić. Ale nigdy nie wiedziałam, o co mu chodziło. Nieważne, co robiłam, jemu i tak było wszystko jedno. Ale już dawno się nie obwiniam i nie chcę, żebyście ty, Tomas czy Mikkelina myśleli, że on się tak zachowuje z waszej winy. Nawet jeśli na was krzyczycy i przeklina. To nie przez nas.

Patrzyła na Simona.

- Ta niewielka władza, jaką ma na tym świecie, to władza nad nami. Dlatego on się nie zmieni. On nigdy nie przestanie być taki.

Simon przeniósł wzrok na szufladę z nożami.

- I nie możemy nic zrobić?

- Nic.

- A co chciałaś zrobić z nożem?
- Powiedziałam ci. Sprawdzalam, czy jest ostry.

On sobie życzy, żeby noże były porządnie naostrzone.

Simon wybaczył matce kłamstwo, ponieważ widział, że tak jak zawsze usiłuje go chronić, pilnować, dbać o to, by to koszmarne życie rodzinne wywarło na jego własne życie możliwie najmniejszy wpływ.

Kiedy Grimur wrócił tego wieczoru do domu, utytłany po rozwożeniu węgla, był w niezwykle dobrym humorze i zaczął opowiadać matce coś, o czym usłyszał w Reykjaviks. Usiadł na taborecie i zażądał kawy. Powiedział, że rozmowa zesła na nią. Tak się złożyło, że w przedsiębiorstwie rozwóżającym węgiel rozmawiano właśnie o niej. W każdym razie rozmawiający twierdzili z całą stanowczością, że ona jest jednym z nich. Jednym z dzieci końca świata, które zostały poczęte w zbiorniku gazowym.

Była zwrócona plecami do Grimura, parzyła kawę i nie odezwała się ani słowem. Simon siedział przy kuchennym stole. Tomas i Mikkelina byli na dworze.

- W zbiorniku na gaz!

Potem wybuchnął brzydkim, gulgoczącym śmiechem. Co jakiś czas odkasływał czarnym węglowym pyłem i miał czarne obwódki wokół oczu, ust i uszu.

- W czasie orgii ze strachu przed końcem świata w pieprzonym zbiorniku na gaz! - krzyknął.

- To nieprawda - powiedziała cicho.

Simon aż się przestraszył, bo jeszcze nigdy nie słyszał, żeby sprzeciwiła się czemukolwiek, co mówił Grimur. Patrzył na matkę i zimny pot spływał mu po plecach.

- Różni się i pieprzyli całą noc, bo myśleli że świat się skończy, i tak powstałaś, kurwi pomioście!

- To kłamstwo - powiedziała bardziej zdecydowanie.

Nie podniosła jednak głowy znad zlewu. Zwrócona była plecami do Grimura, głowa jeszcze niżej opadła jej na piersi, a drobne ramiona uniosły się, jakby chciała się między nimi schować.

Grimur przestał się śmiać.

- Nazywasz mnie kłamcą?

- Nie - odparła. - Ale to nie jest prawda. To jakieś nieporozumienie.

Grimur wstał od stołu.

- To jakieś nieporozumienie - przedrzeźniał.

- Wiem, kiedy zbudowano zbiornik. Ja się urodziłam wcześniej.

- Poza tym dowiedziałem się jeszcze jednej ciekawej rzeczy. Powiedziano mi, że twoja matka była kurwą, a twój stary żulem i że wyrzucili cię do kubła na śmieci, kiedy się urodziłaś.

Szuflada z nożami stała otwarta. Patrzyła w nią, a Simon zauważył, że przygląda się największemu nożowi. Spojrzała na Simona i znowu na nóż i wtedy Simon po raz pierwszy zrozumiał, że jest w stanie go użyć.

## 12.

Skarphedinn kazał przykryć teren wykopaliska wielkim białym namiotem. Kiedy Erlendur wszedł pod namiot, zauważył, że prace postępują niewiarygodnie wolno. Wyrtyo w ziemi prostokąt mierzący około dziesięciu metrów kwadratowych, a szkielet spoczywał w jednym z jego końców. Ręka wystawała spod ziemi tak samo jak przedtem, a dwaj ludzie klęczeli w pobliżu z niewielkimi pędzelkami i szpachelkami w rękach. Spulchniali ziemię i zamiatali na nieduże łopatki.

- Nie przesadzacie trochę z dokładnością? - spytał Erlendur, kiedy Skarphedinn podszedł do niego, żeby się przywitać. - Przecież nigdy tego nie skończycie.

- Przy takich wykopaliskach ostrożności nigdy za dużo - odparł Skarphedinn, rzetelny jak zwykle i zadowolony, że jego ludzie pracują zgodnie z ustalonymi regułami. - Zwłaszcza pan powinien sobie zdawać z tego sprawę - dodał.

- A czy wy czasem nie urządzacie tu sobie jakiegoś poligonu doświadczalnego?

- Poligonu?

- Archeologicznego. Może to są pańscy studenci z uniwersytetu?

- Nie, no weź pan przestań, Erlendur. Skrupulatnie wykonujemy naszą pracę. Inaczej się nie da.

- A zresztą może nie ma aż takiego pośpiechu - zastanowił się Erlendur.

- Wszystko dokładnie wyjaśnimy - powiedział Skarphedinn, przeciągając językiem po kłach.

- Z tego, co wiem, lekarz sądowy jest na wakacjach w Hiszpanii - uspokoił go Erlendur. - Spodziewamy się go dopiero za kilka dni. To nam postępowania nie przyśpieszy, ale oznacza, że czasu mamy sporo.

- Ciekawe, kto tutaj spoczywa? - zastanowiła się Elinborg.

- Jeszcze nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy to mężczyzna, czy kobieta, osoba młoda czy stara - odparł Skarphedinn. - Ale myślę, że nie ma wątpliwości co do tego, że zostało popełnione morderstwo.

- Czy mogą to być szczątki młodej kobiety w ciąży? - spytał Erlendur.

- Niebawem się to wyjaśni - uspokoił go Skarphedinn.

- Niebawem? - zdziwił się Erlendur. - W takim tempie?

- Erlendurze, cierpliwość jest cnotą - odparł Skarphedinn. - Cnotą.

Erlendur już chciał mu powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić tę cierpliwość, kiedy wtrąciła się Elinborg.

- Morderstwo nie zawsze musi się wiązać z miejscem znalezienia zwłok - powiedziała ni z tego, ni z owego. Przemyślała wszystko, co poprzedniego dnia podawał w wątpliwość Sigurdur Oli, kiedy zdenerwował się na Erlendura, uznając, że ten zanadto przywiązał się do

pierwszej koncepcji związanej ze znalezieniem kości - że osoba spoczywająca w ziemi musiała mieszkać na wzgórzu, a nawet w którymś z okolicznych domków letniskowych. Sigurdur Oli uważał to za absurd, żeby skupiać się na jakimś domu, który dawniej stał w okolicy, i na ludziach, którzy w nim mieszkali albo i nie mieszkali. Erlendur odjechał już do szpitala, gdy Sigurdur Oli wygłosił tę pełną wątpliwości mowę, a teraz Elinborg ciekawa była posłuchać, co na ten temat ma do powiedzenia Erlendur.

- Mógł zostać zabity, powiedzmy, w zachodniej części miasta i przetransportowany tutaj - powiedziała. - Nie mamy absolutnie żadnej pewności, że morderstwo zostało popełnione tu, na wzgórzu. Rozmawiałam o tym wczoraj wieczorem z Sigurdurem Olim.

Erlendur grzebał głęboko w kieszeniach płaszcza, dopóki nie trafił na zapalniczkę i paczkę papierosów. Skarphedinn patrzył na niego z dezaprobatą.

- Nie będzie pan palił tutaj pod namiotem - skarcił go zły.

- No to wyjdźmy na zewnątrz - zaproponował Erlendur Elinborg. - Nie kalajmy cnoty.

Opuścili namiot i Erlendur zapalił papierosa.

- Oczywiście macie z Sigurdurem Olim rację - powiedział. - Nie ma żadnej pewności, że morderstwo, jeśli jest to w ogóle morderstwo, zostało popełnione tu, na miejscu. Ale wydaje mi się - ciągnął, wypuszczając gęsty dym - że możemy rozważyć trzy równoprawne teorie. Po pierwsze, jest to narzeczona Beniamina Knudsen, która, będąc w ciąży, zniknęła i wszyscy sądzili, że rzuciła się do morza. Z jakichś powodów, może, jak sama uważasz, z zazdrości, zabił dziewczynę i ukrył ją koło swojego domku letniskowego; i potem już nigdy nie



odzyskał równowagi duchowej. Po drugie, jest to ktoś, kto został zamordowany w Reykjavíku albo w Keflavíku, a może w Akranes, gdzieś w pobliżu stolicy. Następnie został tu przetransportowany i pochowany. Zapomniany przez wszystkich. I po trzecie, istnieje prawdopodobieństwo, że na wzgórzu mieszkali jacyś ludzie i że to oni popełnili zbrodnię. Pochowali potem zwłoki, dlatego że nie dało się ich nigdzie przetransportować. Być może był to podróżny, jakiś gość, może nawet Brytyjczyk, który trafił tu podczas wojny i budował baraki po drugiej stronie wzgórza, lub Amerykanin, jeden z tych, którzy przejęli obronę po Brytyjczykach, a może nawet któryś z domowników.

Erlendur upuścił niedopałek pod nogi i rozdeptał go.

- Do mnie osobiście, choć nie potrafię tego specjalnie uargumentować, ta teoria przemawia najbardziej. Teoria o narzeczonej Beniamina jest najprostsza, jeśli uda nam się udowodnić, że to jej szkielet. Trzecia teoria sprawi nam być może najwięcej kłopotów, bo wtedy będziemy mieć do czynienia z zaginięciem sprzed lat, na dużym i gęsto zamieszkałym terenie, jeśli w ogóle zostało zgłoszone. Tu wszystko pozostaje otwarte.

- Jeśli się okaże, że razem ze szkieletem spoczywają tu szczątki płodu, wówczas chyba będziemy mieć odpowiedź - powiedziała Elinborg.

- Jak mówię, to byłoby najprostsze rozwiązanie. Mamy jakąś dokumentację na temat tej ciąży?

- Co masz na myśli?

- Wiemy coś na temat tej ciąży?

- Chcesz powiedzieć, że Beniamin kłamał? Że ona wcale nie była w ciąży?

- Tego nie wiem. Być może była w ciąży, ale nie z nim.

- Że niby go zdradziła?

- Możemy snuć takie domysły bez końca, dopóki nie dowiemy się czegoś konkretnego od archeologów.

- Co też mogło się stać tej osobie? - westchnęła Elinborg, wyobrażając sobie kości w ziemi.

- Może sobie na to zasłużyła - powiedział Erlen-dur.

- Co?

- Ta osoba. A przynajmniej miejmy taką nadzieję. Nie byłoby fajnie, gdyby leżał tu ktoś bez skazy.

Pomyślał o Evie Lind. Czy ona zasłużyła sobie na po-byt na OIOM-ie w stanie bliższym śmierci niż życia? Czy to jego wina? Czy kogokolwiek można za to obwiniać poza nią samą? Czy jej cholerny nałóg to nie wyłącznie jej sprawa? A może i on miał w tym jakiś swój udział? Eva była o tym przekonana i nieraz mu to wypominała, uważając, że nie jest wobec niej sprawiedliwy.

- Nigdy nie powinieneś nas opuszczać! - krzyknę-ła kiedyś. - Patrzysz na mnie z pogardą, a sam nie jesteś lepszy. Jesteś takim samym pojebem!

- Nigdy nie patrzę na ciebie z pogardą - odpowie-dział, lecz jego słowa nie dotarły do jej uszu.

- Patrzysz na człowieka z góry, jakby człowiek był psim gównem! - wrzeszczała. - Jakbyś był ważniejszy ode mnie. Jakbyś był mądrzejszym i lepszym człowiekiem niż ja. Jakbyś był lepszy niż ja, mama i Sindri! Odchodzisz od nas tak ot i nawet się nie zainteresujesz, co u nas. Po prostu jakbyś był jakimś, jakbyś był ja-kimś... Bogiem-kurwa-wszchemogącym!

- Próbowałem...

- Gówno próbowałeś! Co próbowałeś? Nic. Abso-kurwa-lutnie nic! Spierdoliłeś od nas jak ostatni tchórz!

- Nigdy nie patrzyłem na ciebie z góry - powie-dział. - Mylisz się. Nie rozumiem, dlaczego tak mówisz.

- Ależ tak. Patrzyłeś. I dlatego odszedłeś. Dlatego że tak mało dla ciebie znaczymy. Tak okropnie mało, że nas nienawidziłeś. Mamy zapytać! Ona to wie. Mówi, że to wszystko twoja wina. Wszyściutko. Twoja wina. Również to, jaka ja jestem. I co ty na to, panie Boże-kurwa-wszechmogący?

- Nie wszystko, co mówi mama, jest prawdą. Jest zła i rozgoryczona, i...

- Zła i rozgoryczona! Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo jest zła i rozgoryczona i jak bardzo cię nienawidzi z powodu złamanego życia. Swojego i naszego, dzieci. To nie była jej wina, że odszedłeś. A odszedłeś, chociaż ona jest Marią-kurwa-dziewicą. To była NASZA wina! Sindriego i moja. Zrozum to wreszcie, idioto! Zrozum to, idioto...

- Erlendur?

- Co?

- Wszystko w porządku?

- Jak najlepszym. W jak najlepszym porządku.

- Wpadnę do córki Roberta. - Elinborg stała, wy-machując mu ręką przed nosem, jakby chciała wybudzić go z transu. - Wybierzesz się do ambasady brytyjskiej?

- Co? - Erlendur odzyskiwał świadomość. - Tak, tak zrobimy - powiedział zamyślony. - Tak właśnie zrobimy, Elinborg.

- Tak?

- Sprowadźmy tu jeszcze raz lekarza okręgowego, żeby rzucił okiem na kości, jak tylko je odkopią. Skarphedinn to kompletny laik. Coraz bardziej przypomina mi jakąś groteskową postać z baśni braci Grimm.

## 13.

Przed wizytą w ambasadzie brytyjskiej Erlendur pojechał do Vogar i zaparkował nieopodal sutereny, w której kiedyś mieszkała Eva Lind i od której zaczął jej poszukiwania. Pomyślał o poparzonym dziecku, które zastał w mieszkaniu. Wiedział, że razem z matką znalazło się pod nadzorem Stowarzyszenia Opieki nad Dziećmi. Wiedział też, że mężczyzna, który z nimi mieszkał, był ojcem dziecka. Krótkie śledztwo ujawniło, że w ciągu ostatniego roku matka dwukrotnie zgłaszała się na ostry dyżur, raz ze złamaną ręką, drugi raz z wieloma różnymi obrażeniami, których, według własnych słów, doznała na skutek wypadku samochodowego.

Inne proste czynności śledcze wykazały, że jej konkubent miał już trochę do czynienia z policją. Ale nigdy za stosowanie przemocy. Ciężyły na nim oskarżenia o włamania i sprzedaż środków odurzających i właśnie czekał na wyrok. Raz siedział nawet za różne drobne przestępstwa. Jednym z nich była próba dokonania napadu na trafikę.

Erlendur przez dobrą chwilę siedział w aucie, obserwując drzwi mieszkania. Powstrzymał się od zapalenia

papierosa. Już miał zamiar odjechać, kiedy drzwi się otworzyły. Wyszedł z nich mężczyzna, a za nim ciągnęła się smuga dymu z papierosa. Wyrzucił niedopałek w ogródku przed domem. Był średniego wzrostu, silnie zbudowany, z długimi, czarnymi włosami, od stóp do głów ubrany na czarno. Wygląd zgadzał się z opisem, jaki widniał w policyjnych raportach. Mężczyzna zniknął za rogiem, a Erlendur cichutko odjechał.

Drzwi otworzyła córka Roberta, Harpa. Elinborg telefonicznie uprzedziła o swojej wizycie. Gospodyni poruszała się na wózku inwalidzkim, nogi miała chude, nieruchome, a tułów i ramiona bardzo silne. Elinborg mocno zaskoczył jej widok, lecz powstrzymała się od komentarzy. Harpa zaprosiła ją do środka. Drzwi zostawiła otwarte. Elinborg weszła i zamknęła je za sobą. Mieszkanie było nieduże, ale wygodne, urządzone z myślą o właścicielce; kuchnia i toaleta wyposażone zostały we wszelkie udogodnienia, podobnie jak pokój dzienny, w którym regały kończyły się na wysokości jednego metra od podłogi.

- Moje kondolencje z powodu śmierci ojca - zaczęła Elinborg nieco skrępowana, podążając za Harpą do pokoju dziennego.

- Dziękuję - odparła kobieta na wózku. - On już i tak był stary. Mam nadzieję, że ja nie dożyję takiego wieku. Nie chciałabym się tułać schorowana po domach opieki, latami czekając na śmierć. Kurczy się.

- Szukamy ludzi, którzy mogliby coś wiedzieć o rodzinie, prawdopodobnie mieszkającej w domku letniskowym w Grafarholt, od strony północnej - Elinborg od razu przeszła do sprawy. - Mniej więcej w czasie wojny, przed nią lub tuż po niej. Rozmawialiśmy z pani ojcem

tuż przed jego śmiercią. Wspominał o rodzinie, która miała w tym domu mieszkać. Niestety nie był w stanie powiedzieć nic więcej.

Elinborg pomyślała o masce tlenowej na twarzy Roberta. O jego dusznościach i bladych, wysuszonych rękach.

- Wspominała mi pani coś o tych znalezionych kościach - powiedziała Harpa, odgarniając opadającą na czoło grzywkę. - Mówili o tym w telewizji.

- Tak, znaleźliśmy w tamtej okolicy szkielet i teraz usiłujemy się dowiedzieć, kto to może być. Pamięta pani tę rodzinę, o której wspominał pani ojciec?

- Miałam siedem lat, kiedy zaczęła się wojna - powiedziała Harpa. - Pamiętam żołnierzy w Reykjavíku. Mieszkaliśmy przy Laugavegur, ale ja przecież niewiele jeszcze rozumiałam. Na wzgórzu też byli. Od strony południowej. Zbudowali baraki i schron. Z betonowej konstrukcji wystawała lufa armatnia. Wszystko to było strasznie dramatyczne. Zabroniono nam tam chodzić, mojemu bratu i mnie. O ile pamiętam, cały teren był ogrodzony. Drutem kolczastym. Nieczęsto zapuszczaliśmy się w tamtą stronę. Chociaż sporo przebywaliśmy w domku letniskowym, który zbudował tata. Najczęściej latem. Oczywiście w okolicznych domach mieszkali ludzie, których znaliśmy z widzenia.

- Z rozmowy z pani ojcem wywnioskowałam, że w tamtym domu mieszkało troje dzieci. Mogły być w pani wieku. - Elinborg przeniosła wzrok z Harpy na wózek. - Ale może pani nie za bardzo była w stanie się poruszać?

- Ależ skąd - odparła Harpa i uderzyła w wózek. - To stało się później. Wypadek samochodowy. Miałam już trzydziestkę. Ale nie pamiętam żadnych dzieci z tamtego domku. Z innych pamiętam, ale z tamtego nie.

- Niedaleko miejsca, gdzie stał domek i gdzie znaleźliśmy kości, rosną krzaki porzeczek. Pani ojciec wspomniał o kobiecie, która przychodziła tam, jak zrozumiałam, później. Przychodziła często, w każdym razie wydaje mi się, że tak powiedział, najprawdopodobniej ubrana na zielono. I była krzywa.

- Krzywa?

- W każdym razie tak powiedział, a właściwie napisał.

Elinborg wyciągnęła kartkę, na której Robert napisał tajemnicze słowo, i podała ją Harpie.

- Wygląda na to, że było to w czasach, kiedy domek należał jeszcze do waszej rodziny - ciągnęła. - O ile się nie mylę, sprzedaliście go mniej więcej w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym.

- W siedemdziesiątym drugim - sprostowała Harpa.

- Pamięta pani tę kobietę?

- Nie, i nigdy nie słyszałam, żeby tata o niej mówił. Przykro mi, że nie mogę pomóc, ale nigdy tej kobiety nie widziałam i nic mi o niej nie wiadomo. Nie pamiętam też mieszkańców domku, o którym pani mówi.

- A może domyśla się pani, co ojciec rozumiał przez to słowo? „Krzywa”?

- To, co ono znaczy. Zawsze mówił wprost to, co myślał, i nic ponadto. Był bardzo dokładny. Dobry człowiek. Dobry dla mnie. Po wypadku. I kiedy mąż mnie opuścił. Starczyło mu sił na trzy lata po wypadku, potem odszedł.

Elinborg odniosła wrażenie, że kobieta się uśmiecha, ale na jej twarzy uśmiechu nie dostrzegła.

Pracownik ambasady brytyjskiej w Reykjavíku przyjął Erlendura z tak wielką uprzejmością i grzecznością, że

Erlendur sam niemal zaczął kłaniać mu się w pas. Mężczyzna przedstawił się jako sekretarz ambasady. Był wysoki i szczupły, nienagannie ubrany w garnitur i skrzypiące lakierki. Ku wielkiej radości Erlendura mówił bezbłędnie po islandzku. Policjant sam kiepsko się wyślawiał po angielsku i nie bardzo ten język rozumiał. Dlatego odetchnął z ulgą, dotarło do niego, że to raczej sekretarz będzie miał problemy językowe w czasie rozmowy.

Gabinet sekretarza wyglądał równie nienagannie jak on sam. Erlendur pomyślał o swoim biurze, które zawsze wyglądało jak po ataku bombowym. Sekretarz - „mów mi po prostu Jim” - poprosił go, by usiadł.

- Podoba mi się, że tu, w Islandii, jesteście tacy nieformalni - zaczął Jim.

- Długo tu mieszkasz? - spytał Erlendur, nie bardzo wiedząc, dlaczego nagle zaczął się zachowywać jak paniusia na five o'clocku.

- Tak, niedługo będzie dwadzieścia lat - odparł Jim i skinął głową. - Dziękuję, że zapytałeś. Tak się akurat składa, że druga wojna światowa to moje hobby. Chodzi mi o drugą wojnę światową tu, na Islandii. Pisałem na ten temat pracę magisterską w London School of Economics. Kiedy zadzwoniłeś z pytaniem o te baraki, pomyślałem, że będę ci mógł pomóc.

- Świetnie mówisz po islandzku.

- Dziękuję. Moja żona jest Islandką.

- I co z tymi barakami? - spytał Erlendur. Chciał jak najszybciej przejść do sprawy.

- No więc nie miałem zbyt wiele czasu, ale znalazłem u nas w ambasadzie raporty na temat baraków, które wznosiliśmy podczas wojny. Być może będę musiał poprosić ministerstwo o dodatkowe informacje. Ocenisz



to sam. Kilka baraków stało w miejscu, gdzie dziś znajduje się pole golfowe w Grafarholt. Jim wziął kilka kartek ze stolika i zaczął je przeglądać.

- Było tam też... jak wy to nazywacie, schron? Czy gniazdo armatnie? Wieża. Ogromna haubica. Oddział 16. Pułku Armii Brytyjskiej obsadził schron, ale jeszcze nie wiem, kto zamieszkiwał w barakach. Chyba znajdowała się tam intendentura. Nie wiem, z jakiego powodu ulokowano ją na tym wzgórzu, tym bardziej że baraki i schrony znajdowały się w wielu miejscach, przy drodze do Mosfellsdalur, w fiordzie Kollafjord i u szczytu fiordu Hvalfjordur.

- Jak zaznaczyłem w rozmowie telefonicznej, prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięcia w okolicach wzgórza. Wiesz może, czy nie zaginęli tam jacyś żołnierze? Może się dokądś oddalili i nie wrócili?

- Myślisz, że ten znaleziony szkielet to kości brytyjskiego żołnierza? To możliwe?

- Może to i nie jest najbardziej prawdopodobne, ale sądzimy, że człowiek, którego zwłoki znaleźliśmy, mógł zostać zakopany w czasie wojny, a skoro Brytyjczycy stacjonowali w tej okolicy, to chcemy móc ich przy najmniej wykluczyć.

- Zbadam sprawę, ale nie wiem, jak długo przechowuje się takie dane. Po nas, o ile się nie mylę, bazę przejęli Amerykanie, jak zresztą wszystko inne, kiedy wycofaliśmy się w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Większość naszych żołnierzy wyjechała, ale nie wszyscy.

- Czyli że Amerykanie przejęli po was bazę?

- Sprawdzę to. Pogadam z Amerykanami z ambasady i zobaczę, co powiedzą. Oszczędzę ci trochę czasu.

- Mielicie tutaj żandarmerię wojskową?

- No właśnie. Może najlepiej zacząć od tego. To zajmie kilka dni. Jeśli nie tygodni.

- Mamy dość czasu - zapewnił go Erlendur i pomyślał ciepło o Skarphedinnie i jego tempie pracy.

Sigurdur Oli nudził się straszliwie, przeglądając piwnicę Beniamina. Elsa otworzyła mu drzwi, zaprowadziła go do piwnicy i zostawiła samego. Przez cztery godziny grzebał w szafkach, szufladach i różnego rodzaju schowkach, nie wiedząc dokładnie, czego szuka. Jego myśli jednak uparcie krążyły wokół Bergthory. Zastanawiało go mianowicie, czy kiedy wróci do domu, ona będzie w tym samym gorącym nastroju, co przez ostatnie tygodnie. Postanowił zapytać ją wprost, czy ma na niego ochotę ot tak, po prostu, czy też może powodem jej požądania jest chęć zajścia w ciążę. Bo w takim przypadku był pewien, że narodzi się innego rodzaju problem, który czasem także poruszali podczas rozmów, nigdy nie dochodząc do żadnych wniosków - czy nie czas najwyższy wziąć ślub z pełną pompą.

To pytanie zadawała mu w przerwach między namiętnymi pocałunkami. Jeszcze nie miał zdania na ten temat, za każdym razem obiecywał się zastanowić. Jego sposób myślenia wyglądał następująco. Ich współżycie ma się dobrze. Miłość kwitnie. Po co to niszczyć ożenkiem? Wszystkie te zabiegi. Wieczór kawalerski. Kościół. Wszyscy ci goście. Nadmuchane kondomy w ślubnej sypialni. Żadnych granic dla obciachu. Bergthora nie chciała nawet słyszeć o jakimś ślubie cywilnym. Chciała mieć fajerwerki i piękne wspomnienia na starość. Sigurdur Oli się zastanawiał. Uważał, że jeszcze za wcześnie myśleć o starości. Ale problem pozostawał nierozwiązany,

a jego rozwiązanie najwyraźniej zależało od niego. On zaś nie miał zielonego pojęcia, czego chce, poza tym, że nie chce ślubu kościelnego i nie chce też urazić Bergthorry.

Przeczytał niektóre listy miłosne Beniamina K, i podobnie jak Erlendur wyczuł w nich szczerą miłość i oddanie kobiecie, która pewnego dnia wyparowała z ulic Reykjavíks a ludzie powiadali, że utopiła się w morzu. Cudzie ty mój. Najukochańsza. Tak bardzo za Tobą tęsknię.

Ech, cała ta miłość, myślał Sigurdur Oli.

Czy ona jest w stanie zabić?

Najwięcej papierów dotyczyło sklepu Knudsen a Sigurdur Oli stracił już całkowicie nadzieję, że znajdzie cokolwiek, co mogłoby się przydać, kiedy wyciągnął ze starej szafy kartkę papieru, na której napisano:

*Thorarinsson Hoskuldur.*

*Przedpłatą za wynajem/Grafarholt.*

*8 kr.*

*Podp. Beniamin Knudsen.*

Erlendur wychodził z ambasady, kiedy odezwała się jego komórka.

- Znalazłem wynajmującego - oznajmił radośnie Sigurdur Oli. - Tak mi się zdaje.

- Co? - Erlendur nie bardzo skojarzył.

- Domku letniskowego. Wracam z piwnicy w domu Beniamina. Tylu gratów naraz w życiu nie widziałem. Znalazłem karteczkę świadczącą o tym, że za wynajem zapłacił niejaki Thorarinsson Hoskuldur.

- Hoskuldur?

- Tak. Thorarinsson.

- A jaka data jest na tym rachunku?

- Nie ma żadnej. Nawet roku. Kartka nosi pieczętkę sklepu Knudsen. A na odwrocie jest pokwitowanie. Z podpisem Beniamina. Poza tym znalazłem też jakieś rachunki, chyba za materiały budowlane. Wszystkie wystawione na sklep i z datami. Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy. Niewykluczone, że jakoś w tym czasie zaczynał budowę domku albo że już jakiś czas trwała.

- A w którym roku miała zniknąć jego narzeczona?

- Czekał, mam to gdzieś zapisane. - Erlendur czekał, podczas gdy Sigurdur Oli przeglądał kieszenie. Zawsze robił notatki z zebrań. Coś, do czego Erlendur nigdy nie potrafił się przyzwyczaić. Słyszał szelest kartek w notesie, po czym w słuchawce znów rozległ się głos Sigurdura Olego.

- Zniknęła w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Wiosną.

- I Beniamin buduje domek do tego czasu, po czym rezygnuje z inwestycji i wynajmuje go.

- A Hoskuldur jest jednym z lokatorów.

- Nie znalazłeś czegoś na temat tego Hoskuldura?

- Nie, jeszcze nie. Ale chyba od niego zacznę, co? - spytał Sigurdur Oli w nadziei, że wolno będzie mu opuścić piwnicę.

- Ja powęszę wokół tego całego Hoskuldura - zdecydował Erlendur, po czym dodał specjalnie, by popsuć humor Sigurdurowi Olemu: - Ty sprawdź, czy nie znajdziesz czegoś na jego temat wśród piwnicznych gratów. Skoro jest jeden taki rachunek, to może ich być więcej.

## 14.

Po wyjściu z ambasady Erlendur długi czas siedział przy łóżku Evy Lind, usilnie zastanawiając się nad tym, co mógłby do niej mówić. Nie miał pojęcia, co jej powiedzieć. Próbował kilka razy, ale mu nie szło. Od czasu, kiedy lekarz wspomniał, że dobrze byłoby, gdyby do niej przemawiał, wielokrotnie rozmyślał nad tematem monologu, ale nic mu nie przyszło do głowy.

Zaczął od pogody, lecz szybko porzucił ten temat. Następnie opisywał Sigurdura Olego i powiedział, że ostatnio wygląda na zmęczonego. Nic jednak więcej o swoim współpracowniku nie miał do powiedzenia. Usiłował znaleźć coś na temat Elinborg, ale i z tego także zrezygnował. Opowiedział córce o narzeczonej Beniamina Knudsen, która miała rzucić się do morza, i o jego listach miłosnych, na które natknął się w piwnicy jego domu.

Powiedział, że przy łóżku widział jej matkę.

Potem milczał.

- O co chodzi z tobą i z mamą? - spytała kiedyś Eva Lind podczas wizyty u niego. - Dlaczego ze sobą nie rozmawiacie? - Przeprowadziła ze sobą brata, ale Sindri Snaer nie zabawiał długo i szybko zostali sami w tonącym

w popołudniowym mroku mieszkaniu. Był grudzień i radio nadawało kolędy, które Erlendur wyłączył. Ale Eva Lind włączyła je z powrotem. Chciała słuchać tej bożonarodzeniowej audycji. Od kilku miesięcy była w ciąży i akurat nie brała. Jak zwykle, kiedy się spotykali, zaczęła mówić o rodzinie, której nie dane jej było mieć. Sindri Snaer nigdy tego tematu nie poruszał, nie wypowiadał się na temat matki ani siostry, ani niczego, czego nigdy nie miał. Kiedy Erlendur go zagadywał, milczał. Był raczej skryty. Nie zależało mu na ojcu. I w tym tkwiła różnica między rodzeństwem. Eva Lind chciała poznać swego ojca i nie wahała się obwiniać go o wszystko.

- Z mamą? - zapytał wtedy Erlendur. Pytania Ewy o przeszłość zawsze wprawiały go w zakłopotanie. Nie miał pojęcia, co jej powiedzieć, kiedy pytała o krótkotrwały związek rodziców, o dzieci, które się urodziły, o powód jego odejścia. Nie znajdował odpowiedzi na wszystkie jej pytania, co niemal zawsze ją denerwowało. Sprawy rodzinne natychmiast wyprowadzały ją z równowagi.

- Nie, chcę słuchać kolęd - powiedziała, a Bing Crosby dalej śpiewał o białych świętach. - Nigdy, ale to nigdy nie słyszałam, żeby dobrze się o tobie wyrażała, ale przecież coś musiało ją w tobie fascynować. Na początku. Kiedy się poznaliście. Co to było?

- A ją o to pytałaś?

- Tak.

- I co powiedziała?

- Nic. Bo musiałyby powiedzieć o tobie coś pozytywnego, tego by nie ścierpiała. Nie dopuszcza myśli, że w tobie może być coś dobrego. Co to było? Dlaczego byliście razem?

- Nie wiem - odparł Erlendur. Rzeczywiście nie wiedział. Usiłował być szczery. - Poznaliśmy się w lokalu. Nie wiem. Nie planowaliśmy tego. To się po prostu stało.

- A tobie o co chodziło?

Erlendur nie odpowiedział. Rozmyślał o dzieciach, którym nigdy nie dane było poznać własnych rodziców. Nie dane było dowiedzieć się, kim tak naprawdę są. O dzieciach, które wkraczały w życie rodziców dopiero w jego drugiej połowie i niczego na ich temat nie wiedziały. Które nigdy nie miały okazji poznać ich w roli ojca czy matki, przywódcy stada i obrońcy. Nigdy nie miały okazji poznać ich tajemnic, zarówno wspólnych, jak i każdego z osobna. To prowadziło do tego, że rodzice byli dla własnych dzieci równie obcy jak wszyscy inni ludzie, których napotykały na drodze swojego życia. Zastanawiał się, jak to się dzieje, że rodzice trzymają dzieci na dystans tak długo, aż z ich wzajemnych kontaktów pozostają jedynie wystudiowane reakcje, grzeczne i pełne udawanej serdeczności, wynikającej raczej z narzuconej konwencji niż z prawdziwej miłości.

- O co ci chodziło? - pytania Ewy Lind otwierały małe rany, które wciąż rozdrapywała.

- Nie wiem - odparł Erlendur, jak zwykle trzymając ją na dystans. Czują to. A może specjalnie tak się zachowywała, by to czuć? Żeby uzyskać kolejne potwierdzenie. Żeby poczuć, jak bardzo jest dla niej obcy i jak jej jeszcze daleko do tego, by go zrozumieć.

- Przecież coś w niej musiałeś widzieć.

Jak mógł jej to wyjaśnić, skoro czasem nie rozumiał sam siebie?

- Poznaliśmy się w lokalu - powtórzył.- Wiedziałem, że taki początek znajomości nie zapowiada świetlanej przyszłości.

- A potem po prostu odszedłeś.

- Nie odszedłem po prostu - bronił się Erlendur. - To nie było tak. Odszedłem w końcu. I tak to się skończyło. Nie zrobiliśmy tego... Nie wiem. Może i nie ma właściwego sposobu rozstania. A jeśli istnieje, to myśmy go nie znaleźli.

- Tylko że to się nie skończyło - powiedziała Eva Lind.

- Nie - odparł Erlendur. Słuchał śpiewu Crosby'ego. Patrzył, jak za oknem wielkie płaty śniegu leniwie spadają na ziemię. Spojrzał na córkę. Na kółka w brwiach. Na małą metalową kulkę w nosie. Na wojskowe buty, oparte o stół. Na brud pod paznokciami. Na coraz okrągłęjszy brzuch, napinający czarny T-shirt. - To się nigdy nie skończyło - przyznał.

Thorarinsson Hoskuldur mieszkał w małym mieszkanku w suterenie okazałego domu swojej córki w dzielnicy Arbae. Ze sposobu, w jaki się wysławiał, można było wywnioskować, że jest zadowolony ze swojego losu. Był drobnym, siwym staruszkim z przysypaną srebrem bródką. Poruszał się żwawo. Ubrany był w kraciatą flanelową koszulę i beżowe sztruksy. Odnalazła go Elinborg. W spisie obywateli nie było znów tak wielu Hoskuldurów w wieku emerytalnym. Obdzwoniła większość z nich, bez względu na to, w której części kraju mieszkali, i wreszcie ustaliła, że to Hoskuldur z Arbae wynajmował swego czasu domek nieszczęsnego Beniamina Knudsen. Doskonale to pamiętał, choć zajmował go niezbyt długo.



Erlendur i Elinborg siedzieli w jego salonie przy kawie. Zdążyli już pogawędzić sobie o tym i owym. Pochodził z Reykjavíku, tu się urodził i wychował, i niech piekło pochłonie konserwatystów, wyciskających życie z emerytów i każdego innego biedaka, który nie potrafi sam o siebie zadbać. Erlendur postanowił zatrzymać słowotok staruszka.

- Dlaczego przeprowadził się pan na wzgórze? Czy to nie za bardzo na wsi jak na rdzennego mieszkańca Reykjavíku?

- O mój Boże - odparł Hoskuldur, nalewając kawę do filiżanek. - Po prostu nie było innej pracy. Nie dla mnie. Zresztą w Reykjavíku w tamtych czasach brakowało mieszkań. W czasie wojny ludzie mieszkali gdzie się dało. Nagle się okazało, że chłop może zarobić prawdziwe pieniądze i nie musi otrzymywać wypłaty w twarogu i bimbrze. Jak nie było innej możliwości, to ludzie spali w namiotach. Czynsze za lokale mieszkalne poszybowały w górę, więc się wyprowadziłem na wzgórze. Co to za kości, które znaleźliście?

- Kiedy przeprowadził się pan na wzgórze? - spytała Elinborg.

- O ile pamiętam, gdzieś około tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego. Albo czwartego. Chyba jesienią. W połowie wojny.

- I jak długo pan tam mieszkał?  
- Przez rok. Do następnej jesieni.  
- Sam?  
- Z żoną. Moją biedną Elly. Odeszła już.  
- Kiedy zmarła?  
- Trzy lata temu. Myśli pani, że pochowałem ją tam na wzgórze? Czy ja na takiego wyglądam, kochana?

- Nie natknęliśmy się na spis lokatorów tego domu - powiedziała Elinborg, ignorując tę zaczepkę. - Więc ani pan, ani nikt inny oficjalnie tam nie mieszkał. Nie był pan tam zameldowany.

- Ja już nie pamiętam, jak to było. Ale nikt się nigdzie nie meldował. Nie mieliśmy mieszkania. Zawsze znajdowali się jacyś, którzy mogli zapłacić więcej niż my. A potem dowiedziałem się o domku Beniamina i pogadałem z nim. Akurat wyprowadzili się poprzedni lokatorzy i ulitował się nade mną.

- Co to byli za lokatorzy? Ci, którzy mieszkali tam przed panem?

- Nie wiem, ale pamiętam, że porządek był wzorowy. - Hoskuldur dopił kawę, ponownie napełnił filiżankę i podniósł do ust. - Wszystko było czyste i schludne - dodał.

- Co było czyste i schludne?

- Pamiętam, że Elly bardzo to podkreślała w rozmowach. Tak jej się to podobało. Wszystko było wyszorowane i wypolerowane i ani śladu kurzu. Zupełnie jak w jakimś hotelu. Nie, żebyśmy byli brudasami. Wręcz przeciwnie. Ale ten domek był szczególnie zadbane. Najwyraźniej gospodyni zna się na rzeczy, skomentowała to wtedy moja Elly.

- A więc nie zauważył pan żadnych śladów walki czy czegoś podobnego? - spytał milcząco do tej pory Erlendur. - Jak choćby plamy krwi na ścianach?

Elinborg spojrzała na niego zdziwiona. Kpi sobie ze staruszka?

- Krew? Na ścianach? Nie, żadnej krwi.

- I wszystko w najlepszym porządku?

- Wszystko w najlepszym porządku. Naprawdę.

- Czy kiedy pan tam mieszkał, rosły koło domu jakieś krzewy?

- Tak, kilka krzaków porzeczek. Pamiętam to, bo tamtej jesieni pięknie owocowały i zrobiliśmy z owoców dżem.

- A więc to nie pan je tam posadził? Ani Elly, pańska żona?

- Nie, my ich nie sadziliśmy. Rosły już, kiedy się wprowadzaliśmy.

- I nie wie pan, czyje to kości znaleźliśmy? - spytał Erlendur.

- To dlatego tutaj jesteście? Żeby sprawdzić, czy zabiłem człowieka?

- Sądzymy, że ciało zostało zakopane w ziemi podczas wojny lub niedługo po niej - wyjaśnił Erlendur. - A pan wcale nie jest podejrzewany. Rozmawiał pan może kiedyś z Beniaminem o ludziach, którzy mieszkali tam przed wami?

- Rzeczywiście - odparł Hoskuldur. - Raz płacąc czynsz, powiedziałem mu, jak doskonały zastaliśmy porządek w domu, i pochwalilem naszych poprzedników. Ale jego to zupełnie nie zainteresowało. Bardzo skryty z niego był człowiek. Stracił żonę. Utopiła się w morzu, jak słyszałem.

- Narzeczoną. Nie byli małżeństwem. Pamięta pan może żołnierzy brytyjskich na wzgórzu? - spytał Erlendur. - Albo raczej amerykańskich, bo to było w późniejszej fazie wojny.

- Tam się aż roilo od brytoli, po tym jak się tu pojawili w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Po drugiej stronie wzgórza postawili baraki i ustawili armatę, żeby obronić Reykjavik przed ewentualnym atakiem niemieckim. Zawsze uważałem to za żart, ale Elly powiedziała,

żebym sobie z tego nie kpił. Potem Brytyjczycy wyjechali i na wzgórzu pojawili się Amerykanie. I to oni tam stacjonowali, kiedyśmy się sprowadzili. Brytyjczyków już dawno nie było.

- Poznał pan tam kogoś?

- Właściwie nie. Byli jacyś tacy nietowarzysey. Ale nie bił od nich taki smród jak od Brytyjczyków, powiadała moja Elly. Byli jacyś czystszi, bardziej ludzcy. Przystojniejsi. Wszystko u nich było okazalsze. Jak na filmach. Clark Gable. Albo Cary Grant.

Grant był Brytyjczykiem, pomyślał Erlendur, ale nie chciało mu się poprawiać przemądrzalca. Zauważył, że Elinborg też nie miała ochoty wdawać się w dyskusję na ten temat.

- Pobudowali też lepsze baraki - kontynuował Hoskuldur niewzruszenie. - O wiele lepsze od brytyjskich. Jankesi betonowali podłogi, a nie wykładali ich zbutwiałym drewnem, jak brytole. To były o wiele lepsze kwatery. Wszystko, czego się dotknęli Amerykanie, było takie. Wszystko o wiele lepsze i schludniejsze.

- Wie pan, kto zamieszkał w domku, kiedy wprowadziliście się z Elly? - spytał Erlendur.

- Tak, myśmy ich tam przywitali i pokazali im okolicę. Robotnik rolny z farmy Gufunes z żoną, dwójkiem dzieci i psem. Uroczy ludzie, ale choćbyście mi wykręcali ręce, nie przypomnę sobie, jak się nazywali.

- A wie pan może coś na temat ludzi, którzy mieszkali tam przed wami i zostawili domek w tak idealnym porządku?

- Nic poza tym, co powiedział mi Beniamin, kiedy mu opowiadałem, jak świetnie opiekowali się domem, i powiedziałem, że my z Elly nie mamy zamiaru im pod tym względem ustępować.

Erlendur nastawił uszu, a Elinborg wyprostowała się w fotelu. Hoskuldur milczał.

- Tak? - przerwał milczenie Erlendur.

- Co powiedział? To było o tej kobiecie. - Hoskuldur znów zamilkł i napił się kawy. Erlendur czekał niecierpliwie, aż staruszek podejmie swoją opowieść. Jego podniecenie nie uszło uwadze Hoskuldura. Wiedział, że trzyma policjanta w napięciu. Zupełnie jakby wymachiwał mu przed nosem ciastkiem i czekał, aż ten zacznie merdać ogonem.

- Powiem panu, że to było bardzo znaczące - zaczęła. Policjanci nie wyjdą stąd z pustymi rękami. Nie od niego. Znów popił kawy, ceremonialnie tę czynność przeciągając.

O mój Boże, pomyślała Elinborg. Czy ten staruch wreszcie wykrztusi to z siebie? Miała już dość starych pierdzieli, którzy albo umierali w czasie rozmowy z nią, albo smakowali własną starość i samotność.

- On myślał, że jej stary ją pierze.

- Pierze ją? - powtórzył Erlendur.

- No, jak to się dzisiaj nazywa? Przemoc w rodzinie?

- Bił swoją żonę? - spytał Erlendur.

- Beniamin tak mówił. Jeden z tych niegodziwców, co to biją żonę i dzieci. Ja tam nigdy nie podniosłem ręki na moją Elly.

- A mówił może, jak się ci ludzie nazywali?

- Nie, a jeśli nawet powiedział, to już dawno zapomniałem. Ale powiedział mi co innego, o czym często później rozmyślałem. Powiedział, że ona, żona tego tam faceta, została poczęta w starym zbiorniku gazowym przy ulicy Raudarastigur. Zaraz za placem Hlemmur. A w każdym razie ludzie tak gadali. Zupełnie tak, jak mówili, że to Beniamin zabił swoją żonę. Znaczy się narzeczoną.

- Benjamin? Zbiornik gazowy? O czym pan mówi? - Erlendur nie miał pojęcia, o czym była mowa. - Ludzie twierdzili, że Benjamin zabił swoją narzeczoną?

- Niektórzy tak myśleli. W owym czasie. Sam mi to powiedział.

- Że ją zabił?

- Że ludzie myśleli, że zrobił jej krzywdę. Nie, że ją zabił. Tego by mi przecież nigdy nie powiedział. W końcu ja go w ogóle nie znałem. Ale był pewien, że ludzie go podejrzewali, i pamiętam, że była mowa o zazdrości.

- Plotki?

- Wszystko razem to oczywiście plotki. Przecież to nimi się karmimy. Złe słowa o bliźnich to dla nas przyzwyczajenie.

- Chwileczkę, a o co chodziło z tym zbiornikiem gazowym?

- To największa plotka ze wszystkich. Nie słyszeliście o tym? Ludzie myśleli, że zbliża się koniec świata, i całą noc w zbiorniku gazowym trwała orgia. Podobno wówczas poczęto kilkoro dzieci i ta kobieta była jednym z nich. Tak uważał Benjamin. Nazywano je dziećmi końca świata.

Erlendur spojrział na Elinborg, a potem znów na Hoskuldura.

- Jaja pan sobie ze mnie robi? - spytał.

Hoskuldur pokręcił głową.

- To z powodu tej całej komety. Ludzie spodziewali się, że uderzy w ziemię.

- Jakiej komety?

- Jak to, Halleya! - Hoskuldur prawie krzyknął, oburzony ignorancją Erlendura. - Komety Halleya! Ludzie myśleli, że uderzy w Ziemię i nasza planeta zostanie zniszczona!

## 15.

Elinborg skontaktowała się wcześniej z siostrą narzeczonej Beniamina, więc kiedy wyszli od Hoskuldura, powiedziała Erlendurowi, że chce z nią porozmawiać. On skinął głową. Oznajmił, że ma zamiar udać się do Biblioteki Narodowej, by odnaleźć jakieś artykuły prasowe na temat komety Halleya. Hoskuldur w sumie niewiele wiedział o tym wydarzeniu. Znał jedynie nagłówki, ale jak na przemądrzalca przystało, sprawiał wrażenie, że wie o wiele więcej, i gadał na okrągło, dopóki Erlendur nie stracił cierpliwości i nie pożegnał go, dość zresztą oschle.

- Co sądzisz o tym, co mówił Hoskuldur? - spytał, kiedy już znaleźli się w samochodzie.

- To z tym zbiornikiem gazowym to jakaś piramidalna bzdura - skomentowała Elinborg. - Ciekawe, co na ten temat znajdziesz. Ale to, co mówił o plotkach, to absolutna racja. Czerpiemy jakąś dziwną radość z tego, że możemy obgadywać bliźnich. Plotki to nie dowód, że Benjamin ją zamordował, i doskonale o tym wiesz.

- Tak, ale jak to się mówi? Nie ma dymu bez ognia.

- Gadanie - mruknęła Elinborg. - Spytam o to tę siostrę. A powiedz mi, jak się czuje Eva Lind?

- Leży w łóżku i wygląda, jakby smacznie spała. Lekarz mówi, że muszę do niej mówić.
- Mówić?
- Uważa, że ona słyszy mój głos, mimo że jest w śpiączce. I że to na nią dobrze wpływa.
- I o czym do niej mówisz?
- Jeszcze o niczym - odparł Erlendur. - Nie wiem, co miałbym powiedzieć.

Siostra słyszała plotki, ale oświadczyła, że nie ma w nich ani krzty prawdy. Miała na imię Bara i była znacznie młodsza od narzeczonej Beniamina. Mieszkała w dużym domu jednorodzinnym w Grafarvogur, od zawsze poślubiona temu samemu szanowanemu hurtownikowi. Byli bardzo dobrze sytuowani, o czym świadczył okazały dom, bogata biżuteria, którą Bara z lubością nosiła, i jej rezerwa wobec nieznanym, takich jak choćby policjantka siedząca właśnie w jej salonie. Elinborg, która z grubsza określiła wcześniej przez telefon cel swojej wizyty, pomyślała, że ta kobieta nigdy w życiu nie musiała się martwić o pieniądze, zawsze stać ją było na wszystko, czego tylko zapragnęła, i nie musiała się zadawać z innymi ludźmi niż jej podobni. Pewnie już dawno przestała odczuwać sympatię do innych ludzi. Policjantka pomyślała, że podobne życie czekało również jej siostrę, zanim zniknęła.

- Siostra była po uszy zakochana w Beniaminie, a ja, prawdę mówiąc, nigdy tego nie rozumiałam. Dla mnie był wręcz straszliwym prostakiem. Nie powiem, z bardzo dobrej rodziny. Knudsenowie to najstarszy ród reykjavicki. Ale on sam nie był pociągający.

Elinborg uśmiechnęła się. Nie wiedziała, co kobieta ma na myśli. Bara to zauważyła.



- Marzyciel. Rzadko schodził na ziemię. I te jego mrzonki dotyczące działalności handlowej, które notabene wszystkie się spełniły, i to dawno temu, choć to nie on je wprowadzał w życie. A na domiar złego spoufalął się z prostakami. Służba nie musiała mu mówić per pan. Teraz w ogóle nikt prawie nie mówi per pan. Żadnej grzeczności. I żadnej służby.

Bara strzepnęła urojony pyłek ze stolika. Elinborg zauważyła na szczytowej ścianie salonu dwa duże portrety przedstawiające małżonków. Mężczyzna wyglądał raczej na przybitego i zmęczonego, może nawet rozkojarzonego. Za to na ostrej twarzy Bary gościł tajemniczy uśmiezek i Elinborg nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, że to właśnie ona rządzi w tym związku. Współczuła mężczyźnie z portretu.

- Ale jeśli uważa pani, że to on zabił moją siostrę, to jest pani w błędzie - powiedziała Bara. - Ten szkielet koło domków letniskowych, o którym pani wspominała, nie należy do niej.

- Skąd ta pewność?

- Po prostu wiem. Beniamin nawet muchy by nie skrzywdził. Taki już był. Straszny tchórz. Marzyciel, jak już mówiłam. Widać to było zwłaszcza po jej zniknięciu. Zupełnie się stoczył. Przestał dbać o sklep. Przestał bywać. W ogóle przestał. Nigdy nie odzyskał równowagi ducha. Mama oddała mu wszystkie listy, które przysłał mojej siostrze. Niektóre przeczytała, mówiła, że były piękne.

- Była pani blisko z siostrą?

- Nie, tego bym nie powiedziała. Nie. Byłam o wiele młodsza. Jak ją teraz wspominam, to zawsze wydawała mi się taka dorosła. Nasza matka wciąż

powtarzała, że ona przypomina ojca. Egocentryczna, z trudnym charakterem. Melancholiczka. On też to zrobił. Ostatnie zdanie jakby wysnęło się Barze.

- Też to zrobił? - zainteresowała się Elinborg.

- Tak - powiedziała Bara ze smutkiem. - Też to zrobił. Popęłnił samobójstwo. - Powiedziała to, jakby sprawa jej nie dotyczyła. - Ale nie zniknął tak jak ona. Wręcz przeciwnie. Powiesił się w jadalni. Na haku od żyrandola. Na oczach wszystkich. I na tym polegała cała jego troska o rodzinę.

- Musiało wam być trudno - bąknęła Elinborg, żeby cokolwiek powiedzieć. Siedziała naprzeciwko gospodyni, która patrzyła na nią oskarżycielskim wzrokiem, jakby to ją obwinięła o to, że musi sobie teraz to wszystko przypominać.

- Najtrudniej było jej. Mojej siostrze. Byli sobie bardzo bliscy. Coś takiego zostawia ślad w ludziach. Biedna dziewczyna.

Przez ułamek sekundy dało się wyczuć w jej głosie współczucie.

- To było...?

- To było kilka lat przed jej zniknięciem - prze-rwała Bara i Elinborg nagle odniosła wrażenie, że ta kobieta coś ukrywa. Że cała ta opowieść została wyćwi-czona. Pozbawiona wszelkich uczuć. Ale może taka po prostu była. Bezczelna, pozbawiona uczuć i nudna.

- Trzeba przyznać, że Beniamin był dla niej dobry - ciągnęła Bara. - Pisał do niej listy miłosne i tak dalej. W tamtych latach narzeczeni chadzali na długie spacery po Reykjavíku. Jak to zakochani. Spotykali się w hotelu Borg, który podówczas był najważniejszym miejscem w mieście, odwiedzali się wzajemnie, chodzili na spacer

i wycieczki. I tak to się rozwijało, jak zwykle i wszędzie wśród młodzieży. Poprosił ją o rękę i kiedy zniknęła, do dnia ślubu zostało chyba nie więcej niż dwa tygodnie.

- Zdaje się, że ludzie mówili, że utopiła się w morzu - zaczęła Elinborg.

- Tak, ludzie sporo o tym gadali. Szukano jej w całym Reykjavíku. Sporo osób brało udział w poszukiwaniach, ale nie znaleziono po niej ani śladu. Matka mnie o tym informowała. Siostra wyszła z domu rankiem. Miała zamiar zrobić zakupy i odwiedziła kilka sklepów. Wtedy nie było ich tyle, co dziś, ale nic nie kupiła. Spotkała się z Beniaminem u niego w sklepie, wyszła i więcej jej nie widziano. Powiedział policji i nam, że się posprzeczałi. Dlatego obwiniał się o to, co się stało, i dlatego tak go to bolało.

- Dlaczego w morzu?

- Jacyś ludzie mówili, że widzieli kobietę idącą na plażę, tam gdzie dziś kończy się ulica Tryggvagata. Miała na sobie płaszcz, podobny do płaszcza mojej siostry. Była podobnego wzrostu. I to wszystko.

- A o co się pokłócili?

- O jakiś drobiazg. Coś związanego ze ślubem. Z przygotowaniami. W każdym razie tak mówił Beniamin.

- Ale pani uważa, że to było co innego?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo.

- I według pani to wykluczone, by te kości na wzgórzu były jej szczątkami?

- Wykluczone. Właśnie. Ale nie mam niczego na poparcie tych słów. Niczego nie mogę udowodnić. Tyle że uważam, że to jakiś kompletny absurd. Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- A wiadomo coś pani na temat ludzi, którzy wynajmowali od Beniamina domek w Grafarholt? Ludzi,

którzy może mieszkali tam nawet podczas wojny? Mogła to być pięcioosobowa rodzina, małżeństwo z trojgiem dzieci. Kojarzy pani coś?

- Nie, ale wiem, że przez całą wojnę mieszkali w jego domku lokatorzy. Z powodu braku mieszkań.

- Ma pani coś, co należało do siostry? Kosmyk włosów? Może zamknięty w jakimś medalionie?

- Nie, ale Benjamin miał kosmyk jej włosów. Widziałam, jak go obcinała. Poprosił ją o jakąś pamiątkę, kiedy wyjeżdżała latem na dwa tygodnie na północ do Fljot, w odwiedziny do naszych krewnych.

Elinborg wsiadła do samochodu i zadzwoniła do Sigurdura Olego. Właśnie opuszczał piwnicę w domu Beniamina po długim, nudnym dniu. Kazała mu poszukać kosmyka włosów narzeczonej byłego właściciela piwnicy. Może być w ozdobnym medalionie, powiedziała. Słyszała, jak Sigurdur Oli jęknął.

- Żadnych takich - powiedziała Elinborg. - Jeśli znajdziemy kosmyk, możemy wyjaśnić tę sprawę. To proste.

Rozłączyła się i już miała zamiar odjechać, kiedy przyszło jej coś do głowy. Wyłączyła silnik. Przez chwilę się zastanawiała, przygryzając górną wargę. Potem podjęła decyzję.

Bara była zdziwiona, kiedy otworzyła jej drzwi.

- Zapomniała pani czegoś? - spytała.

- Nie, tylko jeszcze jedno pytanie - odezwała się zakłopotana Elinborg. - I już mnie nie ma.

- Tak, o co chodzi? - spytała z irytacją Bara.

- Mówiła pani, że w dniu, w którym zniknęła, pani siostra miała na sobie płaszcz.

- Tak. I co z tego?

- Jaki to był płaszcz?
- Jaki? Zwyczajny płaszcz, który dostała od matki.
- Chodzi mi o to - powiedziała Elinborg - jakiego był koloru? Wie pani?
- Płaszcz?
- Tak.
- A skąd to pytanie?
- Po prostu ciekawość - zbyła ją Elinborg, której nie chciało się tłumaczyć.
- Zupełnie go nie pamiętam - odparła Bara.
- Nie, jasne - rzekła Elinborg. - Rozumiem. Dziękuję i przepraszam za najście.
- Ale moja matka mówiła mi, że był zielony.

Tyle rzeczy zmieniło się w tych dziwnych czasach.

Tomas przestał się moczyć w nocy. Już nie drażnił swojego ojca i z jakiegoś powodu, tajemniczego dla Simona, Grimur zaczął okazywać jego młodszemu bratu więcej zainteresowania. Simon sądził, że może Grimur zmienił się po przybyciu żołnierzy. A może to Tomasz się zmienił?

Matka nigdy nie podejmowała tematu gazowni, którą Grimur tak bardzo ją denerwował, tak że wkrótce mu się to znudziło. Mały kundel, mawiał i przezywał ją „Gazówką”, opowiadał coś o wielkim zbiorniku, gdzie odbywała się jakaś orgia, kiedy Ziemi groziła zagłada, bo miała w nią uderzyć kometa. Simon niewiele z tego rozumiał, ale widział, że matka bardzo brała to sobie do serca. Wiedział, że słowa Grimura boją ją tak samo jak jego ciosy.

Pewnego razu, kiedy Grimur zabrał go do miasta, przeszli koło gazowni. Grimur wskazał największy zbiornik, zaśmiał się i powiedział, że to tu poczęta została matka Simona. I jeszcze głośniej się roześmiał. Gazownia

była jednym z największych budynków w Reykjavíku i przerażała Simona. Raz postanowił zapytać matkę o ten wielki zbiornik, bo ogromnie był go ciekaw.

- Nie słuchaj tych bzdur, które on wygaduje - powiedziała. - Powinieneś go już znać. Nie ma co zważać na jego słowa. Nie ma co go słuchać.

- Ale co się wydarzyło w gazowni?

- Nic, o czym bym wiedziała. To jakieś jego pomysły. Nie mam pojęcia, od kogo to wszystko usłyszał.

- A gdzie są twoja mama i tata?

Milczała. Patrzyła na syna. Przez całe swoje życie szukała odpowiedzi na to pytanie, a teraz jej syn zadał je tak po prostu, zupełnie niewinnie, i nie wiedziała, co mu powiedzieć. Nie potrafiła powiedzieć, kim byli jej rodzice. Nigdy się nie dowiedziała. Kiedy była młodsza, usiłowała pytać, ale nikt jej niczego nie powiedział. Pierwsze wspomnienia, jakie miała, były z domu rodziny zastępczej w Reykjavíku; kiedy nieco podrosła, usłyszała, że nie jest niczyją siostrą ani córką, lecz że to miasto płaci za jej utrzymanie. Bardzo długo zastanawiała się nad tymi słowami, ale dopiero później odkryła ich znaczenie. Pewnego dnia została przeniesiona z tego domu do starszego małżeństwa jako pomoc domowa, a kiedy dorosła, zaczęła pracować u kupca. I takie było całe jej życie, zanim poznała Grimura. Zawsze żałowała, że nie dane jej było zaznać rodzicielskiej miłości i wsparcia czy cieszyć się życiem rodzinnym w otoczeniu wujków, cioć, babć i rodzeństwa. W okresie dojrzewania bezustannie zastanawiała się nad tym, kim jest i kim mogą być jej rodzice. Ale nie wiedziała, gdzie szukać odpowiedzi.

Wyobrażała sobie, że zginęli w wypadku. Stanowiło to dla niej pociechę, bo nie potrafiła wyobrazić sobie, by

ją porzucili. Swoje dziecko. Wyobrażała sobie więc, że najpierw uratowali jej życie, a potem umarli. A nawet że poświęcili dla niej własne życie. Zawsze przedstawiała ich sobie w takim właśnie świetle. Jako bohaterów walczących o jej i własne życie. Nie umiała sobie wyobrazić, że jej rodzice wciąż żyją. To było nie do pomyślenia.

Kiedy poznała rybaka, ojca Mikkeliney, namówiła go, by razem spróbowali poszukać odpowiedzi na to pytanie. Chodzili do urzędów, ale nigdzie niczego na jej temat nie znaleźli poza tym, że jest sierotą; kiedy wpisano ją do rejestru urodzeń, nie wspomniano o rodzicach. Samego aktu urodzenia nie odnaleziono. Poszła razem ze swoim rybakiem do rodziny zastępczej, gdzie rozmawiali z kobietą, która była jej macochą. Ta jednak nie udzieliła im żadnych informacji. Płacili za ciebie, powiedziała. A nam się nie przelewało. Nigdy nie pytała o jej pochodzenie.

Już dawno przestała się zastanawiać nad swoim pochodzeniem, kiedy tamtego dnia Grimur wrócił do domu i powiedział, że znalazł odpowiedź na pytanie o rodziców: kim byli i gdzie ją poczęli. Kiedy opowiadał o orgii w zbiorniku gazu, widziała pełen pogardy uśmiech na jego twarzy.

Teraz patrzyła na Simona i wszystkie te myśli z przeszłości krążyły jej po głowie. Chciała powiedzieć coś ważnego, ale nie potrafiła. Poprosiła go tylko, by nie zadawał jej więcej takich pytań.

Na świecie szalała wojna. Dotarła już nawet do nich na wzgórze. Po jego drugiej stronie brytyjscy żołnierze zaczęli wznosić budynki kształtem przypominające bochenki chleba i nazywane barakami. W nich miało się mieścić coś o dziwnej nazwie „intendentura”.

Simon biegał czasem po wzgórzu z Tomaszem i razem podglądali żołnierzy. Przywieźli drewno na wzgórze

i wielkie krokwie dachowe, blachę falistą i siatkę ogrodzeniową, bele drutu kolczastego, worki cementu, betoniarkę, spychacz, żeby wyrównać teren pod baraki. Wzniesli betonowy bunkier skierowany na zachód, ponad Grafarvogur. Któregoś dnia bracia zobaczyli, jak Brytyjczycy przewożą tam wielką armatę. Lufa sterczała na wiele metrów w górę. Umieszczono ją w bunkrze. Ogromna lufa wystawała ze szczeliny, gotowa zniszczyć wroga - Niemców, którzy rozpoczęli tę wojnę i zabijali wszystkich, również takich chłopców, jak Simon i Tomas.

Wokół zbudowanych w okamgnieniu ośmiu baraków żołnierze postawili płot, zamontowali bramę i tablicę z informacją po islandzku, że wszystkim nieupoważnionym zabrania się wstępu. Przy bramie znajdowała niewielka budka, w której całymi dniami tkwił żołnierz z karabinem. Wojskowi nie interesowali się chłopcami. Zresztą oni sami się pilnowali, żeby zachowywać bezpieczną odległość. Przy ładnej pogodzie, kiedy świeciło słońce, Simon i Tomas zanosili swoją siostrę na wzgórze i kładli na mchu, by mogła śledzić prace budowlane żołnierzy, i pokazywali armatę wystającą z bunkra. Mikkelina leżała i obserwowała wszystko w milczeniu, cicha i zamyślona. Simon miał wrażenie, że dziewczynka boi się tego, co widzi. Żołnierzy i wielkiej armaty.

Żołnierze nosili mundury w kolorze mchu, skórzane pasy, a na nogach mieli solidne czarne sznurowane buty do pół łydki. Niektórzy mieli hełmy i karabiny lub pistolety w kaburach przy pasie. Kiedy było gorąco, zdejmowali wojskowe kurtki i koszule i pracowali z obnażonymi torsami w słońcu. Niekiedy na wzgórzu odbywały się ćwiczenia: żołnierze czołgali się, biegali, padali na ziemię i strzelali ze swojej broni. Wieczorami z bazy dochodziły



zgiełk i muzyka. Czasem źródłem muzyki był jakiś piszący sprzęt, z którego słychać było metaliczny głos wokalisty, a czasem żołnierze sami śpiewali po nocach pieśni ze swojej ojczyzny. Simon wiedział, że ta nazywa się Wielka Brytania, a Grimur powiedział, że to imperium.

Wszystko, co się działo po tamtej stronie wzgórza, opisywali matce, lecz ona niezbyt się tym zainteresowała. Raz jednak udało im się namówić ją na wspólną wyprawę na wzgórze. Długo wpatrywała się w brytyjską bazę, po czym gdy wróciła do domu, mówiła o niebezpieczeństwach i zagrożeniach i zakazała chłopcom kręcić się wokół żołnierzy. Nigdy nie wiadomo, co się może stać, kiedy ludzie noszą broń. A nie chciała, żeby im się coś przydarzyło.

Czas mijał i nagle Brytyjczycy zniknęli, a w intendenturze pojawili się Amerykanie. Grimur twierdził, że wszyscy zostali wysłani na śmierć, a jankesom dobrze będzie w Islandii i nie będą musieli się o nic martwić.

Grimur rzucił pracę przy węglu i zaczął pracować u jankesów na wzgórzu. Tu były pieniądze i dużo pracy. Po prostu któregoś dnia wyprawił się na drugą stronę wzgórza i spytał w bazie o pracę. Bez problemów otrzymał robotę w magazynie i niedużej kantine. Wtedy też dość znacząco zmieniły się zwyczaje kulinarne u nich w domu. Grimur kluczem otworzył czerwoną puszkę. Zdjął blachę z góry i przewrócił puszkę do góry dnem, aż wysunął się z niej różowy kawałek mięsa, otoczony przezroczystą galaretką, która się trzęsła i miała cudownie słony smak.

- Szynka - zakomunikował Grimur. - Z samych Stanów Zjednoczonych.

Simon nigdy w życiu nie jadł nic równie smacznego.

Zrazu nie zastanawiał się nad tym, w jaki sposób ten przysmak trafił na ich stół, ale kiedy pewnego razu

Grimur przytaszczył do domu całą skrzynkę takich puszek i ukrył, zauważył troskę w oczach matki. Czasem Grimur wkładał kilka takich puszek i inne towary, których Simon nie potrafił nazwać, do worka i zanosił do Reykjavíku. A po powrocie liczył przy kuchennym stole korony i aury. Simon zauważał w nim jakąś radość, jakiej wcześniej nigdy nie dostrzegał. Grimur mniej dukał matce. Przestał wspominać o gazowni. Gładził Tomasa po głowie.

Towary strumieniem spływały do domu. Amerykańskie papierosy i smaczna żywność w puszkach, niekiedy owoce, a nawet nylonowe pończochy. Matka mówiła, że każda kobieta w Reykjavíku pragnie mieć takie.

Ale wszystkie te dobra na krótko tylko zatrzymywały się u nich w domu. Raz Grimur przyniósł do domu paczuszkę z najpiękniejszym zapachem, jaki Simon kiedykolwiek wąchał. Otworzył pudełeczko z dziwnymi listkami i pozwolił wszystkim spróbować. Powiedział, że Amerykanie bez przerwy je żują, jak krowy. Nie wolno było ich połykać, a po jakimś czasie należało je wypluć i zastąpić nowym listkiem. Simon i Tomasz, a nawet Mikkelina, która też dostała różowy, pachnący listek, żuli bez opamiętania, wypluwali i wkładali do ust następny.

- To się nazywa guma - oświecił ich Grimur.

Grimur szybko nauczył się porozumiewać po angielsku i zaprzyjaźnił się z żołnierzami. Czasem, kiedy wojskowi wychodzili na przepustkę, zapraszał ich do domu i wtedy Mikkelina musiała się ukrywać w schowku, a chłopcy uczesać. Matka zaś wkładała jedyną sukienkę, jaką miała, by jak najlepiej się pokazać. Następnie zjawiali się żołnierze i witali ze wszystkimi uściskiem dłoni, przedstawiali się i częstowali chłopców słodyczami.

Potem siadali i popijali. Następnie zegnali się i odjeżdżali dżipem do miasta, a w domu, którego poza tymi okazjami nikt nie odwiedzał, znów nastawał spokój.

Najczęściej jednak wojskowi jechali prosto do Reykjavíku i wracali nocą rozochoceni, śpiewając. Wtedy na wzgórzu rozlegały się okrzyki i nawoływania, a raz czy dwa nawet jakby strzały z pistoletów. Nie z wielkiej armaty jednak, bo gdyby z niej oddano strzał, do Reykjavíku zjechałoby cholerni naziści i zabili nas wszystkich w mgnieniu oka, powiedział Grimur. Często zabierał się z wojskowymi do miasta i tam z nimi hulał, a potem wracał do domu na wzgórze, nucąc amerykańskie szlagiery. Simon po raz pierwszy tego lata usłyszał Grimura śpiewającego.

Raz też był świadkiem dość dziwnego zdarzenia.

Tego dnia jeden z amerykańskich żołnierzy poszedł na wzgórze z wędką i zatrzymał się nad jeziorkiem Reynisvatn. Zarzucił wędkę na pstrąga. Potem zrezygnował, zszedł ze wzgórza i pogwizdując całą drogę, dotarł do jeziora Hafravatn, gdzie spędził większość dnia. Była piękna, letnia pogoda. Żołnierz wolniutko spacerował brzegiem i od czasu do czasu zarzucał wędkę. Nieszczerze mówiąc, zależało mu chyba, by cokolwiek złowić. Wolał raczej cieszyć się słońcem nad jeziorem. Siedział, palił papierosy i opalał się.

Około trzeciej po południu najwyraźniej miał już dość, bo zabrał wędkę i torbę, do której włożył trzy pstrągi, i równie wolno, jak w drodze nad jezioro, udał się do koszar. Zamiast jednak przejść obok ich domu, zatrzymał się i powiedział coś niezrozumiałego do Simona, który cały czas obserwował żołnierza, a teraz stał na podwórzcu.

- *Are your parents in?* - zapytał wojskowy, uśmiechając się do Simona. Zajrzał do domu. Drzwi były

otwarte, jak zawsze przy ładnej pogodzie. Tomas pomógł Mikkelinie wyjść za dom na słońce i teraz leżał obok niej. Matka była w środku, zajęta codziennymi domowymi czynnościami. Simon nie zrozumiał żołnierza.

- *You don't understand me?* - spytał żołnierz. - *My name is Dave. I'm an American.*

Simon zrozumiał, że przybysz przedstawił się jako Dave, i skinął głową. Dave wyciągnął w jego kierunku torbę z rybami, po czym położył ją na ziemi, otworzył i wyjął z niej trzy pstrągi, które także położył na ziemi.

- *I want you to have this. You understand? Keep them. They should be great.*

Simon patrzył ogłupiały na Dave'a, ten zaś uśmiechał się do niego, ukazując śnieżnobiałe zęby. Był niski, szczupły, miał kościstą twarz i ciemne, gęste włosy, zaczesane na bok.

- *Your mother, is she in?* - zapytał. - *Or your father?*

Simon nie okazał ani jednym gestem, by cokolwiek zrozumiał. Dave rozpiął kieszeń na piersi i wyjął z niej niedużą, czarną książeczkę. Przez chwilę przewracał kartki, aż w końcu znalazł właściwą stronę. Podszedł do Simona i palcem pokazał zdanie w książce.

- *Can you read?* - spytał.

Simon przeczytał zdanie wskazane przez Dave'a. Było napisane po islandzku i łatwo je zrozumiał, ale po nim było coś w obcym języku. Dave odczytał islandzkie zdanie na głos, bardzo się starając:

- Mam na imię Dave. *My name is Dave* - powtórzył po angielsku. Następnie znów pokazał palcem tak, by Simon przeczytał na głos:

- Mam na imię... Simon - powiedział i uśmiechnął się. Dave uśmiechnął się jeszcze szerzej niż on. Odnalazł następne zdanie w książce i pokazał Simonowi.

- Jak się panienka czuje? - przeczytał Simon.

- *Yes, but not miss, just you* - wyjaśnił Dave ze śmiechem, lecz Simon go nie rozumiał. Dave odnalazł słowo w książce i pokazał je Simonowi.

- Matka - przeczytał chłopak na głos, a Dave wskazał na niego i skinął głową.

- Gdzie jest? - spytał po islandzku. Simon zrozumiał, że przybysz pyta o jego matkę. Pokazał mu, by szedł za nim. Weszli razem do domu, do kuchni, gdzie matka siedziała przy stole i cerowała skarpetki. Widziała, jak wchodzi Simon, ale kiedy zauważyła Dave'a, uśmiech zastąpił na jej twarzy, upuściła skarpetkę i zerwała się na równe nogi tak gwałtownie, że aż przewróciła krzesło. Dave również się przestraszył, zrobił krok do przodu i zaczął gestykulować rękami.

- *Sorry* - powiedział. - *Please, I'm so sorry. I didn't want to scare you. Please.*

Matka podeszła do zlewu, patrząc pod nogi, jakby bała się podnieść wzrok.

- Simon, proszę cię, zabierz go stąd - powiedziała.

- *Please, I will go* - powiedział Dave. - *It's okay. I'm sorry. I'm going. Please, I...*

- Zabierz go stąd, Simonie - powtórzyła matka.

Simon zdezorientowany patrzył to na nią, to na żołnierza. Widział, jak Dave się cofa, znika z kuchni i wychodzi na podwórze.

- Dlaczego mi to zrobiłeś? - spytała matka z wyrzutem. - Przyprowadzasz mi tu jakiegoś chłopca. Co to ma znaczyć?

- Przepraszam - splonił się Simon. - Myślałem, że mogę. On ma na imię Dave.

- Czego chciał?

- Chciał nam dać swoje ryby - odparł Simon. - Złowił je w jeziorze. Myślałem, że mogę. On tylko chciał nam dać ryby.

- Boże, tak się złąkałam. Mój dobry Boże, jak się złąkałam. Nigdy więcej mi tego nie rób. Nigdy! Gdzie Mikkelina i Tomas?

- Za domem.

- Wszystko u nich w porządku?

- Czy w porządku? Tak. Mikkelina chciała na słońce.

- Nigdy więcej mi tego nie rób - powtórzyła i wyszła sprawdzić, co z Mikkeliną. - Słyszałeś? Nigdy więcej!

Poszła za dom, gdzie zobaczyła żołnierza stojącego nad Tomaszem i Mikkeliną. Ze zdumieniem patrzył na jej córkę. Mikkelina popłakiwała i przechylała głowę w stronę słońca, by zobaczyć, kto nad nią stoi. W jasnym blasku słońca nie widziała twarzy żołnierza. Wojskowy spojrział na kobietę, a potem znów na Mikkelinę, widać się na trawie obok Tomasa.

- *I - zaczął Dave i zamilkł. - I didn't know - powiedział. - I'm sorry. Really. I am. This is none of my business. I'm sorry.*

Potem odwrócił się na pięcie i odszedł szybkim krokiem, a oni patrzyli za nim, dopóki nie zniknął po drugiej stronie wzniesienia.

- Wszystko w porządku? - spytała matka, kłękając obok Mikkeliny i Tomasa. Teraz, kiedy żołnierz już się oddalił, była spokojniejsza. Chyba nie chciał zrobić im krzywdy.

Podniosła Mikkelinę, zaniósła do domu i położyła do łóżka w kuchni. Simon i Tomas poszli za nią.

- Dave nie jest zły - bronił żołnierza Simon. - On jest inny.

- Nazywa się Dave - powiedziała matka zamyślna. - Dave - powtórzyła. - To nie to samo co Dawid, jakby był Islandczykiem - powiedziała raczej do siebie niż do dzieci. I potem właśnie stało się to, co Simonowi wydało się takie dziwne.

Uśmiechnęła się.

Tomas zawsze był skryty, samotny i wstydlivy, nieco nerwowy, milczący. Poprzedniej zimy i tego lata Grimur jakby coś w nim zauważył, coś, co zwróciło jego uwagę. U Simona za to najwyraźniej niczego nie dostrzegał. Poklepywał Tomasa, siadywał z nim w swoim pokoju i rozmawiał, a kiedy Simon zagadywał brata, o czym gadają, Tomas nic nie mówił. Ale Simon się nie poddał i w końcu wyciągnął od niego, że rozmawiają o Mikkelinie.

- Co on ci takiego mówił o Mikkelinie? - spytał Simon.

- Nic - odparł Tomas.

- Mów, co? - nalegał Simon.

- Po prostu nic - upierał się Tomas, odwracając zawstydzony wzrok, zupełnie jakby ukrywał coś przed bratem.

- No, powiedz mi.

- Nie chcę. Nie chcę, żeby on ze mną rozmawiał. Nie chcę.

- Nie chcesz, żeby on z tobą rozmawiał? To znaczy, że nie chcesz, żeby mówił to, co mówi? Mówisz poważnie?

- Ja po prostu nic nie chcę - odparł Tomas. - I przestań ze mną rozmawiać.

Tak mijały tygodnie i miesiące. Grimur na różne sposoby okazywał swoje uczucia młodszemu synowi. Simon nigdy nie słyszał ich rozmów, ale pewnego wieczoru pod

koniec lata udało mu się podejrzeć, co robią. Grimur przygotowywał się do jazdy do Reykjavíku z towarem z bazy. Czekał na żołnierza imieniem Mike, który miał mu pomóc. Mike mógł załatwić dżipa. Mieli zamiar wyładować go towarami i sprzedać je w mieście. Matka szykowała posiłek. Jedzenie także pochodziło z bazy. Mikkeli na leżała w swoim łóżku.

Simon zauważył, że Grimur popycha Tomasa w kierunku Mikkeliny i szepce mu coś do ucha, uśmiechając się złośliwie. Matka niczego nie zauważyła, a Simon nie miał pojęcia, co się dzieje, aż do chwili, gdy Tomas podszedł do Mikkeliny, stanął przed nią podjudzany przez Grimura i powiedział:

- Suka.

Odwrócił się do Grimura, a ten zaśmiał się i poklepał syna po głowie.

Simon obejrzał się na matkę stojącą przy zlewie. Musiała to słyszeć, ale się nie ruszyła, nie zareagowała, jakby chciała puścić to wszystko mimo uszu. Udać, że nic się nie stało. Ale zauważył też, że w jednej ręce trzyma nóż, którym obierała kartofle. Ręka mocno zacisnęła się na trzonku, aż zbieleły jej knykcie. W końcu matka odwróciła się wolno od zlewu z nożem w dłoni i spojrzała na Grimura.

- Tego robić nie będziesz - powiedziała drżącym głosem.

Grimur patrzył na nią. Uśmiech zastygł mu na twarzy.

- Ja? - zdziwił się. - Ja nie będę robił? O czym ty mówisz? Przecież ja nic nie robię. To chłopak. To mój Tomas.

Matka zrobiła krok w kierunku Grimura, wciąż trzymając uniesiony nóż.



- Zostaw Tomasa w spokoju.

Grimur wstał.

- Co chcesz zrobić z tym nożem?

- Nie rób mu tego - poprosiła matka.

Simon czuł, że zaczyna się wycofywać. Usłyszał, jak pod dom podjeżdża dżip.

- Przyjechał już! - krzyknął. - Mike przyjechał.

Grimur wyrzał przez kuchenne okno, po czym spojrzął na matkę. Na chwilę napięcie opadło. Matka odłożyła nóż. W drzwiach pojawił się Mike. Grimur się uśmiechał. Kiedy w nocy wrócił do domu, pobił matkę. Rano miała podbite oko i utykała na jedną nogę. Słyszeli ciężkie jęki, kiedy Grimur ją okładał. Tomas wpęził do łóżka Simona i patrzył przerażony w ciemnościach na brata. Mamrotał pod nosem kilka słów, jakby chciał wymazać to, co wcześniej powiedział:

- ...wybacz, nie chciałem, wybacz, wybacz, wybacz...

## 16.

Elsa czekała na Sigurdura Olego w drzwiach i zaprosiła go na herbatę. Patrzył, jak krząta się w kuchni, i rozmyślał o Bergthorze. Rano, zanim wyszedł do pracy, pokłócili się. Uciekł przed jej natarczywą miłością i zażartował, że martwi go jej stan, aż w końcu się rozzłościła.

- Zaraz - powiedziała. - To nigdy się nie pobierzemy? To właśnie chcesz mi powiedzieć? To znaczy, że mamy żyć w jakimś półzwiązku, jakimś konkubinacie, niczego nie formalizując, tak żeby nasze dzieci mogły szczyścić się tym, że są kundlami? Na zawsze?

- Kundlami?

- Tak.

- Ty myślisz o przechadzce po kościele.

- Przechadzce po kościele?

- Chcesz się przespacerować po kościele. Z bukietem i w ślubnej sukni, i...

- A co, nie podoba ci się?

- I jakie dzieci? - zaatakował Sigurdur Oli, lecz natychmiast tego pożałował, bo zauważył, że Bergthora jeszcze bardziej spochmurniała.

- Jakie dzieci? Nie chcesz mieć dzieci?

- Oczywiście, nie, tak, to znaczy jeszcze na ten temat nie rozmawialiśmy - jękał się Sigurdur Oli. - Moim

zdaniem musimy to przedyskutować. Sama nie możesz podejmować decyzji, czy będziemy mieć dzieci, czy nie. To nie jest uczciwe i sobie tego nie życzę. Nie teraz. Nie od razu.

- Dojdzie i do tego - odparła Bergthora. - Mam nadzieję. Oboje mamy po trzydzieści pięć lat. Za kilka lat będzie już za późno. Zawsze kiedy próbuję o tym z tobą porozmawiać, ucinasz temat. Nie chcesz o tym mówić. Nie chcesz dzieci, nie chcesz ślubu, niczego nie chcesz. Niczego. Powoli stajesz się taki sam jak ten kretyn Er-lendur.

- Co? - Sigurdura Olego zatkało. - A co to ma znaczyć?

Ale Bergthora wyszła już z kuchni i pojechała do pracy. Zostawiła go samego z przerażającą wizją przyszłości.

Elsa zauważyła, że siedzący przy kuchennym stole mężczyzna jest zamyślony. Spuścił wzrok i patrzył w filizankę.

- Jeszcze herbatki? - spytała.

- Nie - odparł Sigurdur Oli. - Dziękuję. Kazała mi zapytać panią, to znaczy Elinborg, która pracuje ze mną nad tą sprawą, czy nie wie pani, czy pani wuj miał może kosmyk włosów swojej narzeczonej. Może przechowywał go w jakimś medalionie albo słoiku czy czymś takim.

Elsa zastanowiła się chwilę.

- Nie - zaprzeczyła zdecydowanie. - Nie pamiętam żadnego kosmyka, choć nie przeglądałam zbyt dokładnie rzeczy wuja w piwnicy.

- Elinborg twierdzi, że taki kosmyk powinien istnieć. W każdym razie tak utrzymuje siostra zmarłej. Elinborg rozmawiała z nią wczoraj i ta opowiedziała jej o kosmyku, który Benjamin otrzymał od swojej narzeczonej, kiedy dokądś wyjeżdżała, jak rozumiem.

- Nie pamiętam żadnego kosmyka jej włosów ani w ogóle żadnych kosmyków. Moja rodzina nie jest specjalnie sentymentalna i nigdy nie była.

- A są w piwnicy jakieś jej rzeczy? Tej narzeczonej?

- Po co wam kosmyk jej włosów? - zdziwiła się Elsa, zamiast zapytać wprost. Patrzyła badawczo na Sigurdura Olego, a ten się wahał. Nie wiedział, ile Erlendur jej wyjawił. Ale wybawiła go z kłopotu: - Bo będziecie mogli udowodnić, że to ona leży tam w ziemi. Będziecie mogli przeprowadzić badanie DNA i dowiedzieć się, czy to jej zwłoki tam leżą, i jeśli tak, to pewno uznacie mojego wujka za jej mordercę. O to chodzi?

- Musimy wziąć pod uwagę wszystkie możliwości - tłumaczył się Sigurdur Oli, który za nic nie chciał jej wyprowadzić z równowagi. Dopiero pół godziny temu zdenerwował Bergthorę. Dzień nie zaczynał się zbyt dobrze. O nie.

- Był u mnie ten drugi policjant, ten smutny, i dał mi do zrozumienia, że Beniamin jest winien śmierci swojej narzeczonej. A teraz będziecie mogli to potwierdzić, jeżeli znajdziecie kosmyk jej włosów. Nie rozumiem tego. Jak możecie podejrzewać, że Beniamin zabił tę kobietę? Dlaczego niby miałby to zrobić? Jakie mógł mieć powody? Żadnych. Absolutnie żadnych.

- Nie, oczywiście, że nie - zgodził się z nią Sigurdur Oli tylko po to, by ją uspokoić. - Ale musimy się przecież dowiedzieć, czyje to są szczątki i dlaczego tam leżą, a na razie nie mamy nic innego poza tym, że ten domek należał do Beniamina i że jego narzeczonea zniknęła. Sama na pewno jest pani ciekawa. Sama pewno chce się pani dowiedzieć, czyje to kości.

- Tego nie jestem pewna - odparła Elsa, gdy już się nieco uspokoiła.

- Ale mogę dalej przeszukiwać piwnicę? - spytał Sigurdur Oli.

- Tak, tak, jasne. Przecież tego nie będę zabraniała.

Dopił herbatę i szedł do piwnicy, rozmyślając o Bergthorze. On nie miał pękła jej włosów w żadnym medalionie, ponieważ uważał, że nie potrzebuje niczego, co by mu ją przypominało. Nie nosił nawet jej zdjęcia w portfelu, jak niektórzy jego znajomi, obnoszący się z wizerunkami własnych żon i dzieci. Nie czuł się dobrze. Czuł, że musi dokładniej porozmawiać z Bergthorą. Powyjaśniać wszystkie wątpliwości. Nie chciał być taki jak Erlendur.

Sigurdur Oli przetrząsał pamiętki po Benjaminie Knudsenie przez cały dzień, ale pozwolił sobie wpaść do fast foodu, gdzie kupił hamburgera, którego ledwo tknął, i przejrzał gazety przy filiżance kawy. Wrócił do piwnicy około drugiej, przeklinając upór Erlendura. Nie znalazł niczego, co mogłoby rzucić choć trochę światła na zniknięcie narzeczonej Beniamina lub dać jakąkolwiek wskazówkę, kto poza Hoskuldurem wynajmował jego domek letniskowy podczas wojny. Nie znalazł kosmyka włosów, o którego istnieniu Elinborg mówiła z taką pewnością po wysłuchaniu tych wszystkich miłosnych historii. Był to już jego drugi dzień spędzony w piwnicy i miał tego serdecznie dosyć.

Elsa czekała na niego w drzwiach i zaprosiła do siebie. Próbował się jakoś wymówić, ale nie chciał być niegrzeczny i w końcu podreptał za kobietą do salonu.

- Znalazł pan coś na dole? - spytała, ale Sigurdur Oli wiedział, że niezbyt ją to interesuje. Chodziło jej raczej o to, by wydobyć z niego jakieś informacje. Nie przyszło mu do głowy, że ona może czuć się samotnie, a takie wrażenie odniósł Erlendur już po kilkuminutowym pobycie w jej ponurym domu.

- W każdym razie nie znalazłem tego całego kosmyka - odpowiedział Sigurdur Oli, pociągając łyk zimnej herbaty. Gospodyni czekała na niego. Spojrzał na nią, zastanawiając się nad przyczyną jej zainteresowania.

- Aha - kiwnęła głową. - Jest pan żonaty? Przepraszam, to oczywiście nie moja sprawa.

- Nie, znaczy, tak, nie, nieżonaty, ale w związku - odpowiedział zmieszany.

- Dzieci pan ma?

- Nie, żadnych dzieci - odparł Sigurdur Oli. - Jeszcze nie.

- A dlaczego?

- Słucham?

- Dlaczego jeszcze nie macie państwo dzieci?

O co tu chodzi? - myślał Sigurdur Oli, popijając zimną herbatę, by zyskać na czasie.

- Stres, myślę. Szalone tempo życia. Oboje mamy absorbującą pracę i po prostu brak nam czasu.

- Czasu na dzieci? A co macie lepszego do roboty? Czym się zajmuje pańska dziewczyna?

- Jest współwłaścicielką firmy komputerowej - odpowiedział Sigurdur Oli. Miał ochotę jak najszybciej podziękować za herbatę, wstać i powiedzieć, że czas nagli. Nie chciał być odpytywany ze swego życia osobistego przez starą pannę. Kobietę, której najwyraźniej samotne życie rzuciło się na mózg, jak to zawsze się dzieje z takimi babami, co wtykają nos w cudze sprawy.

- Czy to dobra kobieta? - spytała.  
- Na imię jej Bergthora - powiedział Sigurdur Oli i zaczął już tracić cierpliwość. - Jest niezwykle dobrą kobietą. - Uśmiechnął się. - A dlaczego pani...?

- Nigdy nie miałam rodziny - zaczęła Elsa. - Nie miałam dzieci. Męża też nie miałam. Pał diabli męża, ale żałuję, że nie miałam dzieci. Dziś miałyby może koło trzydziestki. Może zbliżałyby się do czterdziestki. Czasem się nad tym zastanawiam. Byłyby dorosłe. Miałyby własne dzieci. Właściwie to nie wiem, co się stało. Ni z tego, ni z owego człowiek przeżywa kryzys wieku średniego. Jestem lekarką. Kiedy zaczynałam studiować, niewiele kobiet zajmowało się medycyną. Byłam taka jak pan, nie miałam czasu. Nie miałam czasu na własne życie. To, czym się pan teraz zajmuje, to nie jest pańskie życie. Własne życie. To tylko praca.

- Tak, no cóż, pewnie czas na...

- Benjamin też nie miał rodziny - ciągnęła Elsa. - A tylko tego pragnął. Rodziny. Z tamtą kobietą.

Podniosła się. Sigurdur Oli także. Myślał, że za chwilę się pożegnają, lecz Elsa podeszła do wielkiej dębowej komody z pięknym szklanymi drzwiczkami i rzeźbionymi szufladami. Otworzyła jedną z nich i wyjęła małą chińską szkatułkę, a z niej srebrny wisiołek na delikatnym łańcuszku.

- Przechowywał kosmyk jej włosów - powiedziała.  
- W medalioniku jest także jej zdjęcie. Na imię miała Solveig. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Kwiatuszek Beniamina. Nie sądzę, żeby to jej kości spoczywały tam na wzgórzu. Sama myśl o tym jest nie do zniesienia. Bo to by znaczyło, że Benjamin zrobił jej krzywdę. Nie zrobił tego. Nie mógłby. Jestem o tym przekonana. Ten kosmyk tego dowiedzie.

Podala Olemu medalion. Usiadł i otworzył go ostrożnie. Jego oczom ukazał się nieduży kosmyk czarnych włosów oraz fotografia jego właścicielki. Nie dotykał włosów. Przerzucił je na wieczko, żeby móc przyjrzeć się fotografii. Przedstawiała dwudziestoletnią dziewczynę o delikatnej twarzy i pięknie zarysowanych brwiach nad wielkimi, wpatrzonymi w obiektyw oczami. Usta zdradzały zdecydowanie, bródka była drobna i kształtna. Narzeczona Beniamina. Solveig.

- Proszę wybaczyć moje niezdecydowanie - usprawiedliwiała się Elsa. - Przemyślałam to wszystko. Rozważyłam wszystkie za i przeciw i doszłam do wniosku, że i tak tych włosów nie zniszczę. Niezależnie od tego, co wykaże śledztwo.

- Dlaczego je pani ukrywała?

- Musiałam się nad tym zastanowić.

- Tak, ale mimo...

- O mało nie dostałam zawału, kiedy pański kolega Erlendur (chyba tak się nazywa, prawda?) zaczął sugerować, że to jej szczątki mogą spoczywać tam na wzgórzu, ale kiedy głębiej się nad tym zastanowiłam... - Elsa wzruszyła ramionami jakby z rezygnacją.

- Nawet jeśli badanie DNA da wynik pozytywny - zaczął Sigurdur Oli - to wcale nie musi znaczyć, że Beniamin jest mordercą. Przecież badanie o tym nie rozstrzyga. Jeśli na wzgórzu spoczywają szczątki jego narzeczonej, to przecież powodem może być zupełnie co innego...

Elsa mu przerwała.

- Ona go rzuciła, jak dziś nazywacie. Dawniej powiedzielibyśmy: zerwała zaręczyny. Kiedy jeszcze ludzie się zaręczali. Tego samego dnia, w którym zniknęła. Beniamin powiedział o tym dopiero wiele lat później.



Podczas rozmowy z moją matką, kiedy umierał. A ona powiedziała o tym mnie. A ja do tej pory nikomu. I zabrałabym tę tajemnicę do grobu, gdybyście nie znaleźli tych kości. Wiecie, czy to szkielet mężczyzny, czy kobiety?

- Nie, jeszcze nie - odparł Sigurdur Oli. - A wspominał może, dlaczego zerwała zaręczyny? Dlaczego od niego odeszła?

Wyczuł u Elsy pewne wahanie. Patrzyli sobie w oczy i Oli zrozumiał, że zbyt dużo już wyjawiała, by teraz się wycofać. Czuł, że chce mu powiedzieć wszystko, co wie. Jakby dźwigała krzyż i teraz nadszedł czas, by się od niego uwolnić. Wreszcie, po tylu latach.

- To nie było jego dziecko - wyszeptwała.

- To nie było dziecko Beniamina?

- Nie.

- To nie z nim była w ciąży?

- Nie.

- A z kim?

- Musi pan zrozumieć, że wtedy były inne czasy - ciągnęła Elsa. - Dziś dokonać aborcji to jak wypić szklankę wody. Małżeństwo nie ma szczególnego znaczenia dla ludzi, którzy pragną mieć dziecko. Mieszkają razem, rozstają się. Schodzą się z kim innym. Mają więcej dzieci. Znow się rozstają. Kiedyś tak nie było. Kiedyś. Kiedyś dziecko pozamałżeńskie było dla kobiet nie do zaakceptowania. Towarzyszyły mu wstyd i wykluczenie. Takie kobiety nazywano ładacnicami. Nie było litości.

- Zdaję sobie z tego sprawę - zgodził się Sigurdur Oli i pomyślał o Bergthorze. Pomału zaczynał rozumieć, dlaczego Elsa tak interesuje się jego sprawami.

- Beniamin gotów był się z nią ożenić - ciągnęła Elsa. - W każdym razie tak mówił później matce. Ale

Solveig nie chciała. Woląca zerwać zaręczyny i powiedziała mu to wprost z zimną krwią. Ot, tak po prostu. Bez uprzedzenia.

- Kim był ten człowiek? Ojciec dziecka?

- Kiedy odchodziła od Beniamina, prosiła go o wybaczenie. Że od niego odchodzi. Ale on nie wybaczył. Potrzebował więcej czasu.

- I zniknęła?

- Po rozstaniu nigdy więcej jej nie widziano. Kiedy wieczorem nie wróciła do domu, zaczęto jej szukać, a Beniamin z pełnym zaangażowaniem brał udział w poszukiwaniach. Ale nigdy jej nie znaleziono.

- A co z ojcem dziecka? - powtórzył Sigurdur Oli. - Kim był?

- Tego Beniaminowi nie zdradziła. Odeszła, nie mówiąc mu o tym. W każdym razie tak mówił mojej matce. Jeśli wiedział, to nigdy jej tego nie wyjawiał.

- Ale kto to mógł być?

- Mógł być? - powtórzyła Elsa. - Nieważne, kto to mógł być. Ważne jest to, kto to był.

- Chce pani powiedzieć, że on pomógł jej w zniknięciu?

- A jak pan sądzi? - spytała Elsa.

- Czy pani i pani matka nikogo nie podejrzewałyście?

- Nikogo. I Beniamin też nie, z tego co wiem.

- A mógł skłamać?

- Na to nie potrafię odpowiedzieć. Ale sądzę, że Beniamin nigdy nie skłamałby na temat swojego życia.

- A na przykład po to, by odsunąć od siebie podejrzania?

- Nic mi nie wiadomo, aby jakoś szczególnie go podejrzewano, a minęło sporo czasu, nim powiedział o wszystkim mojej matce. To było tuż przed jego śmiercią.

- Nigdy nie przestał o niej myśleć?
- Tak właśnie powiedziała moja matka.  
Sigurdur Oli zastanawiał się chwilę.
- Czy poczucie wstydu mogło doprowadzić ją do samobójstwa?
  - Tak, na pewno. Zdradziła nie tylko swojego narzeczonego, który ją uwielbiał i miał zamiar się z nią ożenić, lecz także nosiła pod sercem dziecko i nie chciała powiedzieć, kto jest jego ojcem.
  - Moja koleżanka Elinborg rozmawiała z jej siostrą, która powiedziała jej, że ich ojciec popełnił samobójstwo. Powiesił się. A Solveig trudno było się z tym pogodzić, bo byli sobie szczególnie bliscy.
    - Solveig trudno było się z tym pogodzić?
    - Tak.
    - To dziwne!
    - Jak to?
    - Powiesił się, ale Solveig nie mogła raczej przeżywać tego jako osobistej tragedii.
      - Dlaczego pani tak uważa?
      - Bo powiadano, że to rozpacz go wykończyła.
      - Rozpacz?
      - Tak.
      - Jak...?
      - A w każdym razie tak sądziłam.
      - Jaka rozpacz?
      - Po stracie córki - powiedziała Elsa. - On się powiesił po jej zniknięciu.

## 17.

Erlendur znalazł w końcu temat do rozmowy z córką. Prowadził intensywne poszukiwania w Bibliotece Narodowej, zbierając informacje z gazet i czasopism, które wyszły w Reykjavíku w roku 1910, roku, w którym kometta Halleya minęła Ziemię, ciągnąc za sobą ogon nasyciony śmiertczonośnym cyjanowodorem. Otrzymał specjalne pozwolenie, by kartkować papierowe wydania gazet, zamiast przeglądać je na mikrofilmach. Uwielbiał wertować stare gazety i magazyny poświęcone zagadnieniom ogólnonarodowym, słuchać szelestu papieru, wdychać zapach poźółkłej celulozy i wczuwać się w czasy uwiecznione na stronach gazet, wówczas, teraz i po wiek wieków.

Było już późno, kiedy wreszcie usiadł przy Evie Lind i zaczął opowiadać o znalezionych w Grafarholt kościach. Opowiedział o archeologach, którzy ustawili namiot nad znaleziskiem, i o Skarphedinnie, który miał tak wielkie kły, że usta mu się nie domykały. Opowiedział o krzakach porzeczek i o tym, co mówił Robert - o krzywej, zielonej kobiecie. Opowiedział o Benjaminie Knudsenie i jego narzeczonej, która zniknęła pewnego dnia, i o tym,

jak odbiło się to jej zniknięcie na młodym Beniaminie. Opowiedział jej o Hoskuldurze, który wynajmował domek w czasie wojny, i o tym, co mu powiedział Beniamin o kobiecie, mieszkającej przed nim w domku na wzgórzu - że została poczęta w zbiorniku gazowym w noc, kiedy ludzie spodziewali się zagłady ziemi.

- To było w roku, w którym zmarł Mark Twain - powiedział Erlendur.

Kometa Halleya mknęła z przerażającą prędkością w kierunku Ziemi, a jej ogon nasycony był trującymi gazami. Gdyby nawet nie uderzyła w Ziemię, to Ziemia znalazłaby się w jej ogonie, a to miało zniszczyć wszelkie przejawy życia; ci, którzy najbardziej się tego obawiali, oczyma duszy widzieli samych siebie płonących w ogniu i tonących w kwasie. Strach przed kometą ogarnął ludzi nie tylko w Islandii, lecz także na całym świecie. W Austrii, w Trieście i Dalmacji ludzie wyprzedawali swój dobytek za półdarmo, żeby ten krótki okres życia, który jeszcze im pozostał, spędzić na zabawie i uciechach. W Szwajcarii opustoszały pensje dla panien, bo rodziny chciały być razem z nimi, kiedy kometa zmiecie Ziemię. Duchowni na całym świecie wygłaszali homilie mające złagodzić strach.

Powiadano, że w Reykjavíku wiele kobiet szło do łóżka z pierwszym lepszym w obawie przed końcem świata. Wiele osób wierzyło zupełnie serio, że, jak to sformułowano w jednej z gazet, winę za ciężkie przedwieśnie tamtego roku ponosi właśnie kometa. Starzy ludzie wspominali, że ostatnio kiedy pokazała się kometa, tak-że był ciężki rok.

Wielu mieszkańców Reykjavíku w tamtych czasach było zdania, że gaz jest paliwem przyszłości. W mieście

znajdowało się wiele latarni gazowych, choć nie oświetlały ulic w dostatecznym stopniu. Mieszkania także były oświetlane gazem. Postanowiono poprawić tę sytuację i pobudować na przedmieściach nowoczesną gazownię, która w przyszłości miała zaopatrywać w gaz całe miasto. Burmistrz Reykjavíku postanowił zawrzeć umowę z niemieckim przedsiębiorstwem gazowym i do Islandii przybył inżynier Carl Franke z Bremy wraz z ekipą specjalistów. Zaczęli budowę gazowni Reykjavík, która została oddana do użytku w roku tysiąc dziewięćset dziesiątym.

Sam zbiornik miał kształt przestronnej beczki o pojemności tysiąca pięciuset metrów sześciennych. Nazywany dzwonem gazowym, unosił się na wodzie i w zależności od tego, ile było w nim gazu, albo bardziej się zanurzał, albo wynurzał z wody. Mieszkańcy stolicy nigdy nie widzieli takiego cudu techniki. Specjalnie robili wycieczki poza miasto, po to tylko, by śledzić jego powstawanie.

Był już prawie gotowy, kiedy w nocy z siedemnastego na osiemnastego maja zebrała się w nim grupa obywateli. Uważali, że zbiornik jest jedynym miejscem, które daje jakąś nadzieję na ochronę przed trującymi wyziewami komety. Na wieść, jak znakomita zabawa szykuje się tamtej nocy w zbiorniku, do grupy dołączyły całe tłumy, chcące wziąć udział w powitaniu końca świata.

O wydarzeniach w zbiorniku plotkowano na mieście przez kilka kolejnych dni. Ludzie mieli podobno być pijani w sztok i uprawiać seks grupowy do samego rana, czyli do czasu, gdy stało się jasne, że Ziemia nie ulegnie zagładzie ani na skutek zderzenia z kometą, ani z powodu piekielnych wyziewów z jej ogona.

Krażyły pogłoski, że tamtej nocy w zbiorniku poczęto wiele dzieci. Erlendur pomyślał, że być może jedno z

nich dokonało żywota w Grafarholt wiele lat później i tam zostało pochowane.

- Stróżówka gazowni jeszcze stoi - powiedział do Ewy Lind, nie bardzo wierząc, że córka go słyszy. - A wszelkie inne pozostałości po niej zniknęły. Jak się później okazało, przyszłość leżała nie w gazie, lecz w elektryczności. Gazownia znajdowała się przy ulicy Raudararstigur, tam gdzie dziś mamy plac Hlemmur. Budynek nadal był wykorzystywany, ale nie w celach, dla których go zbudowano; w czasie mrozów i niepogody znajdowali tam schronienie bezdomni, grzejąc się w ciepłe spalane go gazu, zwłaszcza nocami. Podczas nocy polarnych bywało tam bardzo wesoło.

Snuł dalej swoją opowieść, a Eva Lind nie dawała znaku życia. Zresztą nie spodziewał się tego. Nie liczył na cud.

- Gazownię wybudowano w miejscu, które nazywało się Elsumyrarblettur - kontynuował, dziwiąc się ironii losu. - Elsumyrarblettur przez wiele lat po zburzeniu gazowni i likwidacji zbiornika świeciło pustką. Następnie na parceli wzniesiono ogromny gmach, w którym dziś mieści się komenda główna policji. Tam mam swoje biuro. Dokładnie w tym miejscu, w którym niegdyś stał zbiornik.

Umilkł na chwilę, po czym ciągnął.

- Zawsze czekamy na koniec świata. Czy w postaci ko mety, czy czegoś innego. Każdy z nas ma swój koniec świata. Niektórzy sami go na siebie sprowadzają. Niektórzy go pragną. Inni starają się uniknąć. Większość się go obawia. Okazuje mu szacunek. Ale nie ty. Ty nigdy niczemu nie potrafiłaś okazać szacunku. I nie obawiasz się swojego małego końca świata.

Siedział w ciszy i przyglądał się córce, zastanawiając się, czy to ma jakieś znaczenie, że mówi do niej, gdy ona

zdaje się niczego nie słyszeć. Ale przyszły mu na myśl słowa lekarza i poczuł nieomal ulgę, że mówi do Ewy w ten sposób. Rzadko się zdarzało, by odzywał się do niej ze spokojem i opanowaniem. Ich wzajemne kontakty polegały na ciągłych sprzeczkach i nieczęsto mieli okazję usiąść i spokojnie porozmawiać.

Ale przecież to nie były rozmowy. Erlendur uśmiechnął się niewesoło. Zazwyczaj to on mówił, a ona nie słuchała.

I jeśli o to chodzi, to w tej chwili nic się nie zmieniło.

Być może nie to chciała od niego usłyszeć. Znaleziony szkielec i gazownia, kometa i orgia. Może chciała, by mówił o czymś zupełnie innym? O sobie. O nich.

Wstał, pochylił się nad córką, pocałował ją w czoło i wyszedł. Był tak pogrążony w myślach, że zamiast skręcić w prawo i wyjść korytarzem z oddziału, nieświadomie ruszył w drugą stronę. Przeszedł przez cały OIOM, wzdłuż zaciemnionych sal, gdzie leżeli pacjenci znajdujący się na granicy życia i śmierci, ludzie podpięci do najnowocześniejszej aparatury. Ocknął się dopiero na końcu korytarza. Już chciał zawrócić, kiedy nagle z ostatniej sali wyszła drobna kobieta i omal się z nim nie zderzyła.

- Przepraszam - zaskrzeczała cieniutkim głosem.

- Nie, ja przepraszam - odparł, gorączkowo rozglądając się wokół. - Nie miałem zamiaru iść w tę stronę. Chciałem wyjść z oddziału.

- Wezwano mnie tutaj - oznajmiła kobieta. Włosy miała bardzo rzadkie, była grubawa, o bujnych piersiach pod fioletowym T-shirtem, twarz miała okrągłą i przyjazną. Erlendur zauważył drobne ciemne włoski nad górną wargą. Szybko zerknął do pokoju, z którego wyszła, i zauważył starszego mężczyznę, szczupłego i siwego,



przykrytego kołdrą. Obok niego na krześle siedziała kobieta w drogim futrze. Dłonią w rękawiczce uniosła do oczu chusteczkę.

- Są jeszcze ludzie, którzy wierzą w media - powiedziała kobieta cicho, jakby do siebie.

- Przepraszam, nie dosłyszałem...

- Poproszono mnie o przyjazd - rzekła kobieta i ostrożnie odciągnęła Erlendura od drzwi sali. - On umiera. Nic nie mogą zrobić. Jego żona siedzi tam przy nim. Poprosiła mnie, żebym spróbowała nawiązać nim kontakt. Jest w śpiączce i mówią, że już nic nie da się zrobić, ale on nie zgadza się umrzeć. Jakby nie chciał się z nimi żegnać. Poprosiła mnie, żebym go odnalazła, ale tu nie czuję nigdzie jego obecności.

- Jego obecności? - zdziwił się Erlendur.

- W życiu po życiu.

- Życiu po... Pani jest medium?

- Ona nie rozumie, że on musi umrzeć. Wyszedł z domu kilka dni temu i dopiero od policji dowiedziała się, że miał wypadek na drodze za miastem. Jechał do Borgarfjördur. Ciężarówka zajęchała mu drogę. Mówią, że nie ma nadziei na ratunek. Mózg przestał reagować.

Podniosła wzrok na Erlendura, który patrzył na nią zdezorientowany.

- Ona jest moją przyjaciółką.

Erlendur nie bardzo wiedział, o co chodzi tajemniczej kobiecie ani dlaczego stara mu się to wyjaśnić na pograżonym w ciemnościach korytarzu, do tego jeszcze szepcąc, jakby ze sobą spiskowali. A on przecież nigdy wcześniej jej nie widział. Pożegnał ją dość chłodno i już miał zamiar się oddalić, kiedy złapała go za rękę.

- Zaczekaj - powiedziała.

- Co?
- Proszę zaczekać.
- Przepraszam, ale to nie moja...
- Widzę chłopca w zadymce - powiedziała drobna

kobieta.

Erlendur nie dosłyszał, co powiedziała.

- Widzę małego chłopca w zadymce - powtórzyła.

Erlendur patrzył na nią osłupiały. Wyrwał rękę z jej uścisku, jak gdyby go skaleczyła.

- O czym pani mówi? - zapytał.
- Wiesz, kto to jest? - spytała kobieta, patrząc na niego.

- Nie mam pojęcia, o co pani chodzi - rzucił Erlendur ze złością, odwrócił się i ruszył korytarzem w kierunku światelka żarzącego się nad wejściem na oddział.

- Nie musisz się niczego obawiać - zawołała za nim kobieta. - On się pogodził. Pogodził się z tym, co się stało. I nikogo za to nie wini.

Erlendur potknął się, odwrócił wolno i popatrzył na małą kobietę mającą w ciemnym korytarza. Nie potrafił pojąć, dlaczego jest taka uparta.

- Kim jest ten chłopiec? - spytała. - Dlaczego jest z tobą?

- Nie ma żadnego chłopca - warknął gniewnie Erlendur. - Nie wiem, o co pani chodzi. Nie znam pani i nie wiem, o jakim chłopcu pani mówi. Proszę mnie zostawić w spokoju! - krzyknął.

Odwrócił się gwałtownie i opuścił oddział.

- Daj mi spokój - syknął przez zaciśnięte zęby.

## 18.

Edward Hunter był zwierzchnikiem wojsk amerykańskich stacjonujących w Islandii podczas wojny i jednym z niewielu wojskowych, którzy nie wyjechali z kraju po jej zakończeniu. Jim, sekretarz ambasady brytyjskiej, odnalazł go bez szczególnych problemów przez ambasadę USA. Szukał żołnierzy stacjonujących na Islandii, zarówno brytyjskich, jak i amerykańskich, którzy jeszcze żyli. Według brytyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych takich było niewielu. Większość z nich poległa w Afryce i we Włoszech albo na froncie zachodnim, podczas inwazji w Normandii w 1944 roku. Żołnierze amerykańscy natomiast bardzo rzadko trafiali na front. Odbywali służbę wojskową na Islandii aż do końca wojny. Kilku z nich pozostało na wyspie ze swoimi islandzkimi żonami i z czasem stali się obywatelami Islandii. Między innymi Edward Hunter.

Wczesnym rankiem Jim zatelefonował do Erlendura.

- Rozmawiałem z ambasadą amerykańską i skierowali mnie do tego Huntera. Chciałem ci oszczędzić czasu i sam z nim rozmawiałem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Dziękuję - odparł zaspany Erlendur.
- Hunter mieszka w Kopavogur.
- Od wojny?
- Tego niestety nie wiem.
- Ale jeszcze tu mieszka, ten Hunter - powtórzył

Erlendur, przecierając oczy.

Tej nocy nie najlepiej mu się spało, miał złe sny i co chwilę się budził. Głęboko przeżył to, co powiedziała wczoraj wieczorem na OIOM-ie ta mała kobieta o rzadkich włosach. Nie wierzył w pośrednictwo mediów między tym a tamtym światem. Nie wierzył też, że media widzą coś, czego nie dostrzegają inni. Wręcz przeciwnie, uważał, że jako grupa są oszustami, genialnie wyciągającymi z ludzi informacje, czytającymi z ich zachowania, a nawet ubioru, potrafiącymi wyławiać szczegóły, na których opierają swoją wiedzę o danej osobie, co w połowie przypadków się sprawdza, a w drugiej połowie nie; prosty rachunek prawdopodobieństwa. Kiedyś wywiązała się rozmowa na ten temat i Erlendur głośno wyraził swoje zdanie. Elinborg wydawała się wówczas nieco rozczarowana. Ona wierzyła w media i życie po śmierci i z jakiegoś powodu przypuszczała, że on także jest otwarty na tego typu rewelacje. Być może dlatego, że pochodzi z prowincji. Tyle że było to totalne nieporozumienie. Kompletnie nie wierzył w zjawiska nadprzyrodzone. Ale w zachowaniu tej kobiety w szpitalu, w tym, co mówiła, było coś, o czym Erlendur nie potrafił przestać myśleć, co zakłócało mu sen.

- Tak, mieszka tu cały czas - potwierdził Jim. Przeprosił, że go obudził, ale myślał, że Islandczycy wiosną wstają wcześniej, jak zresztą on sam, bo przecież to wiosenne światło zupełnie nie daje spać.

- I czekaj, ożeniony z Islandką?

- Już z nim rozmawiałem - powiedział Jim ze swoim angielskim akcentem, jakby w ogóle nie słyszał pytania. - Czekaj na ciebie. Pułkownik Hunter służył przez jakiś czas w żandarmerii wojskowej w Reykjaviku i pamięta jakiegoś, jak wy to mówicie, szubrawca, o którym chętnie ci opowie. W bazie zaopatrzeniowej na wzgórzu. Dobrze to powiedziałem? Szubrawiec?

Podczas wizyty Erlendura w ambasadzie Jim powiedział mu, że bardzo interesuje się językiem islandzkim i stara się używać nie tylko najpopularniejszych słów.

- Świetne słowo - potwierdził Erlendur, udając zainteresowanie. - Jakiego szubrawca?

- On sam ci o tym opowie. A ja będę dalej badać sprawę żołnierzy, którzy tu zmarli lub zniknęli. Powinieneś też zapytać o to pułkownika Huntera.

Pożegnali się i Erlendur na sztywnych nogach poszedł do kuchni zaparzyć sobie kawę. Gnębiły go czarne myśli. Czyżby medium mogło określić, po której stronie znajduje się człowiek, będący na granicy życia i śmierci? Nie bardzo w to wierzył, ale myślał, że jeśli w ten sposób można zapewnić ludziom, którzy przeżyli stratę umiłowanej osoby, jakiegoś rodzaju spokój, to on nie będzie się w to mieszał. Bo nieważne, skąd przychodzi pocieszenie.

Kawa była za gorąca i gdy ją pił, poparzył sobie język. Unikał myśli, która najczęściej nachodziła go w nocy i rano i to mu się na razie udawało.

Mniej więcej.

Były pułkownik armii amerykańskiej Edward Hunter bardziej wyglądał na Islandczyka niż na Amerykanina. Przyjął Erlendura i Elinborg w swoim jednorodzinny

domu w Kopavogur, ubrany w rozpinany sweter z grubej owczej wełny, z zaniedbaną, siwą brodą. Włosy miał potargane, wyglądał niechlujnie, ale zachowywał się przyjaźnie i grzecznie. Uścisnął ich dłonie i kazał mówić do siebie Ed. Pod tym względem przypominał Erlendurowi Jima. Powiedział, że żona wyjechała do USA do jego siostry. A on sam coraz rzadziej odwiedza ojczyznę.

Po drodze do Huntera Elinborg opowiedziała Erlendurowi, czego się dowiedziała od Bary na temat narzeczonej Beniamina. Że kiedy zniknęła, miała na sobie zielony płaszcz. Elinborg uznała to za godne uwagi, lecz Erlendur nie podjął tematu, za to ni z tego, ni z owego rzucił, że nie wierzy w żadne duchy. Elinborg wyczuła jednak, że i na ten temat nie ma ochoty rozmawiać.

Ed wprowadził ich do przestronnego salonu. Rozejrzawszy się po pomieszczeniu, Erlendur zauważył, że niewiele tu zostało po żołnierskim życiu; na ścianach wisiały dwa islandzkie landszafty w ciężkich ramach i rodzinne fotografie, a wokół aż się roilo od islandzkich figurek z gliny.

Gospodarz spodziewał się tej wizyty, więc kawa, herbata i ciastka już były gotowe. Po konwencjonalnej wymianie uprzejmości, która znudziła całą trójkę, stary żołnierz rzeczowo zapytał, w jaki sposób może im pomóc. Mówił po islandzku poprawnie, krótkimi zdaniami, używał precyzyjnych określeń, zupełnie jakby był pozbawiony wszelkiej fantazji językowej.

- Jim z ambasady brytyjskiej powiedział nam, że w czasie wojny służyłeś na Islandii między innymi w żandarmerii wojskowej i że miałeś do czynienia z bazą zaopatrzeniową, która znajdowała się tam, gdzie teraz mamy pole golfowe w Grafarholt.

- Tak, teraz regularnie gram tam w golfa - odparł Hunter. - Widziałem w wiadomościach materiał o odkrytych tam kościach. Jim mówił, że uważacie, że to jeden z żołnierzy stacjonujących tu podczas wojny, Brytyjczyk lub Amerykanin.

- Czy w tej bazie miało miejsce jakieś niezwykle zdarzenie? - spytał Erlendur.

- Kradli - pośpieszył z odpowiedzią Hunter. - Chociaż to zdarzało się wszędzie. Pewno dziś nazwalibyśmy to uszczupleniem zapasów. Grupa żołnierzy kradnąca zapasy i odsprzedająca je mieszkańcom Reykjavíku. Zaczęli na bardzo małą skalę. Ale stopniowo, w miarę jak czuli się pewniej, stawali się coraz bardziej bezczelni. I w końcu zrobił się z tego poważny interes. Kwatermistrz działał z nimi w zмовie. Wszyscy dostali wyroki. Zniknęli stąd. Dość dobrze to pamiętam. Prowadziłem dziennik, który przejrzałem po rozmowie z Jimem. Wszystko mi się przypomniało, cała ta złodziejska afera. Zadzwoiłem też do przyjaciela z tamtych czasów, Phila, który był moim przełożonym. Razem odświeżyliśmy sobie pamięć.

- A w jaki sposób te kradzieże wyszły na jaw? - spytała Elinborg.

- Zgubiła ich pazerność. Kiedy kradnie się na tak wielką skalę, trudno to ukryć. Rozniosło się, że dzieje się coś dziwnego.

- A co to byli za ludzie? - Erlendur wyciągnął paczkę papierosów, a Hunter skinął głową na znak, że palenie mu nie przeszkadza. Elinborg popatrzyła na Erlendura z wyrzutem.

- Szeregowi. Przeważnie. Najwyższy rangą był kwatermistrz. I co najmniej jeden Islandczyk. Człowiek, który mieszkał na wzgórzu. Po drugiej stronie.

- Pamięta pan, jak się nazywał?  
- Nie. Mieszkał z rodziną w niewykończonym domku. Znaleźliśmy u niego sporo towaru. Z bazy. Zapisalem sobie w dzienniku, że miał troje dzieci, w tym jedno niepełnosprawne, córkę. Pozostali dwaj to chłopcy. Ich matka...

Hunter urwał.

- Co z matką? - spytała Elinborg. - Chciał pan powiedzieć coś o matce.

- Myślę, że nie była szczęśliwa. - Hunter znów umilkł i zamyślił się, jakby chciał wrócić pamięcią do dawno minionych czasów, kiedy prowadził śledztwo w sprawie kradzieży mienia wojskowego, i znalazł się w islandzkim domu na wzgórzu, gdzie ujrzał kobietę, która najwyraźniej była ofiarą przemocy domowej. Nie tylko w tym sensie, że niedawno została pobita. Widać było po niej, że była maltretowana długo i systematycznie, zarówno psychicznie, jak i fizycznie.

Początkowo kiedy wszedł w asyście czterech żandar-mów, w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Za to natychmiast zwrócił uwagę na upośledzoną dziewczynę leżącą w barłogu w kuchni. Zauważył też dwóch chłopców stojących nieruchomo ramie w ramie obok barłogu i patrzących ze strachem na intruzów. Siedzący przy kuchennym stole mężczyzna zerwał się z krzesła. Nie zapowiadali swojej wizyty i ten człowiek najwyraźniej się ich nie spodziewał. Wojskowi potrafią od razu poznać po człowieku, czy będzie stawiał opór. Czy może się okazać niebezpieczny. Ten tutaj na pewno nie będzie sprawiać kłopotów, pomyślał Hunter.

Potem zauważył kobietę. Była wczesna wiosna, w domu panował półmrok, tak że minęła dobra chwila,



zanim jego wzrok przyzwyczaił się; do ciemności. Kobieta ukrywała się w czymś, co przypominało nieduży korytarz. Z początku sądził, że jest może członkinią szajki i ma zamiar uciec. Szybko ruszył w kierunku korytarzyka, wyciągając pistolet z kabury przy pasie. Krzyknął ostrzegawczo i wycelował w półmrok. Upośledzona dziewczynka zaczęła krzyczeć. Obaj chłopcy jednocześnie rzucili się na niego, wołając coś, czego nie rozumiał. Z ciemnego korytarza wychynęła kobieta, której miał nie zapomnieć do końca życia.

Natychmiast zrozumiał, dlaczego się ukryła. Twarz miała szpetnie posiniaczoną, górną wargę spuchniętą i oko tak nabrzmiące, że nie mogła go otworzyć. Spojrzała na niego przerażona drugim okiem i instynktownie się skuliła. Może myślała, że zacznie ją bić. Była w szlafroku nałożonym na sukienkę, nogi miała gołe, stopy w skarpetach i niemilosiernie zniszczonych butach. Brudne, pozlepiane włosy opadały jej na ramiona. Wydało mu się, że utyka. W życiu nie widział równie żalostnej postaci.

Przyglądał się, jak próbuje uspokoić chłopców, i wtedy zrozumiał, że to nie swój wygląd chciała ukryć.

Ukrywała swój wstyd.

Dzieci zamilkły. Starszy chłopiec przytulił się do matki. Hunter zaś spojrzał na męża kobiety, schował pistolet, podszedł do niego i z całej siły uderzył go w twarz, aż plasnęło.

- Tak to wyglądało - powiedział na zakończenie swojego opowiadania. - Nie zapanowałem nad sobą. Nie wiem, co się stało. Nie wiem, co mnie naszło. To było coś niepojętego. Przecież ćwiczyliśmy nas, rozumiecie, ćwiczyliśmy, żebyśmy potrafili sprostać każdej sytuacji. Żebyśmy niezależnie od wszystkiego umieli zachować spokój.

Zawsze podkreślano, żebyśmy nigdy nie tracili zimnej krwi. Możecie sobie wyobrazić, wojna i tak dalej. Ale kiedy zobaczyłem tę kobietę... kiedy zobaczyłem, ile się musiała nacierpieć, i to nie tylko ten jeden raz. Oczyma wyobraźni zobaczyłem jej życie w rękach tego człowieka i coś we mnie pękło. Stało się coś, czego nie potrafiłem opanować. Przerwał na chwilę.

- Przed wojną byłem przez dwa lata policjantem w Baltimore. Wtedy nie nazywano tego przemocą domową, ale to było dokładnie tak samo odrażające. Tam właśnie się z tym spotkałem i całe życie czułem do czegoś takiego odrazę. Zaraz też się zorientowałem, o co tu chodzi, a poza tym on nas okradał... ale, no cóż, faceta sędzono zgodnie z waszym prawem - dodał, jakby chciał się otrząsnąć ze wspomnień o kobiecie na wzgórzu. - Myślę, że nie dostał jakiegoś surowego wyroku. Pewnie po paru miesiącach wrócił do domu i dalej bił swoją biedną żonę.

- To, co pan tu opisuje, to poważna przemoc domowa - zauważył Erlendur.

- Najgorsza z najgorszych. Ta kobieta przedstawiała opłakany widok - przyznał Hunter. - Coś przerażającego. Ale jak mówię, od razu zauważyłem, co się dzieje. Próbowałem z nią rozmawiać, ale nie rozumiała ani słowa po angielsku. Powiedziałem o niej islandzkiej policji, lecz oni stwierdzili, że niewiele mogą zrobić. I pewnie niewiele się potem zmieniło.

- A może pamięta pan, jak się ci ludzie nazywali? - spytała Elinborg. - Nie zapisał pan w dzienniku?

- Nie, ale to akurat powinno się znajdować w naszych raportach. Z powodu tych kradzieży. A poza tym on także pracował w bazie. Z pewnością muszą istnieć

jakieś spisy pracowników. Pracowników bazy. Choć może minęło już zbyt wiele czasu.

- A co się stało z żołnierzami? - spytał Erlendur. - Z tymi, co zostali skazani przez wasz sąd?

- Jakiś czas siedzieli w areszcie. Kradzież zapasów wojskowych była przestępstwem powszechnym, ale poważnym. Wysłano ich na front. Taka swoista kara śmierci.

- I wyłapaliście ich wszystkich?

- Tego akurat nie wiem. Ale kradzieże się skończyły. Intendentura znów zaczęła funkcjonować jak należy. Sprawa została wyjaśniona.

- A więc pana zdaniem to się nie wiąże w żaden sposób ze znalezionymi kośćmi?

- Tego nie umiem powiedzieć.

- Nie pamięta pan żadnego przypadku zaginięcia waszego żołnierza albo u Brytyjczyków?

- Chodzi o dezercję?

- Nie. O niewyjaśnione zaginięcie. Chodzi o kości. Kto to może być. Czy może to być amerykański żołnierz z bazy zaopatrzeniowej?

- Nie mam pojęcia. Najmniejszego.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Hunterowi najwyraźniej podobała się ta rozmowa. Z przyjemnością wspominał dawne czasy, uzbrojony w swój cenny dziennik. Szybko przeszli na temat wojny na Islandii i skutków obecności wojsk alianckich, aż w końcu Erlendur się ocknął. Nie miał czasu na takie pogaduchy. Wstał, a po nim Elinborg, i podziękował serdecznie w imieniu swoim i koleżanki.

Hunter również się podniósł i odprowadził ich do drzwi.

- A jak odkryliście te kradzieże? - spytał Erlendur w drzwiach.

- Odkryliśmy? - powtórzył Hunter.
- Co was naprowadziło na ślad?
- A tak, rozumiem. Telefon. Ktoś zadzwonił do kwatery głównej żandarmerii i zgłosił poważną kradzież z bazy zaopatrzeniowej.
- I kto się okazał donosicielem?
- Obawiam się, że tego się nigdy nie dowiemy. W każdym razie my się nie dowiedzieliśmy.

Simon stał obok matki i wyczerpany obserwował, jak żołnierz odwraca się od nich wstrząśnięty i rozwścieczony, przechodzi przez całą kuchnię i bez ostrzeżenia uderza Grimura w twarz, a ten pada na podłogę.

Trzej żołnierze stojący przy drzwiach patrzyli bez ruchu, jak ich towarzysz uderza Grimura, staje nad nim i wykrzykuje coś, czego nikt z rodziny nie rozumiał. Simon nie wierzył własnym oczom. Spojrzał na Tomasa, który nie mógł oderwać oczu od tego, co się działo. Spojrzał też na Mikkelinę, która z przerażeniem patrzyła na leżącego na podłodze Grimura. Przeniosła wzrok na matkę i zauważyła w jej oczach łzy.

Grimur nie miał pojęcia, co się dzieje. Kiedy usłyszeli dwa dżipy podjeżdżające pod dom, matka szybko wyszła na korytarz, żeby nikt jej nie widział. Nie chciała pokazywać podbitego oka i pękniętej wargi. Grimur nie podniósł się nawet od stołu, jakby zupełnie nie przejmował się tym, że jego kradzieże z amerykańskiej bazy mogą się wydać. Spodziewał się swoich koleżków z ładunkiem, który miał być przechowywany w domu. Wieczorem zaś planowali wypad do miasta, by sprzedać część łupu. Grimur dysponował już sporą gotówką i zaczynał przebąkiwać o wyprowadzce ze wzgórza, zakupie mieszkania.

A kiedy był w lepszym humorze, przebąkiwał nawet o kupnie jakiegoś samochodu.

Żołnierze zabrali go z sobą. Wsadzili do auta i wywieźli. Ich dowódca, człowiek, który uderzył Grimura i bez wysiłku powalił go na podłogę, tak po prostu podszedł do niego i pobił, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy z jego siły, powiedział coś do ich matki. Potem pożegnał się, ale nie po wojskowemu, lecz podając rękę. Wsiadł do drugiego dżipa i odjechał.

Zaraz potem w małym domku na wzgórzu znów zapanowała cisza. Matka wciąż stała w drzwiach prowadzących na korytarz. Może te wydarzenia jeszcze do niej nie dotarły. Wolniutko przetarła oczy i patrzyła przed siebie na coś, co tylko ona widziała. Nigdy dotąd nie oglądali Grimura na podłodze. Nigdy nie widzieli go pobitego. Nigdy nie widzieli, by ktoś na niego krzyczał. Nigdy nie widzieli go równie bezsilnego. Jak to się mogło stać? Dlaczego Grimur nie rzucił się na żołnierzy i nie pobił ich do nieprzytomności? Dzieci spojrzały po sobie. W domu panowała przytłaczająca cisza. Patrzyli na matkę i nagle Mikkelina wydała dziwny dźwięk. Ni to siedziała, ni leżała na łóżku. Ponownie usłyszeli ten dźwięk. Zauważyli, że zaczyna chichotać i chichot zmieniał się w śmiech, który początkowo tłumiała, ale na próżno. Simon uśmiechnął się i także zaczął się śmiać, a po chwili przyłączył się Tomas i niebawem wszyscy troje zanosili się niepohamowanym śmiechem, który rozbrzmiewał w całym domu i unosił się nad wzgórzem smagany wiosennym wiatrem.

Jakieś dwie godziny później przyjechała wojskowa ciężarówka. Załadowano na nią skradzioną żywność, którą Grimur wraz z kolegami przechowywali w domu.

Chłopcy obserwowali, jak auto się oddala, i widzieli, jak wjeżdża przez bramę do bazy, gdzie zostało rozładowane.

Simon nie bardzo uświadamiał sobie, co się stało. Nie był też pewien, czy rozumie to jego matka. W każdym razie Grimur otrzymał wyrok więzienia i przez kilka następnych miesięcy nie było go w domu. Z początku nic się nie zmieniło. Zupełnie jakby się nie zorientowali, że nie ma Grimura. Przynajmniej na razie. Matka zareagowała jak zwykle z opóźnieniem, ale nie wahała się wykorzystać nieuczciwie zdobytych pieniędzy, by zapewnić byt sobie i dzieciom. Potem załatwiła sobie pracę w gospodarstwie w Gufunes, oddalonym o jakieś pół godziny marszu od domu.

Kiedy pogoda na to pozwalała, chłopcy wynosili Mikelinę na słońce. Czasem zabierali ją ze sobą aż nad jezioro Reynisvatn, gdzie łowili pstrągi. Jeśli mieli udany połów, matka smażyła ryby i przyprawiała je smakowicie. Tak minęło kilka tygodni. Bardzo powoli uwalniali się z jarzma, którym, pomimo swojej nieobecności, pętał ich Grimur. Lżej było budzić się z rana, dzień mijał bez zmartwień, a wieczorami rozkoszowali się nieznanym dotychczas spokojem. Były to tak miłe chwile, że do późna siedzieli i rozmawiali, aż któreś z nich nie usnęło.

Jednak nieobecność Grimura najbardziej podziałała na matkę. Któregoś dnia, gdy już się zorientowała, że Grimur w najbliższym czasie nie wróci do domu, dokładnie wyczyściła małżeńskie łóżce. Wyniosła na podwórko materace, wywietrzyła je i wytrzepała z nich kurz i brud. Wyniosła także kołdry i poduszki i też je wytrzepała, nawlokła świeżą pościel, jedno po drugim wyszorowała dzieci szarym mydłem w gorącej wodzie w wielkiej balii ustawionej na podłodze, na koniec umyła

sobie włosy i twarz, która jeszcze nosiła ślady ostatnich ciosów Grimura, i dokładnie wyszorowała całe ciało. Z wahaniem podeszła do lustra i przejrzała się w nim. Dotknęła oka i wargi. Schudła, rysy jej twarzy się wyostrzyły. Zęby miała nieco wystające, oczy głęboko osadzone, a nos, niegdyś złamany, teraz był prawie niewidocznie skrzywiony.

Kiedy zbliżała się północ, zabrała dzieci, Mikkelinę, Simona i Tomasa, do łóżka i tam zasnęli. Później już dzieci zawsze spały wtulone mocno w matkę, Mikkelina z prawej, a obaj chłopcy z jej lewej strony, beztrudnie szczęśliwi.

Nigdy nie odwiedziła Grimura w więzieniu. Nigdy go nie wspominali.

Pewnego ranka, tuż po aresztowaniu Grimura, przez wzgórze przechodził żołnierz Dave ze swoją wędką. Miął ich dom i skinął głową w kierunku Simona, stojącego przed drzwiami. I poszedł dalej do jeziora Hafravatn. Simon ruszył w ślad za nim i położył się na ziemi w bezpiecznej odległości. Szpiegował go. Dave spędził cały dzień nad jeziorem tak samo spokojnie jak wcześniej. Chyba nie interesowało go specjalnie, czy coś złowił, czy nie. Ale trzy pstrągi wyciągnął.

Pod wieczór wrócił na wzgórze i zatrzymał się opodal domu z trzema pstrągami na lince. Simonowi, który zdążył wrócić i teraz obserwował go przez kuchenne okno, bacząc, by Dave go nie zauważył, zdawało się, że żołnierz lekko się zawahał. W końcu jednak podjął decyzję, podszedł do drzwi i zapukał.

Simon powiedział matce o żołnierzu, tym samym, który wtedy podarował im pstrągi, a ona wyszła przed dom, rozejrzała się, po czym wróciła, zerknęła w lustro

i poprawiła włosy. Jakby wiedziała, że Dave zajrzy do nich w drodze powrotnej do baraków. I była gotowa na jego przyjęcie.

Otworzyła drzwi. Dave się uśmiechnął, powiedział coś niezrozumiałego i podał jej ryby. Przyjęła je i zaprosiła go do środka. Wszedł z wahaniem i stanął w kuchni. Skinął głową w kierunku chłopców i Mikkeliney, wiercącej się i wyciągającej szyję, żeby lepiej widzieć żołnierza, który oto zawitał do ich kuchni, w mundurze i dziwnym nakryciu głowy, przypominającym kształtem łódkę wywróconą do góry dnem. Wtedy Dave przypomniał sobie, że jeszcze nie zdjął czapki, więc zakłopotany ściągnął ją z głowy. Był średniego wzrostu, z pewnością po trzydziestce, szczupły, o pięknych dłoniach, które miętosily czapkę, jakby ją wyżywały po praniu.

Matka wskazała mu miejsce przy stole. Usiadł, a obok niego chłopcy. Matka nastawiła wodę na kawę, prawdziwą kawę z bazy, kawę, którą ukradł Grimur, a żołnierze nie odnaleźli. Dave wiedział, że Simon ma na imię Simon, i zorientował się, że Tomas to Tomas. Były to imiona, z których wymową nie miał najmniejszego kłopotu. Imię Mikkeliney uważał za śmieszne i wciąż je powtarzał w tak zabawny sposób, że wszyscy się śmiali. Powiedział, że nazywa się David Welch i pochodzi ze Stanów Zjednoczonych, z Brooklynu. Dodał, że jest szeregowcem. Nie mieli pojęcia, o czym mówi.

- *A private* - powiedział, a oni tylko patrzyli na niego jak zahipnotyzowani.

Upił łyk kawy i chyba mu zasmakowała. Matka zajęła miejsce przy końcu stołu, naprzeciw niego.

- *I understand your husband is in jail - zagaił. - For stealing.*



Nie nastąpiła żadna reakcja.

Spojrzał na dzieci, wyjął z kieszeni na piersi kartkę i zaczął ją obracać w palcach, jakby nie wiedział, co z nią zrobić. Potem przesunął kartkę po stole w kierunku matki. Wzięła ją, rozłożyła i przeczytała. Spojrzała ze zdziwieniem na mężczyznę, a potem znowu na kartkę, jakby teraz ona nie wiedziała, co z nią zrobić. W końcu złożyła papier i wsadziła do kieszeni fartucha.

Tomasowi udało się namówić Davida, by jeszcze raz powiedział „Mikkelina”, a kiedy to uczynił, wszyscy zaczęli się śmiać, Mikkelina aż się popłakała ze śmiechu.

David Welch odwiedzał ich regularnie tego lata i zaprzyjaźnił się z dziećmi i ich matką. Przynosił im ryby złowione w obu jeziorach i obdarowywał różnymi drobiazgami z bazy, które bardzo się im przydawały. Bawił się z dziećmi, a te wręcz go uwielbiały. I zawsze miał przy sobie książeczkę, żeby porozumieć się z nimi po islandzku. Dzieciaki uważały to za najprzedniejszą rozrywkę, zwłaszcza gdy starał się dukać w ich języku. Jego poważne usposobienie kompletnie nie pasowało do tego, co mówił ani jak mówił; jego islandzki brzmiał jak u trzyletniego dziecka.

Ale szybko się uczył i z czasem coraz łatwiej mu było zrozumieć, co do niego mówią. Chłopcy pokazali mu, gdzie ryby najlepiej biorą, spacerowali z nim po wzgórzu i wokół jezior, uczyli się od niego angielskich słówek i tekstów amerykańskich szlagierów, których melodie dobiegały często z bazy.

Szczególna więź łączyła Dave'a z Mikkeliną. Szybko zdobył jej sympatię. W ładną pogodę wynosił ją z domu i sprawdzał jej sprawność. Robił to samo, co zawsze robiła matka. Poruszał rękami i nogami dziewczynki, podpierał ją, kiedy próbowała chodzić, i pomagał wykonywać

różne ćwiczenia. Kiedyś przyprowadził lekarza wojskowego, żeby obejrzał Mikkelinę. Ten przyjrzał jej się dokładnie i kazał pokazać sobie kilka ćwiczeń. Zaświecił jej latarką w oczy i w krtań, poruszał w kółko głową, obmacał szyję i plecy wzdłuż kręgosłupa. Miał ze sobą różne klocki, a zadanie Mikkeliny polegało na tym, by włożyć je do foremek odpowiadających im kształtem. Uporała się z tym od razu. Lekarz dowiedział się, że zachorowała w wieku trzech lat i że słyszy, kiedy się do niej mówi, ale sama prawie nigdy się nie odzywa. Dowiedział się też, że umie czytać, a matka uczy ją pisać. Pokiwał ze zrozumieniem głową. Minę miał zatroskaną. Po badaniu długo rozmawiał z Dave'em, a kiedy odszedł, Amerykanin zakomunikował im, że Mikkelina jest psychicznie zupełnie zdrowa. Ale dla nich to nie była żadna nowość. Powiedział także, że z czasem, dzięki właściwym ćwiczeniom i uporczywej pracy, Mikkelina może sama chodzić.

- Chodzić! - matka wolno opadła na krzesło w kuchni.

- A nawet normalnie mówić - dodał Dave. - Może. Nigdy wcześniej nie była u lekarza?

- Nie rozumiem tego - jęknęła matka.

- *She is okay* - powtórzył Dave. - *Just give her time.*

Ale ona go nie słyszała.

- On jest potworem - powiedziała nagle i dzieci nastawiły uszu, bo nigdy wcześniej nie słyszały, żeby mówiła tak źle o Grimurze. - Okropnym człowiekiem - ciągnęła. - Przekłeta karłowata dusza, która nie zasługuje na to, by żyć. Skąd się biorą tacy ludzie? Nie rozumiem. Dlaczego wolno im robić, co chcą? Skąd się tacy ludzie biorą?

Co takiego robi z nich potworów? Dlaczego rok po

roku wolno mu zachowywać się jak zwierzę, znęcać się nad własnymi dziećmi i poniżać je, znęcać się nade mną i bić mnie, dopóki nie utracę chęci do życia i nie zacznę się zastanawiać nad sposobem, żeby... Westchnęła ciężko i usiadła obok Mikkeliney.

- Człowiek wstydzi się być ofiarą takiej bestii i zamyka się w skorupie, która ma go przed nią obronić, nikogo do niej nie wpuszcza, nawet własnych dzieci, bo nie chce, żeby ktokolwiek widział jego los, zwłaszcza one. I siedzi tak sobie, i zbiera się w sobie, żeby przetrwać następny atak bez zapowiedzi i przepojony nienawiścią do tego stopnia, że człowiek nie rozumie. I w końcu całe życie staje się jednym wielkim czekaniem na atak, ciągłym zastanawianiem się, kiedy nastąpi, jak bardzo będzie bolało i jak go uniknąć. Im bardziej spełniam jego zachcianki, tym bardziej się mną brzydzi. Im bardziej jestem potulna i strachliwa, tym bardziej mnie nienawidzi. A jeśli mu się sprzeciwię, dam mu powód, żeby mnie zbił do nieprzytomności. Z tego nie ma żadnego wyjścia. Żadnego. I w końcu człowiek zaczyna myśleć tylko o jednym. Żeby to się już skończyło i nieważne jak. Tylko żeby się skończyło.

W domu panowała grobowa cisza. Mikkeline leżała nieruchomo w swoim łóżku, a chłopcy przysunęli się bliżej matki. Z zapartym tchem słuchali każdego jej słowa. Nigdy nie uchyliła drzwi do tajemnicy cierpienia, które zносиła tak długo, że wszystko inne już dawno zapomniała.

- Wszystko będzie w porządku - powtórzył Dave.

- Pomogę ci - zadeklarował Simon ze śmiertelną powagą.

Spojrzała na niego.

- Wiem, Simonie - uśmiechnęła się smutno. - Zawsze to wiedziałam, mój biedaku.

Dni mijały, a Dave spędzał wszystkie swoje wolne chwile z rodziną na wzgórzu. Z czasem więcej uwagi poświęcał ich matce, czy to w domu, czy to na spacerach wokół pobliskich jezior. Szczerze mówiąc, chłopcy woleliby mieć go więcej dla siebie, ale on już nie chodził z nimi na ryby i miał mniej czasu dla Mikkeliny. Dzieci jednak to akceptowały. Dostrzegały zmianę, która zaszła w ich matce, skojarzyły ją z Dave'em i cieszyły się z niej.

Prawie pół roku po tym, jak Grimura zabrała z domu żandarmeria, pięknego jesiennego dnia Simon zauważył z daleka zbliżających się do domu Dave'a i matkę. Szli bardzo blisko siebie i trzymali się za ręce. Kiedy podeszli bliżej, puścili dłonie i odsunęli się nieco od siebie, a Simon zrozumiał, że nie chcą, by ktoś ich zauważył.

- Co macie zamiar z Dave'em zrobić? - spytał Simon matkę pewnego jesiennego wieczoru. Siedzieli w kuchni. Tomas i Mikkelina grali w karty. Dave spędził z nimi cały dzień, ale musiał wracać do bazy. To pytanie wisiało w powietrzu przez całe lato. Dzieciaki zadawały je sobie nawzajem i wymyślały różne historie, które zawsze kończyły się w taki sposób, że Dave zastępuje im ojca, przepędza Grimura i nigdy więcej nie muszą go oglądać.

- Jak to „zrobić”? - spytała matka.

- Kiedy on wróci - powiedział Simon, a Mikkelina i Tomas odłożyli karty i spojrzeli na niego.

- Mam dość czasu, żeby się nad tym zastanowić - odparła matka. - Tak szybko nie wróci.

- Ale co masz zamiar zrobić?

Mikkelina i Tomas przenieśli wzrok z brata na matkę. Ta spojrzała na Simona, a potem na Mikkelinę i Tomasa.

- On nam pomoże - powiedziała.

- Kto? - spytał Simon.

- Dave. On nam pomoże.
- I co zrobi? - Simon usiłował zrozumieć matkę.

Patrzył jej prosto w oczy.

- Dave zna takich jak on. Doskonale wie, jak się od nich uwolnić.

- I co on zrobi? - powtórzył Simon.
- Nie martw się tym - odparła jego matka.
- Uwolni nas od niego?
- Tak.
- Jak?

- Nie wiem. Powiada, że najlepiej, jeśli będziemy jak najmniej wiedzieć, a ja nie powinnam wam mówić nawet tego, co już powiedziałam. Nie wiem, co zamierza zrobić. Może z nim porozmawia. Postraszy go, żeby zostawił nas w spokoju. Mówi, że ma w wojsku przyjaciół, którzy w razie potrzeby mu pomogą.

- A co się stanie, jak Dave wyjedzie? - dociekał Simon.

- Wyjedzie?

- Jeżeli stąd wyjedzie - powtórzył Simon. - Nie będzie tu zawsze. Ciągłe odsyłają jakichś żołnierzy. Do baraków ciągle przybywają nowi. Co będzie, jeśli wyjedzie? Co wtedy zrobimy?

Patrzyła nań przez chwilę.

- Znajdziemy na to radę - powiedziała cicho. - Wtedy znajdziemy na to radę.

## 19.

Sigurdur Oli zatelefonował do Erlendura i opowiedział mu o swojej rozmowie z Elsą. O tym, że Elsa uważa, iż w grę mógł wchodzić inny mężczyzna, który zrobił dziecko narzeczonej Beniamina. Niestety, nie wiadomo, kto nim był. Chwilę rozmawiali na ten temat, po czym Erlendur wprowadził Sigurdura Olego w to, czego sam się dowiedział od weterana Edwarda Huntera. Opowiedział mu o kradzieżach w bazie intendencji i o powiązaniach ojca rodziny mieszkającej w domku na wzgórzu z całą tą sprawą. Wspomniał także, że Edward uważa, iż człowiek ten znęcał się nad swoją żoną; potwierdzało to relację Hoskuldura, którą przytoczył za kupcem Beniaminem.

- Ci ludzie już dawno nie żyją - podsumował Sigurdur Oli zmęczonym głosem. - Nie mam pojęcia, po co się za nimi uganiamy. Zupełnie jakbyśmy szukali duchów. Przecież nigdy nikogo z tych ludzi nie spotkamy, z nikim nie porozmawiamy. To wszystko są jakieś zjawy z opowieści grozy.

- Masz na myśli zieloną kobietę na wzgórzu? - spytał Erlendur.

- Elinborg powiada, że staruszek Robert widział ducha Solveig w zielonym płaszczu. Stąd wniosek, że rzeczywiście prowadzimy poszukiwania duchów.

- A nie korci cię, żeby się dowiedzieć, kto leży na wzgórzu z ręką uniesioną w obronnym geście, jakby został żywcem pogrzebany?

- Przez ostatnie dwa dni kisilem się w obskurnej piwnicy, więc jest mi to kompletnie obojętne - odparł szczerze Sigurdur Oli. - Bardziej obojętne nie mogłoby być - podkreślił jeszcze i rozłączył się.

Elinborg pożegnała Erlendura, kiedy wyszli od Huntera. Wezwano ją wraz z grupą policjantów do eskortowania zatrzymanego do sądu rejonowego w Reykjavíku. Chodziło o znanego biznesmena zamieszanego w kolejną wielką aferę narkotykową. Media wykazywały niegasnące zainteresowanie sprawą i dziennikarze zbierali się przed gmachem sądu, a tego dnia oprócz niego przewożono całą grupę przestępców, którzy mieli wysłuchać wyroków. Elinborg musiała się w krótkim czasie przygotować do zadania. Niewykluczone, że pokażą ją w wiadomościach telewizyjnych w relacji spod gmachu sądu, więc musi włożyć na siebie coś porządnego i przynajmniej umalować usta.

- Moje włosy! - jęknęła i nastroszyła je palcami.

Myśli Erlendura krążyły, jak zwykle zresztą, wokół Evy Lind, która leżała na OIOM-ie i nie dawała oznak życia. Rozpamiętywał ich kłótnię sprzed dwóch miesięcy, która miała miejsce w jego mieszkaniu. Działo się to jeszcze zimą. Śnieg leżał na ulicach, było ciemno i mroźno. Nie miał zamiaru kłócić się z córką. Nie miał zamiaru tracić panowania nad sobą. Ale ona absolutnie nie chciała przyznać mu racji. Jak zwykle zresztą.

- Nie masz prawa robić tego dziecku - powiedział, usiłując po raz kolejny przemówić jej do rozumu. Wyliczył sobie, że Eva jest w szóstym miesiącu. Kiedy się dowiedziała, że jest w ciąży, wzięła się w garść i po dwóch próbach wyglądało na to, że uda się jej wyjść z uzależnienia. Erlendur wspierał ją jak mógł, ale oboje wiedzieli, że jego wsparcie niewiele znaczy. Ich wzajemne relacje układały się w taki sposób, że im mniej okazywał, że mu na niej zależy, tym większe były szanse, że jej się uda. Eva Lind żywiła do swego ojca mieszane uczucia. Szukała jego towarzystwa, ale też o wszystko miała do niego pretensje. Miotła się z jednej skrajności w drugą i nie potrafiła znaleźć złotego środka.

- A co ty o tym wiesz? - zaatakowała. - Co ty wiesz o dzieciach? Ja też mam prawo do swojego dziecka. I mam zamiar je urodzić w spokoju.

Nie miał pojęcia, co wzięła. Czy były to narkotyki, czy alkohol, czy może jedno i drugie, ale kiedy otworzył jej drzwi i wpuścił do mieszkania, nie była sobą. Raczej osunęła się na sofę, niż na niej usiadła. Brzuch sterczał spod niezapiętej skórzanej kurtki, był już bardzo widoczny. Pod kurtką miała na sobie jedynie cienki T-shirt. A na dworze było co najmniej minus dziesięć stopni.

- Myślałem, że ty i ja już dawno ustaliliśmy...

- Nic już dawno - przerwała mu. - Nie ty i ja. Nic nie ustalaliśmy. Nic.

- Myślałem, że postanowiłaś dbać o swoje dziecko. Chronić je, żeby nic mu się nie stało. Trzymać je z daleka od trucizny. Miałaś to rzucić, ale pewno uważasz, że ciebie to nie dotyczy. Uważam, że troska o zdrowie własnego dziecka cię dotyczy.

- Zamknij się.



- Po co tu przysłałaś?  
- Nie mam pojęcia.  
- To sumienie. Prawda? To sumienie cię gryzie i uważasz, że mam obowiązek okazywać ci współczucie w tym twoim upodleniu. Dlatego tu przysłałaś. Żeby kazać sobie współczuć i oczyścić sumienie.

- Tak, właśnie, jeśli człowiek w ogóle chce mieć sumienie, to jest to idealne miejsce, święty pierdoło.

- Ale wybrałaś już imię dla dziecka. Pamiętasz? Jeżeli to będzie dziewczynka.

- Ty je wybrałaś. Nie ja. Ty. Jak wszystko zresztą. To ty o wszystkim decydujesz. Jak chcesz odejść, to po prostu odchodzisz, masz w dupie wszystkich innych.

- Ma mieć na imię Audur. Sama chciałaś.

- Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi? Myślisz, że nie przejrzałam cię na wylot? Srasz ze strachu... Wiem, co noszę w brzuchu. Wiem, że to jest stworzenie. Mały człowiek. Wiem. Nie musisz mi o tym przypominać. Nie musisz.

- To dobrze - odparł Erlendur. - Bo mnie się wydaje, że czasem o tym zapominasz. Zapominasz o tym, że teraz musisz już myśleć nie tylko o sobie. Nie tylko siebie odurzasz. Odurzasz siebie, a cierpi na tym dziecko. I to o wiele, wiele bardziej niż ty.

Zamilkł.

- Może to był błąd - odezwał się po chwili. - Że go nie wyskrobałaś.

Spojrzała na niego.

- Ty diable!

- Eva...

- Mama to mówiła. Dokładnie wiem, o co ci chodziło.

- O czym ty mówisz?

- I możesz zarzucać jej kłamstwo, mówić, że jest nikim, ale wiem, że to prawda.
  - Co? O czym ty mówisz?
  - Powiedziała mi, że temu zaprzeczysz.
  - Czemu zaprzeczę?!
  - Że mnie nie chciałeś.
  - Co?
  - Że mnie nie chciałeś. Kiedy wrobiłeś ją w ciążę.
  - Co ta twoja matka wygaduje?
  - Nie chciałeś mnie.
  - Ona kłamie.
  - Chciałeś, żeby poddała się aborcji...
  - To kłamstwo...
  - ...a teraz osądzasz mnie, choć ja staram się jak mogę. Zawsze mnie osądzasz.
  - To nieprawda. Nigdy nie braliśmy tego pod uwagę. Nie wiem, dlaczego ona powtarza ci te brednie, ale to nieprawda. Nigdy nie braliśmy tego pod uwagę. Nie rozmawialiśmy nawet na ten temat.
  - Wiedziała, że to powiesz. Uprzedziła mnie o tym.
  - Uprzedziła cię? Kiedy ci o tym powiedziała?
  - Kiedy się dowiedziała, że jestem w ciąży. Wtedy powiedziała, że chciałeś ją posłać na zabieg i że temu zaprzeczysz. Powiedziała, że powiesz to wszystko, co właśnie powiedziałeś.
- Eva Lind wstała i podeszła do drzwi.
- Eva, ona kłamie. Uwierz mi. Nie wiem, dlaczego mówi takie rzeczy. Wiem, że mnie nienawidzi, ale chyba nie aż tak. Nastawia cię przeciwko mnie. Przecież musisz to wiedzieć. Ale żeby mówić coś takiego to... to... po prostu świństwo. Możesz jej to powiedzieć.

- Sam jej to powiedz! - krzyknęła Eva Lind. - Jeśli masz jaja!

- To świństwo, że musiałaś tego wysłuchiwać. Żeby wymyślić coś takiego tylko po to, by popsuć nasze stosunki!

- Ale ja jej wierzę bardziej niż tobie.

- Eva...

- Zamknij się.

- Powiem ci, dlaczego to nie może być prawda.

Dlaczego nigdy bym nie mógł...

- Nie wierzę ci!

- Evo... Miałem...

- Stul pysk. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- To wyjdź stąd! - wybuchnął.

- Tak, jasne - powiedziała, żeby go jeszcze bardziej dotknąć. - Uwolnij się ode mnie.

- Wynocha!

- Jesteś obrzydliwy! - krzyknęła Eva Lind i wybiegła z mieszkania.

- Eva! - krzyknął za nią, ale już jej nie było.

Nie miał od niej żadnej wiadomości ani nie widział jej, dopóki nie zadzwoniła na jego komórkę, kiedy dwa miesiące później pochylał się nad spoczywającymi w ziemi kośćmi.

Erlendur siedział w aucie, palił papierosa i zastanawiał się, czy nie powinien był zareagować inaczej, przytępić ostrze gniewu i nie poszukać Ewy Lind, kiedy największa złość już mu minęła. Chciał jej powiedzieć, że matka kłamała, że nigdy nie sugerował aborcji. Nie potrafiłby. A nie czekać na sygnał alarmowy od córki. Nie była jeszcze

dostatecznie dojrzała, by stawić czoło temu wszystkiemu, nie rozumiała sytuacji, w której się znalazła, i nie zdawała sobie sprawy z ciężącej na niej odpowiedzialności. Własne ja przesłaniało jej oczy.

Dlatego Erlendur z obawą myślał o tym, że po przebudzeniu będzie musiał jej przekazać nowinę. Jeśli się przebudzi. Żeby czymś się zająć, wyciągnął telefon i zadzwonił do Skarphedinna.

- Okażcie mi trochę cierpliwości - powiedział archeolog. - I przestań pan ciągle do mnie wydzwaniać. Damy wam znać, kiedy odkopimy kości.

Wyglądało na to, że Skarphedinn przejął śledztwo; z każdym dniem robił się coraz bardziej arogancki.

- I kiedy to nastąpi?

- Trudno powiedzieć - odparł, a Erlendur oczyma duszy ujrział żółte zęby wystające spod wąsów. - To się dopiero okaże. Pozwólcie nam pracować w spokoju.

- Ale jedno może mi pan powiedzieć. Czy to mężczyzna, czy kobieta?

- Cierpliwość to cnota...

Erlendur rozłączył się. Właśnie zapalał kolejnego papierosa, kiedy zadzwoniła jego komórka. Jim z ambasady brytyjskiej. Edward Hunter i ambasada amerykańska odnaleźli listę z nazwiskami islandzkich pracowników intendencji i właśnie otrzymał faks. Sam nie znalazł nic na temat islandzkich pracowników z czasów, kiedy bazą rządili Brytyjczycy. Na liście znajdowało się dziewięć nazwisk i Jim przeczytał je wszystkie Erlendurowi. Ten niestety nie kojarzył żadnego z nich, więc podał Jimowi numer do komendy, by tam przefaksował listę.

Zajechał do dzielnicy Vogar i podobnie jak wcześniej zaparkował w pewnej odległości od sutereny, do której

kilka dni temu wtargnął w poszukiwaniu Ewy Lind. Czekal i zastanawiał się, co takiego jest w ludziach, co sprawia, że potrafią się zachować tak jak ten facet wobec tej kobiety i dziecka. Nie doszedł jednak do żadnego wniosku poza tym, co zwykle. Że ludzie to cholerni idioci. Nie wiedział, jakie żywi zamiary wobec tego człowieka. Nie wiedział, czy w ogóle chce coś zrobić poza tym, żeby go poobserwować z samochodu. Ale nie potrafił wyrzucić z pamięci śladów poparzeń na plecach dziewczynki. Mężczyzna nie przyznał się, by cokolwiek zrobił dziecku, a matka potwierdziła jego wersję, tak że władze niewiele mogły zrobić. Zabrały im tylko małą. Sprawa faceta znalazła się w prokuraturze. Być może zostanie skazany. Być może nie.

Erlendur zastanawiał się nad możliwościami. Niewiele ich było i wszystkie kiepskie. Gdyby facet przyszedł do domu w ów wieczór, kiedy on szukał Ewy Lind, a dziewczynka siedziała na podłodze z poparzonymi plecami, rzuciłby się na sadystę. Ale od tego czasu minęło kilka dni i nie mógł ot tak pobić faceta za krzywdę, którą wyrządził dziecku. Po prostu nie mógł podejść do gościa i zacząć go bić, choć najchętniej właśnie tak by postąpił. Wiedział też, że nie wolno mu z nim rozmawiać. Tacy ludzie gdzieś mieli groźby. Przecież ten drań roześmiałby mu się w twarz.

Przez bite dwie godziny siedział w zaparkowanym samochodzie i palił papierosy, ale nie zauważył niczego podejrzanego.

W końcu się poddał i pojechał do szpitala odwiedzić córkę. Próbował o tym zapomnieć, podobnie jak o wielu innych sprawach, które ostatnio musiał wyrzucić z pamięci.

## 20.

Kiedy Elinborg wróciła z sądu rejonowego, zadzwonił do niej Sigurdur Oli. Powiedział, że Beniamin najprawdopodobniej nie był ojcem dziecka, które nosiła jego narzeczona Solveig, i to właśnie doprowadziło do zerwania zaręczyn. A także że ojciec Solveig powiesił się po zniknięciu córki, a nie przed nim, jak twierdziła jej siostra Bara.

Elinborg zajrzała do urzędu statystycznego, gdzie przejrzała stare świadectwa zgonu, po czym pojechała do Grafarvogur. Nie lubiła, kiedy ją okłamywano, zwłaszcza gdy robiły to eleganckie panusie, którym się zdawało, że wszystko im wolno, i patrzyły na innych z góry.

Bara wysłuchiwała jej relacji o tym, co powiedziała Elsa o nieznanym ojcu dziecka Solveig, i nawet powieka jej nie drgnęła.

- Już pani to słyszała? - spytała Elinborg.

- Że moja siostra była szmatą? Nie, tego jeszcze nie słyszałam i nie rozumiem, dlaczego mi to pani mówi. Po tylu latach. Nie rozumiem. Powinna pani zostawić moją siostrę w spokoju. Nie zasługuje na plotki. Skąd ta cała... Elsa to wzięła?

- Od swojej matki - odparła Elinborg.  
- Która dowiedziała się o tym od Beniamina?  
- Tak. Tylko jej o tym powiedział, i to na łożu śmierci.

- Znaleźliście kosmyk jej włosów w jego domu? -  
Tak.  
- I wyślecie do badania razem z kośćmi?  
- Owszem.  
- Więc sądzicie, że to on ją zabił. Że Beniamin, ten tchórz, zamordował swoją narzeczoną. To niedorzeczne. Absolutnie niedorzeczne. Nie wiem, jak możecie coś takiego podejrzewać.

Bara urwała i zamyśliła się.

- I to wszystko opiszą w gazetach? - spytała nagle.  
- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Elinborg. - O kościach pisano dość dużo.

- Że moja siostra została zamordowana?  
- Jeśli śledztwo tego dowiedzie. Wie pani może, kto mógł być ojcem jej dziecka?

- Beniamin był jedynym.  
- Nigdy nie wspomniano o innym? Nigdy nie rozmawiała z panią o innym mężczyźnie?

Bara pokręciła głową.

- Moja siostra nie była szmatą.

Elinborg chrząknęła.

- Mówiła pani, że wasz ojciec popełnił samobójstwo na kilka lat przed pani siostrą.

Przez chwilę patrzyły sobie w oczy.

- Będzie najlepiej, jak pani sobie już pójdzie - oznajmiła Bara i wstała.

- To nie ja zaczęłam rozmowę o pani ojcu. Sprawdziłam jego akt zgonu w urzędzie statystycznym. Oni rzadko kłamią, w odróżnieniu od innych.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - powiedziała Bara, ale bez tej zaciętości co wcześniej.

- Chyba nie wspominałaby pani o nim, gdyby nie chciała mi tego powiedzieć. Tak w głębi duszy.

- Brednie! - wypluła z siebie Bara. - W psychologa się pani bawi, czy co?

- Zmarł sześć miesięcy po zaginięciu pani siostry. W akcie zgonu nie napisano, że popełnił samobójstwo. Nie wspomina się tam o przyczynie zgonu. Pewnie były to zbyt wysokie sfery, żeby wspomniano o samobójstwie. Napisano tylko: nagły zgon w domu.

Bara odwróciła się do niej plecami.

- Czy mogę mieć nadzieję, że zacznie mi pani mówić prawdę? - spytała Elinborg, która także się podniosła.

- Co ma z tą sprawą wspólnego pani ojciec? Dlaczego wspomniała pani o nim? Kim był ojciec dziecka Solveig? Czy to on nim był?

Kobieta nie zareagowała. W salonie cisza zapadła tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Elinborg rozejrzała się po wielkim pomieszczeniu, wszystkich pięknych bibelotach, portretach małżonków, drogich meblach, czarnym fortepianie, zdjęciu Bary z przewodniczącym Partii Ludowej na honorowym miejscu. Śmierć unosi się nad tymi ozdobami, pomyślała.

- Chyba każda rodzina ma jakieś tajemnice? - odezwała się w końcu Bara, wciąż odwrócona plecami do Elinborg.

- Przypuszczam, że tak - potwierdziła Elinborg.

- To nie mój ojciec - zaczęła z ociąganiem. - Nie wiem, dlaczego skłamałam na temat jego śmierci. Po prostu mi się wypsnęło. Jeśli chce pani udawać psychologa, to proszę założyć, że miałam zamiar wszystko pani



wygadać. Tak długo milczałam, że w końcu kiedy zaczęła pani wypytywać o Solveig, tama puściła. Nie wiem.

- To kto?

- Bratanek ojca - odparła Bara. - Z Fljot. To się stało podczas jednej z letnich wizyt.

- Jak się o tym dowiedzieliście?

- Była zupełnie inna, kiedy stamtąd wróciła. Mama... nasza matka od razu to zauważyła, a z czasem coraz trudniej było to ukryć.

- Opowiedziała waszej matce, co się wydarzyło?

- Tak. Ojciec pojechał do nich na północ. Nic więcej na ten temat nie wiem. Wrócił, a chłopaka wysłano z kraju. Mówiono o tym u nich na wsi. To było duże gospodarstwo, należące jeszcze do dziadka. A ich było tylko dwóch braci. Mój ojciec przeprowadził się do stolicy i założył firmę. Wzbogacił się. Był zwolennikiem Jónasa z Hrifla\*. Uwielbiał go.

Jónas Jonsson (1885-1968), członek islandzkiego parlamentu (Althing) w latach 1922-1949, uważany za jednego z autorów współczesnego podziału partyjnego na scenie politycznej Islandii. W latach 1933-1944 wiceprzewodniczący Islandzkiej Partii Postępowej, skupiającej bogatych farmerów.

- A co z bratankiem?

- Nic. Solveig powiedziała, że wziął ją siłą. Zgwałcił. Rodzice nie wiedzieli, co zrobić. Nie chcieli go oskarżać z obawy na nieuniknione przy tym konfrontacje i przesłuchania. Kilka lat później chłopak wrócił do kraju i zamieszkał w Reykjavíku. Założył rodzinę. Zmarł dwadzieścia lat temu.

- A Solveig i dziecko?

- Namawiano ją na aborcję, ale się nie zgodziła. Nie chciała zabijać dziecka. I któregoś dnia zniknęła.

Bara odwróciła się do Elinborg.

- Można powiedzieć, że ta letnia wizyta we Fljot sprowadziła zgubę na naszą rodzinę. Zniszczyła nasze więzi. I tak naprawdę to ona ukształtowała całe moje życie. Ta zabawa w chowanego. Rodzinna duma. Nic nie wolno było powiedzieć. Nigdy nie wolno było o tym wspominać. Matka tego pilnowała. Wiem, że rozmawiała z Beniaminem. Później. Wyjaśniła mu wszystko. W ten sposób śmierć Solveig stała się wyłącznie jej sprawą. Prywatną. Jej wyborem. Jej obsesją. Pozostali byli w porządku. Czyści i niewinni. A ona oszalała i utopiła się w morzu.

Elinborg patrzyła na Barę i nagle zaczęła jej współczuć. Zrozumiała, w jakim kłamstwie żyła cały czas.

- Sama musiała sobie z tym radzić - ciągnęła kobieta. - To nie była nasza sprawa. Wyłącznie jej.

Elinborg skinęła głową.

- To nie ona spoczywa na wzgórzu - zakończyła Bara. - Ona leży na dnie morza. Od ponad sześćdziesięciu okrutnych lat.

Po krótkiej rozmowie z lekarzem, który powiedział dokładnie to, co wcześniej - że stan Ewy Lind się nie zmienił i tylko czas pokaże, jak to się skończy, Erlendur usiadł przy jej łóżku. Siedział i zastanawiał się, co tym razem do niej mówić, ale nic mu nie przyszło do głowy.

Czas mijał. Na OIOM-ie panował spokój. Niekiedy tylko lekarz lub pielęgniarka mijali drzwi sali w miękkim, białym obuwiu, które leciutko poskrzypywało na wykładzinie PCW.

To skrzypienie.

Erlendur patrzył na córkę i mimo woli zaczął do niej mówić cichym głosem. Opowiadał jej o zniknięciu pewnego

człowieka, nad którym zastanawiał się od pewnego czasu i które być może kiedyś, pomimo upływu wielu lat, uda mu się w pełni zrozumieć.

Opowieść zaczął od małego chłopca, który wraz z rodzicami sprowadził się z prowincji do Reykjavíku i zawsze tęsknił za rodzinnymi stronami. Był zbyt młody, by zrozumieć, dlaczego przeprowadzili się do miasta, które wówczas jeszcze nie było miastem, lecz raczej sporych rozmiarów nadmorską osadą kupiecką. Potem zrozumiał, że decyzja ta miała wiele przyczyn.

Od pierwszej chwili nowy dom był dla niego obcy. Na wsi żył życiem prostym, wśród zwierząt, z dala od ludzi, życiem mierzonym łagodnymi okresami lat i ostrymi zimami, wśród rodzimych opowieści o nieustannym zmaganiu się z biedą i brakiem ziemi. Ludzie ci byli dla niego bohaterami. Opowieści o ich codziennym życiu wiejskim słyszał za młodu i znał je z doświadczenia. Krążyły one wśród ludzi przez lata, przez całe dziesięciolecia, opisywały niebezpieczne wyprawy, tragedie albo historie tak nieodparcie zabawne, że opowiadający pękali ze śmiechu. Wszystkie te sagi dotyczyły albo ludzi, których znał, wśród których żył, albo tych, którzy z pokolenia na pokolenie budowali tę gminę; stryjów i ciotek, babek i prababek, i pradziadów, i ich przodków. Znał tych wszystkich ludzi z opowiadań. Również tych dawno pochowanych na niedużym cmentarzu na tyłach wiejskiego kościołka, w tamtych latach jeszcze odwiedzanego; z opowiadań o akuszerkach przeprawiających się przez lodowcowe rzeki w drodze do rodzących kobiet; z opowiadań o gospodarzach ryzykujących życie, by uratować trzodę podczas gwałtownych nawałnic; z opowiadań o parobkach, którzy zaginęli w drodze do stajni; z

opowiadań o pijanych sługach bożych; z opowiadań o duchach i widziadłach; z opowiadań o życiu, które było częścią jego życia.

Wszystkie te opowieści przywiózł z sobą do stolicy, kiedy jego rodzice przeprowadzili się do miasta. Położoną tuż za miastem niewielką łąźnię żołnierzy brytyjskich z czasów wojny przerobili na mały domek, bo na nic innego nie było ich stać. Życie miejskie nie bardzo odpowiadało jego ojcu, który chorował na serce i wkrótce po przeprowadzce zmarł. Matka sprzedała łąźnię i kupiła małe mieszkanie w suterenie w pobliżu portu. Pracowała przy patroszeniu ryb. A on sam po ukończeniu szkoły nie wiedział, czym się zająć. Na dalszą naukę nie było go stać. Może też go to nie interesowało. Pracował jako robotnik. Na budowie. Poszedł na morze. Zobaczył ogłoszenie, że poszukuje się ludzi do pracy w policji.

Już nie słyszał żadnych opowieści. Gdzieś się zgubiły. Wszyscy jego krewni zniknęli, zapomniani i pogrzebani w wyludnionych gospodarstwach. On sam był rozbitkiem w mieście, do którego nie pasował. I choć pragnął wrócić, to nie miał dokąd. Zdawał sobie sprawę, że żaden z niego mieszczuch. Ale nie bardzo wiedział, kim jest. Nigdy nie pozbył się tęsknoty za innym życiem. Kiepsko się czuł pozbawiony korzeni. Podejrzewał, że ostatnie więzi z przeszłością stracił wraz ze śmiercią matki.

Zaglądał do lokali rozrywkowych. W Glaumbae poznał kobietę. Poznawał wiele kobiet, ale nigdy spotkania te nie prowadziły do niczego poza przelotnymi przygodami. Ta kobieta jednak była inna, bardziej zdecydowana, i miał wrażenie, że zaczyna nad nim dominować. Wszystko działo się tak szybko, że nie zdążył się w tym polapać. Była wobec niego zaborcza, a on się na to

godził, nawet sobie tego nie uświadamiając. Zanim się obejrzał, już się z nią ożenił i urodziła im się córka. Wynajęli małe mieszkanie. Kobieta miała wielkie plany na przyszłość, mówiła o dzieciach, kupnie mieszkania. Energiczna, pełna optymizmu, chciała bezpiecznego życia, któremu nic nigdy nie mogłoby zagrozić. Patrzył na nią i stopniowo docierało do niego, że w ogóle jej nie zna.

Doczekali się drugiego dziecka. A ona coraz bardziej odczuwała, że się od niej oddalił. Dopiero co cieszył się z narodzin syna, a już zaczął przebąkiwać, że wolałby to przerwać, odejść. Czowała to. Spytała go, czy jest jakaś inna kobieta, ale spojrzął na nią zdziwiony. Nie rozumiał pytania. Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Musi być jakaś inna, powtórzyła. To nie tak, odparł i zaczął jej mówić, jak się czuje i co myśli, ale nie chciała go słuchać. Mają dwoje dzieci, więc on nie może na serio mówić o tym, że ją opuści. Ich opuści. Własne dzieci.

Jego dzieci. Eva Lind i Sindri Snaer. Imiona, które ona dla nich wybrała. Nie odnalazł w sobie instynktu ojcowskiego i odpowiedzialność za dzieci coraz bardziej mu ciążyła. Wiedział, że ma wobec nich obowiązki, ale nie obchodziła go ani ich matka, ani ich wspólne życie. Oświadczył, że chce dbać o dzieci i że chce, by rozwód odbył się bez kłótni. Ona zaś powiedziała, że i owszem, kłótnie będą, wzięła na ręce Eve Lind i mocno przytuliła. Czuł, że będzie wykorzystywała dzieci, by go przy sobie zatrzymać, co z kolei wywoływało w nim jeszcze większy opór przed dzieleniem mieszkania z tą kobietą. Od samego początku było to jedno wielkie nieporozumienie i już dawno powinien był to przerwać. Nie wiedział, co przez cały ten czas sobie myślał, ale teraz musiał z tym skończyć.

Starał się przekonać żonę, by pozwoliła mu zajmować się dziećmi w wybrane dni tygodnia albo chociaż przez jakiś czas w ciągu miesiąca, ale twardo odmawiała. Złościwie twierdziła, że jeśli od niej odejdzie, już nigdy ich nie zobaczy. Już ona się o to postara.

Potem odszedł. Zniknął z życia dwuletniej dziewczynki, która siedziała owinięta w pieluchy i bawiąc się smoczkiem, patrzyła, jak jej tatuś wychodzi na zawsze. Mały, biały smoczek zaskrzypiał lekko, kiedy włożyła go do buzi.

- Źle się do tego zabraliśmy - stwierdził Erlendur.  
To skrzypnięcie.

Spuścił głowę. Myślał, że to pielęgniarka znów przechodzi pod drzwiami sali.

- Nie wiem, co się stało z tamtym człowiekiem - powiedział Erlendur cicho, niemal niesłyszalnie. Spojrzał na córkę. Jeszcze nigdy nie widział tak wielkiego spokoju malującego się na jej twarzy. Jej rysy stały się wyraźniejsze. Erlendur spojrzął na aparaturę podtrzymującą życie. A potem znów przeniósł wzrok na podłogę.

I tak minęła dłuższa chwila. Następnie wstał, pochylił się nad Eva Lind i pocałował ją w czoło.

- Zniknął i wydaje mi się, że jeszcze się nie odnalazł. Nie mam pewności, czy kiedykolwiek się odnajdzie. To nie twoja wina. To stało się jeszcze przed twoimi narodzinami. Myślę, że wciąż szuka siebie samego, ale tak naprawdę nie wie, dlaczego ani czego dokładnie poszukuje.

I pewno nigdy tego nie odnajdzie.

Popatrzył na córkę.

- Chyba że ty mu w tym pomożesz.

W blasku światła z niewielkiej lampki nocnej jej twarz przypominała zimną maskę.

- Wiem, że i ty go szukasz, i wiem, że jeśli ktokolwiek potrafi go odnaleźć, to właśnie ty.

Odwrócił się i już miał wyjść na korytarz, kiedy w drzwiach zauważył byłą żonę. Nie miał pojęcia, jak długo tam stała. Nie wiedział. Ile z tego, co powiedział Evie Lind, słyszała. Miała na sobie ten sam brązowy płaszcz narzucony na dres i buty na wysokim obcasie, co wyglądało dość groteskowo. Erlendur nie widział jej z bliska od ponad dwudziestu lat i teraz zauważył, jak bardzo się przez ten czas postarzała: jej rysy straciły wyrazistość, policzki obwisły i podbródek urósł.

- To, co powiedziałaś Evie Lind na temat aborcji, to obrzydliwe kłamstwo - aż kipiał z wściekłości.

- Daj mi spokój - powiedziała Halldora. Jej głos także się postarzał. Ochrypla. Za dużo papierosów. Za długo.

- I co jeszcze nakłamałaś dzieciom?

- Idź stąd - powiedziała, robiąc mu przejście w drzwiach.

- Halldora...

- Idź - powtórzyła. - Po prostu idź i daj mi spokój.

- Oboje chcieliśmy mieć te dzieci.

- Nie żałujesz tego? - spytała.

Erlendur nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

- Uważasz, że mają coś do zaoferowania światu?

- Co się stało? - zdziwił się Erlendur. - Jak to się stało, że się tak zmieniłaś?

- Idź - powtórzyła po raz kolejny. - To akurat potrafisz. Idź. Idź! Pozwól mi zostać z nią w spokoju.

Erlendur patrzył na nią zdumiony.

- Halldora...
- Idź, mówię ci! - podniosła głos. - Wynoś się stąd. Natychmiast! Nie chcę cię widzieć! Nie chcę cię więcej widzieć!

Erlendur przeszedł obok niej na korytarz, a ona zamknęła za nim drzwi.



## 21.

Wieczorem Sigurdur Oli zakończył przeszukiwanie piwnicy. Nie zdołał się dowiedzieć, kto jeszcze wynajmował od Beniamina domek na wzgórzu. Było mu to obojętne. Najważniejsze, że w końcu zakończył to szperanie. W domu czekała na niego Bergthora. Kupiła czerwone wino, stała w kuchni, sącząc je. Wzięła drugi kieliszek i podała mu.

- Nie jestem taki jak Erlendur - powiedział. - Nigdy nie mów o mnie tak źle.

- Ale przecież ty chcesz być taki jak on - odparła. Zrobiła spaghetti i zapaliła świeczkę w jadalni. Piękne otoczenie na egzekucję, pomyślał Sigurdur Oli. - Każdy facet chce być taki jak on - dodała.

- Aj, dlaczego tak mówisz?

- Chcecie być sami.

- Nie masz racji. Możesz sobie wyobrazić, jak koszmarnie jest życie Erlendura.

- Muszę raczej zgłębić się w nasz związek - uśmiechnęła się Bergthora, nalewając czerwonego wina do kieliszka Sigurdura Olego.

- W porządku, zgłębiajmy ten nasz związek. - Sigurdur Oli nie znał bardziej praktyczniejszej kobiety niż

Bergthora. Wiedział, że nie będzie to rozmowa na temat ich miłości.

- Jesteśmy razem od, zaraz, trzech czy czterech lat, i nic się nie dzieje. Nic. Jak tylko napomykam o czymś, co choćby lekko kojarzy się ze zobowiązaniem, natychmiast udajesz idiotę. Nadal mamy rozdzielność majątkową. Ślub kościelny jest chyba zupełnie nierealny; nie wiem, jak cywilny. Żyjemy na kocią łapę. W twoim umyśle dzieci są niczym odległe układy słoneczne. I człowiek zadaje sobie pytanie: co nam jeszcze zostało?

W jej głosie nie było gniewu. Na razie chciała chyba jedynie rozmawiać o ich wzajemnych relacjach i ustalić, w jakim kierunku zmierzają. Sigurdur Oli postanowił to wykorzystać, póki jeszcze była w dobrym nastroju. Miał dość czasu, by przemyśleć wszystko podczas wykonywania nudnego zadania w piwnicy.

- Zostaliśmy my - odparł. - My dwoje.

Odszukał płytę CD, włożył ją do odtwarzacza i nastawił piosenkę, która prześladowała go nieustannie od czasu, gdy Bergthora zaczęła naciskać na zwiększenie zobowiązań. Marianne Faithful śpiewała o Lucy Jordan, trzydziestosiedmioletniej gospodyni domowej, marzącej o tym, by mknąć po Paryżu w sportowym kabrioletcie i czuć orzeźwiający wiatr we włosach.

- Już dość długo o tym rozmawiamy - powiedział.

- O czym? - Bergthora wydawała się zaskoczona.

- O naszej podróży.

- Do Francji?

- No.

- Sigurdur...

- Pojedźmy do Francji i wynajmijmy sportowy kabriolet - zaproponował Sigurdur Oli.

Erlendur znajdował się w samym środku śnieżnej nawałnicy i niczego nie widział. Śnieg i kawałki lodu chłostały mu twarz, mróz i ciemność paraliżowały ruchy. Usiłował walczyć z burzą, lecz nie potrafił zrobić ani kroku naprzód. Odwrócił się tyłem do wiatru i skulił. Czekał, aż zasypie go śnieg. Wiedział, że umrze, ale nie na to nie mógł poradzić.

Odezwał się telefon. Dzwonek brzęczał natrętnie w zadymce, dopóki nagle nie zapanował spokój, burza nie ucichła, a Erlendur nie zbudził się w fotelu w salonie własnego mieszkania. Telefon dzwonił coraz głośniej. Nie dawał za wygraną.

Wstał zeszywniały, aby odebrać, lecz dzwonek nagle się urwał. Stał nad aparatem i czekał, aż znów się rozdzwoni, ale nic takiego się nie wydarzyło. Aparat był stary i nie wyświetlał numerów, Erlendur nie miał więc pojęcia, kto usiłował się z nim skontaktować. Pomyślał, że był to pewnie jakiś bezczelny telemarketer, chcący mu wcisnąć drogi odkurzacz i do tego toster gratis. Niemniej był mu wdzięczny za wyrwanie go z burzy śnieżnej.

W końcu poszedł do kuchni. Była dwudziesta. Usiłował przytłumić wiosenne światło, zaciągając zasłony, ale tu i ówdzie zakurzone promienie słoneczne przenikały do środka i rozjaśniały mrok panujący w mieszkaniu. Wiosna i lato nie były jego ulubionymi porami roku. Zbyt dużo światła. Zbyt dużo lekkości. Wolał ciężkie, ciemne zimy. Nie znalazł nic do jedzenia. Usiadł przy kuchennym stole i oparł policzek na dłoni.

Wciąż był otumaniony snem. Wrócił ze szpitala od Evy Lind około osiemnastej, usiadł w fotelu i zasnął. Spał do dwudziestej. Pamiętał burzę śnieżną ze snu, pamiętał, jak się odwraca plecami do wiatru i czeka na

śmierć. Często śnił ten sen, ale w różnych wersjach. Zawsze jednak występowała w nim przenikająca do szpiku kości mroźna burza śnieżna. Wiedział, jak skończyłyby się ten sen, gdyby nie przerwał go dźwięk telefonu.

Telefon znów zadzwonił i Erlendur zawahał się, czy w ogóle odbierać. W końcu jednak zwłókł się z krzesła, wszedł do salonu i podniósł słuchawkę.

- Erlendur?

- No - powiedział Erlendur i chrząknął. Od razu rozpoznał głos.

- Tu Jim, z ambasady. Przepraszam, że dzwonię do domu o tej porze.

- To ty przed chwilą dzwoniłeś?

- Przed chwilą? Nie. Teraz dopiero. Sprawa jest taka, że rozmawiałem z Edwardem Hunterem i postanowiłem natychmiast się z tobą skontaktować.

- A co, jest coś nowego?

- Bada dla ciebie kilka spraw i chciałem po prostu być na bieżąco. Zadzwonił do Stanów i przejrzał swój dziennik, rozmawiał także z jakimiś ludźmi. Chyba już wie, kto doniósł o tych kradzieżach w bazie.

- Kto taki?

- Tego mi nie powiedział. Poprosił, żebym dał ci znać i przekazał, że czeka na ciebie.

- Dzisiaj wieczorem?

- Tak... nie, z samego rana. Może nawet lepiej z rana. Mówił, że idzie spać. Wcześniej się kładzie.

- To był Islandczyk? Ten, który doniósł?

- On ci to powie. Dobranoc i przepraszam za ten telefon. - Jim rozłączył się i Erlendur odłożył słuchawkę.

Stał jeszcze chwilę przy aparacie i ten znów zadzwonił. Skarphedinn. Był akurat na wzgórzu.

- Jutro odkopimy kości - powiedział bez żadnych wstępów.

- Najwyższy czas - ucieszył się Erlendur. - To pan dzwonił przed chwilą?

- Tak, a co, dopiero pan wszedłeś?

- Tak - skłamał Erlendur. - Znaleźliście tam coś interesującego?

- Nie, nic, czym mógłbym się teraz pochwalić... dobry wieczór, dobry, ehmm, proszę pozwolić sobie pomóc, o tak... zaraz, przepraszam, o czym to mówiliśmy?

- Że jutro z rana odkopiecie kości.

- Tak, spodziewam się, że gdzieś pod wieczór. Nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby stanowić wskazówkę, w jaki sposób ciało znalazło się pod ziemią. Może znajdziemy coś pod szkieletem.

- To do jutra.

- Cześć.

Erlendur odłożył słuchawkę. Jeszcze się całkiem nie obudził. Myślał o Evie Lind. Zastanawiał się, czy docierało do niej coś z tego, co mówił. Myślał też o Halldorze i nienawiści, jaką wciąż do niego żywiła mimo upływu tylu lat. Chyba z milion razy wyobrażał sobie, jak wyglądałoby jego życie, gdyby nie zdecydował się odejść. Nigdy jednak nie doszedł do żadnego wniosku.

Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Pojedyncze promyki słoneczne przebijały się do salonu spod zasłon, przeklinając panującą u niego ciemność. Patrzył w głąb zasłon. Były grube, welwetowe i sięgały aż do podłogi. Grube, zielone zasłony, niewpuszczające do domu wiosennego światła.

Dobry wieczór.

Dobry.

Proszę pozwolić sobie pomoc...

Erlendur widział ciemnozieloną barwę zasłon.

Krzywa.

Zielona.

Co też ten Skarphedinn...? Erlendur zerwał się na równe nogi i chwycił słuchawkę. Nie pamiętał numeru, ale zadzwonił do informacji, gdzie mu go podano. Następnie wykręcił numer archeologa.

- Skarphedinn? Skarphedinn? - wykrzykiwał w słuchawkę.

- Co? A, to pan.

- Do kogo mówił pan przed chwilą dobry wieczór? Komu chciał pan pomóc?

- Co?

- Z kim pan rozmawiał?

- Z kim? Co pan taki podniecony?

- No. Kto tam jest z panem?

- Chodzi o to, z kim się witałem?

- To nie jest audiotele. Nie widzę przecież, co pan tam robi na wzgórzu. Słyszałem, że mówił pan komuś dobry wieczór. Kto tam z panem jest?

- Nie ze mną. Gdzieś poszła, czekaj pan, jest koło krzewów.

- Krzewów? Chodzi o porzeczeki? Jest koło porzeczek?!

- No.

- Jak wygląda?

- Jest... A zna ją pan? Co to za kobieta? Coś się pan tak straszliwie podniecił?

- Jak ona wygląda? - powtórzył Erlendur, usiłując się opanować.

- Spokojnie.

- Ile ma lat?

- Ile lat?
- Niech mi pan powie, ile pańskim zdaniem ona może mieć lat!
- Koło siedemdziesiątki. Nie, może nawet osiemdziesiątki. Trudno powiedzieć.
- A jak jest ubrana?
- Ubrana? Ma na sobie długi, zielony płaszcz, sięgający aż do ziemi. Jest mojego wzrostu. I kuleje.
- Kuleje?
- Utyka. Ale jest jeszcze coś. Jest jakaś taka, nie wiem...
- Co?! Co! Co pan chce powiedzieć?
- Nie wiem, jak to opisać... ja... ona wygląda, jakby była jakaś taka krzywa.

Erlendur rzucił słuchawkę na widelki i wybiegł z mieszkania, zapomniawszy powiedzieć Skarphedinnowi, by za wszelką cenę zatrzymał kobietę na wzgórzu.

Dave nie pojawiał się u nich już od kilku dni, kiedy niespodziewanie do domu wrócił Grimur.

Mroźny, jesienny wiatr z północy zawiął ziemię cienką warstewką śniegu. Na wzgórzu wyrastającym wysoko ponad poziom morza zima zapadała wcześniej niż na nizinie, gdzie leżał Reykjavik, przypominający coraz bardziej prawdziwe miasto. Simon i Tomas rano jeździli do Reykjaviku szkolnym autobusem, a pod wieczór wracali. Matka codziennie udawała się do pracy w Gufunes. Doglądała w gospodarstwie krów mlecznych i wykonywała codzienne prace przy zwierzętach. Z domu wychodziła przed chłopcami, ale kiedy wracali ze szkoły, zawsze na nich czekała. Mikkelina całymi dniami przesiadywała w kuchni. Samotność strasznie jej doskwierała.

Kiedy matka wracała z pracy, dziewczyna nie była w stanie opanować radości, która była jeszcze większa, gdy w domu zjawiali się Simon i Tomas i rzucali w ką zeszty.

Często gościł u nich Dave. Coraz łatwiej przychodziło im się porozumieć, matce i jemu. Całymi godzinami przesiadywali przy stole w kuchni, szukając wytchnienia od chłopców i Mikkeliney. Kiedy zaś bardzo pragnęli spokoju, zdarzało się, że szli do sypialni i zamykali za sobą drzwi.

Simon widział czasem, jak Dave gładzi ich matkę po policzku albo odgarnia za ucho włosy, które opadły jej na czoło. Albo głaszcze ją po dłoni. Chodzili także na długie spacery wzdłuż jeziora Reynisvatn i na inne wzgórza, a niekiedy zapuszczali się nawet do doliny Mosfellsdalur albo nad wodospad Helgufoss. Brali wtedy z sobą prowiant, bo taka wycieczka mogła zająć cały dzień. Czasami zabierali też dzieci. Dave niósł Mikkelinę na plecach jak wiązkę chrustu. Takie wyprawy nazywał piknikami. Simon i Tomas uważali to słowo za śmieszne i powtarzali je po nim, gdacząc niby kury „pik-nik, pik-nik, pik-nik”.

Czasem podczas takich pikników albo w domu, w kuchni, Dave i matka bardzo poważnie ze sobą rozmawiali, raz nawet w sypialni. Simonowi zdarzyło się wtedy otworzyć drzwi. Siedzieli na łóżku. Dave trzymał matkę za rękę. Oboje spojrzeli w kierunku drzwi i uśmiechnęli się do Simona. Nie wiedział, o czym rozmawiają, ale to nie mogło być nic przyjemnego, bo znał minę matki i wiedział, kiedy jest jej źle.

I pewnego zimnego jesiennego dnia wszystko się skończyło.

Wczesnym rankiem do domu wrócił Grimur. Matka wyszła już do pracy w gospodarstwie w Gufunes, a



Simon i Tomas szli właśnie do szkolnego autobusu. Na wzgórzu panował przenikliwy ziąb. Natknęli się na Grimura, który podążał ścieżką do domu, szczególnie otulając się przed północnym wiatrem wyświechtaną marynarką. Nawet na nich nie spojrzął. Oni nie widzieli dobrze jego twarzy w jesiennej szarudze, ale Simon wyobraził sobie jego minę, hardą i chłodną. Szedł w kierunku domu. Chłopcy spodziewali się już jego powrotu. Matka powiedziała im, że odsiedział wyrok za kradzież i wraca. Że może to nastąpić w każdej chwili.

Simon i Tomas patrzyli, jak Grimur zbliża się do domu, po czym spojrzeli na siebie. Obaj pomyśleli to samo. Mikkeline została sama. Budziła się, kiedy matka i chłopcy wstawali, ale potem zawsze zasypiała i spała dłużej. Sama będzie musiała przyjąć Grimura. Simon usiłował przewidzieć jego reakcję, kiedy się dowie, że matki nie ma w domu, chłopców zresztą też, za to jest sama Mikkeline, której całe życie nienawdził.

Autobus szkolny czekał już na nich na przystanku. Zatrąbił dwa razy. Kierowca zauważył chłopców na wzgórzu, ale nie mógł już dłużej czekać i odjechał. Znikł w dole. Chłopcy stali w tym samym miejscu bez słowa, po czym powoli skierowali się do domu.

Nie chcieli zostawiać Mikkelinej samej z Grimurem.

Simon zastanawiał się, czy nie pobiec po matkę albo nie wysłać Tomasa, ale pomyślał, że nie ma potrzeby przyspieszać ich spotkania; matka zasłużyła na ostatni dzień spokoju. Widzieli, jak Grimur wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi. Biegiem ruszyli w kierunku budynku. Nie wiedzieli, czego się spodziewać. Myśleli wyłącznie o tym, że Mikkeline śpi w łóżku małżeńskim, gdzie pod żadnym pozorem nie wolno jej było się znaleźć.

Otworzyli ostrożnie drzwi i wślizgnęli się do środka, Simon pierwszy, Tomas tuż za nim, trzymając się jego ręki. Weszli do kuchni i zauważyli Grimura stojącego przy zlewie. Był odwrócony do nich plecami. Pociągnął nosem i splunął. Zapalił lampę nad kuchennym stołem i poza kręgiem światła widzieli tylko zarys jego sylwetki.

- Gdzie jest wasza matka? - spytał wciąż zwrócony do nich plecami. Simon pomyślał, że mimo wszystko musiał ich zauważyć po drodze do domu i słyszeć, jak wchodzą do środka.

- W pracy - odparł Simon.

- W pracy? A gdzie? Gdzie pracuje? - ciągnął dalej przesłuchanie.

- W gospodarstwie mleczarskim w Gufunes - odpowiedział Simon.

- To nie wiedziała, że ja dzisiaj wracam? - Grimur odwrócił się do nich i wszedł w krąg światła. Bracia patrzyli, jak wyłania się z ciemności po długiej, aż od wionosny, nieobecności. Ich oczy zrobiły się ogromne jak spodki, gdy w bladej poświacie ujrzeli jego twarz. Grimurowi coś się stało. Na policzku miał bliznę po oparzeniu, sięgającą aż do oka, a oko było w półprzymknięte, bo powieka wtopiła się w skórę.

Uśmiechał się.

- Nie podoba się wam tatuś?

Bracia patrzyli na wykoślawioną twarz.

- Gotują kawę, a potem chlustają człowiekowi w twarz.

Podszedł bliżej.

- Nie dlatego że chcą, by człowiek się wygadał. Już wszystko wiedzą, bo ktoś im powiedział. To nie dlatego oblewają gorącą kawą. To nie dlatego niszczą człowiekowi twarz.

Chłopcy nie rozumieli, o co mu chodzi.

- Idź po matkę - rozkazał Grimur i spojrział na Tomasa, schowanego za plecami brata. - Idź do tej pierdolonej obory i przyprowadź mi tu tę krowę.

Simon kątem oka zauważył ruch w korytarzu prowadzącym do sypialni, ale nie miał odwagi tam zajrzeć. Mikkelina wyszła z łóżka. Umiała już stąpać jedną nogą i mogła się przemieszczać, podpierając, ale nie miała odwagi wejść do kuchni.

- Jazda! - wrzasnął Grimur. - No już!

Tomas skulił się. Simon nie miał pewności, czy brat trafi. Tomas tylko raz, może dwa razy był latem z matką w gospodarstwie, ale teraz było ciemno, zimno, a Tomas przecież był jeszcze dzieckiem.

- Ja pójdę - zaproponował Simon.

- Nigdzie się nie ruszysz - warknął Grimur. - A ty jazda! - krzyknął do Tomasa, który puścił ramię brata, otworzył drzwi, wyszedł na ziąb i zamknął je szczelnie za sobą.

- Chodź, Simonie, usiądź koło mnie - powiedział Grimur. Wyglądało na to, że gniew mu już minął.

Simon wolno zbliżył się do krzesła i usiadł. Znowu zauważył ruch w korytarzu prowadzącym do sypialni. Miał nadzieję, że Mikkelina tu nie wejdzie. W korytarzyku znajdował się nieduży schowek i Simon pomyślał, że mogłaby się tam ukryć, a wtedy Grimur by jej nie zauważył.

- Nie tęskniłeś za tatusiem? - spytał Grimur, zajmując miejsce naprzeciwko Simona. Chłopiec nie mógł oderwać wzroku od blizny. Skinął głową.

- Co tu się działo u was latem? - spytał Grimur, a Simon patrzył na niego bez słowa. Nie wiedział, od czego ma zacząć kłamstwa. Nie mógł przecież powiedzieć o Davie, o jego wizytach i tajemniczych rozmowach z

matką, o spacerach, piknikach. Nie mógł powiedzieć, że wszyscy spali w jednym łóżku, zawsze. Nie mógł opowiedzieć o tym, jak matka się zmieniła od czasu, gdy zabrano stąd Grimura, i że to wszystko dzięki Dave'owi. Że Dave na nowo przebudził ją do życia. Nie mógł opowiedzieć o tym, jak codziennie rano szykowała się do wyjścia. O jej zmienionym wyglądzie. O tym, jak z każdym dniem spędzonym z Dave'em stawała się coraz piękniejsza.

- Co, nic? - dziwił się Grimur. - Nic się u was nie działo przez całe lato?

- No, to... pogoda była ładna - odparł Simon nieprzekonująco, wciąż nie spuszczać wzroku z blizny na twarzy Grimura.

- Ładna pogoda, Simonie. Była ładna pogoda - powtórzył Grimur. - I ty bawiłeś się na naszym wzgórzu i koło baraków. Znasz kogoś z baraków?

- Nie - błyskawicznie zaprzeczył Simon. - Nikogo. Grimur uśmiechał się.

- W lecie nauczyłeś się kłamać. Ależ to niebywałe, jak człowiek szybko uczy się kłamać. Nauczyłeś się w lecie kłamać, Simonie?

Dolna warga Simona zaczęła się trząść. Była to nieświadoma reakcja, na którą chłopiec nie miał najmniejszego wpływu.

- Tylko jednego - odparł. - Ale nie znam go szczególnie dobrze.

- Jednego znasz. No widzisz. Człowiek nigdy nie powinien kłamać, Simonie. Jeśli człowiek będzie kłamał tak jak ty, to z tego będą tylko kłopoty. I na innych też może ściągnąć kłopoty.

- Tak - zgodził się Simon w nadziei, że to się wkrótce skończy. Chciał, żeby do kuchni weszła Mikkelinea

i im przeszkodziła. Zastanawiał się nawet, czy nie powiedzieć Grimurowi, że siostra stoi na korytarzu i że spała w jego łóżku.

- A kogo znasz w barakach? - ciągnął Grimur. Simon czuł, jak coraz głębiej i głębiej zapada się w śnieg.

- Tylko takiego jednego - odparł.

- Tylko takiego jednego - powtórzył Grimur, dotknął policzka i ostrożnie podrapał się w bliznę. - 1 kto jest tym takim jednym? Cieszę się, że nie ma ich więcej, tylko jeden.

- Nie wiem. Czasami łowi ryby w jeziorze. Daje nam pstrągi, które złowi.

- I dla was, dzieci, jest dobry?

- Nie wiem - powiedział Simon, choć przecież Dave był najlepszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkał. W porównaniu z Grimurem Dave był aniołem zesłanym z niebios, żeby uratować jego matkę. Gdzie jest Dave, zastanawiał się. Jakżeby chciał, żeby teraz tu przyszedł. Pomyślał o Tomasiu na mrozie, idącym do Gufunes, i o matce, która jeszcze nie wie, że Grimur wrócił na wzgórze. I pomyślał o Mikkelinie w korytarzu.

- Często do was zagląda?

- Nie, tylko czasami.

- A przychodził, zanim wsadzili mnie do mamra? Simonie, kiedy człowieka wsadzą do mamra, to znaczy, że zamykają go w więzieniu. Ale to wcale nie znaczy, że człowiek popełnił jakiś brzydki czyn, tylko że jest zamknięty w więzieniu. W mamrze. Ale oni nie potrzebowali dużo czasu. Mówili dużo o przykładowym ukaraniu. Islandczykom nie wolno okradać wojska. Poważna sprawa. Tak, musieli mnie osądzić surowo i szybko. Tak, żeby inni nie zaczęli mnie naśladować i też nie zaczęli kraść. Rozumiesz? Wszyscy mieli się uczyć na moim

błędzie. Ale przecież wszyscy kradną. Nie tylko ja. Wszyscy robią to samo i wszyscy zarabiają. Przychodził tu, zanim wsadzili mnie do mamra?

- Kto?

- Ten żołnierz. Czy przychodził tutaj, zanim wsadzili mnie do mamra? Ten taki jeden.

- Czasem łowił w jeziorze ryby, zanim poszedłeś.

- I dawał waszej mamie pstrągi, które złapał? - Tak.

- A dużo pstrągów łapał?

- Czasami. Ale i tak marny z niego wędkarz. Tylko palił papierosy nad jeziorem. Ty łapiesz o wiele więcej. W sieci też. Bardzo dużo łapiesz w sieci.

- I kiedy dawał twojej matce pstrągi, to zachodził do domu? Wstępował na kawę? Siadał tutaj przy stole?

- Nie - odparł Simon i zastanowił się, czy czasem nie kłamie tak, że to widać, ale nie doszedł do żadnego wniosku. Bał się bardzo, był zagubiony, wargi mu się trzęsły. Trzymał palec przy ustach, starał się udzielać takich odpowiedzi, jakich jego zdaniem, by oczekiwał Grimur, choć z drugiej strony nie takich, żeby zaszkodzić matce. Nie chciał zdradzić czegoś, czego Grimur nie powinien wiedzieć. Simon poznawał nową twarz Grimura. Nigdy wcześniej tak dużo z nim nie rozmawiał i to go zupełnie zaskoczyło. Był w rozterce. Nie bardzo się orientował, czego Grimur nie powinien wiedzieć, ale przede wszystkim musiał spróbować uchronić matkę przed najgorszym.

- Nigdy nie zachodził tutaj do kuchni? - spytał Grimur. Głos mu się zmienił, już nie był tak podstępny i miękki, lecz twardszy i bardziej zdecydowany.

- Tylko dwa razy, czy coś.

- I co wtedy robił?

- Nic specjalnego.

- Aha, nic specjalnego. Czyżbyś znowu zaczął kłamać?

Tak? Znowu zacząłeś mnie okłamywać? Wracam tu z miejsca, gdzie się nade mną znęcano przez wiele miesięcy, i jedyne, co mnie spotyka, to kłamstwa. Znowu próbujesz mnie okłamywać?

Pytania chłostały Simona niczym bicz.

- A co robiłeś w więzieniu? - spytał niepewnie w wątlej nadziei, że uda się porozmawiać o czymś innym niż o Davie i matce. Dlaczego Dave nie przychodzi? Nie wie, że Grimura wypuścili z więzienia? Czy on i matka nie rozmawiali wówczas, gdy Dave gładził ją po dłoni i poprawiał jej włosy?

- W więzieniu? - zastanowił się Grimur i głos znów mu się zmienił. Ponownie zabrzmiał podstępnie i miękko. - W więzieniu słuchałem opowieści. Różnych opowieści. Tyle różnych rzeczy człowiek słyszy i tyle rzeczy chce usłyszeć, bo nikt go nie odwiedza. A jak człowiek nie ma żadnych wiadomości z domu poza tym, co słyszy w więzieniu, bo przecież do więzienia ciągle przychodzą ludzie i człowiek poznaje strażników, którzy to i owo mu powiedzą, to wtedy ma niezwykle dużo czasu, żeby przemyśleć te wszystkie opowieści.

Na korytarzu leciutko zatrzeszczała deska podłogowa i Grimur umilkł nagle, lecz po chwili znów zaczął mówić, jak gdyby nic się nie stało.

- Ty oczywiście jesteś już w takim wieku, czekaj no, ile ty właściwie masz lat, Simonie?

- Czternaście, ale niedługo skończę piętnaście.

- No to już normalnie będziesz dorosły, więc może zrozumiesz, o czym rozmawiają dorośli. Człowiek słyszy o tych wszystkich islandzkich dziewczynach, które puszczają się z żołnierzami. Zupełnie jakby nie mogły się

opanować, jak tylko zobaczą chłopą w mundurze. I jeszcze człowiek słyszy, jacy to z nich dżentelmeni, jak to otwierają im drzwi, jacy to są kulturalni, jak to chcą z nimi tańczyć i nigdy się nie upijają, i zawsze mają papierosy i kawę, i różne inne rzeczy, i pochodzą z takich miejsc, w które one by chciały pojechać. A my, Simonie, my jesteśmy kmiotami. Wieśniakami jesteśmy, Simonie, na których dziewczyny nawet nie chcą patrzeć. Dlatego chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o tym żołnierzu, który łowi ryby w jeziorze, ale na razie mnie rozczarowałeś, Simonie.

Simon patrzył na Grimura i czuł, jak siły opuszczają jego ciało.

- Tak, dużo słyszałem o tym żołnierzu na wzgórzu, a ty go w ogóle nie kojarzysz. No, chyba że mnie okłamujesz. A to nieładnie okłamywać własnego tatę, kiedy żołnierz codziennie przychodzi w odwiedzin i przez całe lato zabiera jego żonę na spacer. Ty nic o tym nie wiesz?

Simon milczał.

- Ty nic o tym nie wiesz? - powtórzył Grimur.

- Czasami chodzili razem na spacer - odparł Simon, a łzy napłynęły mu do oczu.

- Widzisz - pochwalił go Grimur. - Wiedziałem, że jeszcze jesteście przyjaciółmi. A ty czasem z nimi chodzileś?

To się chyba nigdy nie skończy. Grimur przyglądał mu się zwrócony poparzoną twarzą z półprzymkniętym okiem. Simon czuł, że już dłużej nie jest w stanie mu się opierać.

- Czasem szliśmy nad jezioro i on zabierał jedzenie. Takie, jak ty przynosiłeś do domu. W puszkach, które się otwiera kluczem.

- I całował wtedy twoją matkę? Nad jeziorem?



- Nie - zaprzeczył Simon, zadowolony, że tym razem nie musi kłamać. Nigdy nie widział, żeby Dave całował matkę.

- To co w takim razie robili? Trzymali się za ręce? I co ty sam robiłeś? Dlaczego pozwalałeś temu człowiekowi chodzić z twoją matką na spacerów nad jezioro? Nigdy nie przyszło ci do głowy, że ja może sobie tego nie życzę? Nie przyszło ci to do głowy?

- Nie - wyszeptał Simon.

- O mnie nikt nie myślał podczas tych spacerów. Prawda?

- Nie - potwierdził Simon.

Grimur wychylił się w krąg światła, tak że uwydatniła się czerwona blizna po oparzeniu.

- Jak się nazywa człowiek, który kradnie rodzinę innym ludziom i myśli, że to w porządku, i nikt nic nie robi?

Simon nie odpowiedział.

- Jak nazywa się człowiek, który zabiera bliźniemu żonę i myśli, że to w porządku?

Simon wciąż milczał.

- Ten, który chlusnął kawą, Simonie, ten, który mi tak oszpecił twarz, wiesz, jak on się nazywa?

- Nie - szepnął niemal niesłyszalnie Simon.

- On nie poszedł do mamra, choć rzucił się na mnie i mnie poparzył. I co ty na to? Tym żołnierzom wydaje się, że są święci. Ty uważasz, że są święci?

- Nie - odparł Simon.

- A czy może twoja matka przytyła tego lata? - spytał Grimur, jakby nagle strzelił mu do głowy nowy pomysł. - Nie dlatego że jest krową w oborze w Gufunes, Simonie, ale dlatego że chodzi na spacerów z żołnierzami z baraków. Czy twoim zdaniem przytyła latem?

- Nie.  
- A ja i tak uważam, że to możliwe. Ale to się okaże później. Ten człowiek, który mnie oblał. Wiesz, jak się nazywa?

- Nie - powiedział Simon.  
- Niesłusznie uważał, nie wiem zresztą skąd, że nie jestem dobry dla twojej matki. Że robię jej krzywdę. Ale sam przecież wiesz, że czasem musiałem ją trochę skarcić. Ten człowiek wiedział o tym, ale nie chciał tego zrozumieć. Nie rozumiał, że czasem takim babom jak twoja matka trzeba pokazać, kto rządzi, kto jest ich mężem i jak się mają zachowywać. Nie potrafił zrozumieć, że czasem człowiek musi je trochę utemperować. Był wściekły, kiedy ze mną rozmawiał. Rozumiem trochę po angielsku i miałem dobrych przyjaciół w barakach, więc większość z tego, co mówił, rozumiałem. Był na mnie wściekły z powodu twojej mamy.

Simon nie potrafił oderwać wzroku od blizny.

- Ten człowiek, Simonie, miał na imię Dave. A teraz nie chcę, żebyś mnie okłamywał; czy to możliwe, by żołnierz, który jest taki dobry dla twojej matki, który przez całą wiosnę, lato, aż do jesieni tak twojej matce nadskakiwał, czy to możliwe, by miał na imię Dave?

Simon zastanawiał się, nie odrywając wzroku od blizny.

- Już oni się nim zajmą - powiedział Grimur.  
- Kto się kim zajmie? - Simon nie bardzo rozumiał, co Grimur ma na myśli, ale to nie mogło być nic dobrego.

- Szczurzyca łązi po korytarzu? - Grimur wskazał głową w kierunku korytarza.

- Co? - Simon nie zorientował się, o co chodzi.

- Debilka. Myślisz, że nas podsłuchuje?

- Nie wiem, gdzie jest Mikkeline - odparł Simon.  
Było w tym trochę prawdy.

- Simonie, czy on ma na imię Dave?

- Możliwe, że tak - odparł Simon ostrożnie.

- Możliwe, że tak? Nie jesteś pewien. A jak się do niego zwracasz, Simonie? Kiedy z nim rozmawiasz albo może kiedy cię przytula i głaszcze, jak wtedy do niego się zwracasz?

- On mnie nigdy nie głaskał...

- Jakie to imię?

- Dave - pęknął Simon.

- Dave! Dziękuję ci, Simonie.

Grimur odchylił się na oparcie krzesła, cofając twarz z kręgu światła. Głos zrobił się cichszy.

- Bo ja słyszałem, że on pierdoli twoją matkę.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Weszła matka, prowadząc za sobą Tomasa. Zimne powietrze, które wpadło przy otwarciu drzwi, wywołało dreszcz na spocynych plecach Simona.

## 22.

Erlendur zjawił się na wzgórzu w piętnaście minut po zakończeniu rozmowy ze Skarphedinnem.

Nie miał przy sobie komórki. W przeciwnym razie zadzwoniłby z samochodu i poprosił archeologa o zatrzymanie kobiety do jego przyjazdu. Wiedział, że to musi być ta sama kobieta, którą Robert widywał w okolicy krzaków porzeczek; krzywa, zielona kobieta.

Na ulicy Miklabraut ruch był niewielki, szybko wjechał więc w górę Artunsbrekka, potem skierował się obwodnicą na zachód, a następnie skręcił w drogę na wzgórzu. Stanął przy wykopie pod fundament niedaleko wykopaliska. Skarphedinn już odjeżdżał, ale zatrzymał samochód. Erlendur wysiadł, a archeolog opuścił szybę.

- Co, tak raz-dwa i już pan jesteś? Dlaczego pan rzuciłeś słuchawkę? Coś się stało? Co to za mina?

- Ona tu jeszcze jest? - spytał Erlendur.

- Ona?

Erlendur zerknął w kierunku krzewów i wydało mu się, że zauważył tam jakiś ruch.

- To ona, tam? - spytał, mrużąc oczy. Nie bardzo widział z tej odległości. - Kobieta w zielonym płaszczu. Dalej tu jest?

- Tak, stoi tam - powiedział Skarphedinn. - Co się dzieje?

- Później wszystko powiem - rzucił Erlendur i ruszył w kierunku krzewów. Im był bliżej, tym wyraźniej je widział. Wreszcie na tle płamy krzaków zaczął rozróżniać jakieś kształty. Przyspieszył nieco kroku, jakby w obawie, że kobieta zniknie. Stała przy nagich krzakach, trzymając jedną z gałązek, i patrzyła na północ, na górę Esja. Wydawała się głęboko zamyślona.

- Dobry wieczór - powiedział Erlendur, zbliżywszy się do niej na odległość głosu.

Kobieta odwróciła się. Wcześniej go nie zauważyła.

- Dobry wieczór - odrzekła.

- Piękny mamy dziś wieczór - powiedział Erlendur, żeby jakoś rozpocząć rozmowę.

- Wiosna to zawsze był najpiękniejszy czas tutaj, na wzgórzu - odparła kobieta. Widać było, że mówienie przychodzi jej z trudem. Głowa jej się trzęsła i Erlendur odniósł wrażenie, że nieznajoma koncentruje się na każdym słowie z osobna i z trudem je dobiera. Jedną rękę schowała w rękawie. Na nodze miała but ortopedyczny, widoczny spod długiego, zielonego płaszcza. Przechylała się nieco na lewo, jakby miała krzywy kręgosłup. Mogła mieć koło osiemdziesięciu lat. Siwe, gęste włosy, opadające na ramiona, podkreślały jej czerstwy wygląd. Twarz sympatyczna, choć smutna. Erlendur zauważył, że głowa trzęsie jej się nie tylko wtedy, kiedy mówi. Zupełnie jakby wstrząsały nią regularne skurcze. Wyglądało na to, że

nie jest w stanie ich opanować.

- Pani jest stąd, ze wzgórza? - spytał Erlendur.

- A teraz już sięga tu miasto - rzekła, nie odpowiadając na jego pytanie. - Nigdy by się człowiek tego nie spodziewał.

- Tak, to miasto rozpełza się na wszystkie strony - przytaknęła Erlendur.

- Pan prowadzi śledztwo w sprawie znalezionych kości? - spytała niespodziewanie.

- Tak - potwierdził Erlendur.

- Widziałam w wiadomościach. Czasem tutaj zaglądam, zwłaszcza wiosną, tak jak teraz. Wieczorami, kiedy wszędzie panuje cisza i mamy piękne wiosenne światło.

- Ładnie tutaj - zgodził się Erlendur. - A może pochodzi pani ze wzgórza albo gdzieś z okolicy?

- Właściwie to się do pana wybierałam - oznajmiła kobieta, znów nie odpowiadając na jego pytanie. - Chciałam jutro się z panem skontaktować. Ale to dobrze, że mnie pan znalazł. Już najwyższy czas.

- Najwyższy już?

- To wszystko ujawnić.

- Co?

- Mieszkaliśmy tu, przy tych krzewach. Domku już dawno nie ma. Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Rozsypał się ze starości. Te porzeczeki posadziła moja matka, jesienią robiła dżem z owoców, ale nie tylko dlatego chciała, by tu rosły. Chciała stworzyć ogródek, hodować warzywa i piękne kwiaty zwrócone na południe ku słońcu, chciała, aby krzaki chroniły domek przed północnym wiatrem. Ale on jej nie pozwolił. Na nic zresztą jej nie pozwalał.

Przyglądała się Erlendurowi i cały czas jej głową wstrząsały skurcze.

- Kiedy świeciło słońce, wynosili mnie na ze-wnątrz - powiedziała z uśmiechem. - Moi bracia. Uwielbiałam wylegiwać się na słońcu. Po prostu piszczałam z radości, kiedy znalazłam się w ogrodzie. I bawiliśmy się. Zawsze wymyślali jakieś zabawy, żeby mnie rozerwać, bo nie bardzo mogłam się ruszać. Z powodu kalectwa. Wtedy dokuczało mi o wiele bardziej. Chcieli, żebym brała udział we wszystkich ich zabawach. Mieli to po matce. Z początku obaj.

- Co?

- Dobroć.

- Otrzymaliśmy informację od pewnego starego człowieka, że widywał tu ubraną na zielono kobietę, która kręciła się koło krzewów. Jego opis pasuje do pani. Myśleliśmy, że ta osoba może być mieszkanką domku, który tu stał.

- Więc wiecie o domku.

- Tak, i o niektórych lokatorach, jeśli nie o wszystkich. Naszym zdaniem w czasie wojny mieszkała tu pięcioosobowa rodzina, tyranizowana przez ojca. Wspomniała pani o matce i obu braciach, czyli że było ich dwóch, a skoro pani jest trzecim dzieckiem, to zgadza się to z naszymi informacjami.

- Mówił o ubranej na zielono kobiecie? - spytała i uśmiechnęła się.

- Tak. Zielonej kobiecie.

- Zielony to mój kolor. Od zawsze. Nie pamiętam siebie w innych kolorach.

- Czy nie mówi się, że ludzie lubiący kolor zielony są realistami?

- Być może - uśmiechnęła się. - Ja jestem wielką realistką.

- Kojarzy pani tę rodzinę?

- Mieszkaliśmy w domu, który tu stał.

- Przemoc?

Kobieta spojrzała na Erlendura.

- Tak, przemoc domowa.

- To był...

- Jak panu na imię? - przerwała mu kobieta.

- Erlendur.

- I ma pan rodzinę, Erlendurze?

- Nie, tak, w pewnym sensie.

- Nie jest pan pewien. Dobrze pan traktuje tę rodzinę?

- Myślę... - Erlendur zawahał się. Nie spodziewał się takich pytań i nie wiedział, co powiedzieć. Czy był dobry dla swojej rodziny? Chyba nie.

- Pewnie jest pan rozwiedziony - domyśliła się kobieta i przesunęła wzrokiem po sfatygowanym ubraniu Erlendura.

- No właśnie - odparł. - Chciałem panią spytać... Pytałem o przemoc u pani w rodzinie.

- Jakież poręczne słowo określające mord psychiczny. Takie wygodne dla ludzi, którzy nie wiedzą, co się za nim kryje. Wie pan, jak to jest żyć w ciągłym strachu przez całe życie?

Erlendur milczał.

- Codziennie odczuwać czyjąś nienawiść, która bez względu na to, co człowiek zrobi, nigdy nie słabnie? I nie ma żadnego sposobu, by to zmienić. Aż w końcu traci się własną wolę. Jedyna nadzieja, jaka pozostaje, to, że następne ciosy nie będą równie bolesne jak poprzednie.

Erlendur nie wiedział, co powiedzieć.



- Powolutku te razy zmieniają się w czysty sadyzm, bo jedyna władza, jaką kat ma na świecie, to władza nad tą jedną jedyną kobietą. I to władza absolutna, bo on wie, że ona mu się nie sprzeciwi. Jest kompletnie bezbronna, zupełnie od niego zależna, bo on zagraża nie tylko jej. Swoją nienawiścią i okrucieństwem sprawia ból nie tylko jej. Ona cierpi także dlatego, że znęca się nad dziećmi. Straszy ją, że zrobi im krzywdę, jeśli tylko ona sprzeciwi się jego woli. Cała ta przemoc fizyczna, bicie, połamane kości, rany, siniaki, podbite oczy, pęknięte wargi to nic w porównaniu z cierpieniem psychicznym. Z ciągłym strachem, który nigdy nie mija. Przez pierwsze lata, kiedy tli się jeszcze w niej chęć do życia, próbuje szukać pomocy, uciekać, lecz on ją odnajduje i szepcze jej do ucha, że zabije jej córkę i pogrzebie na górze. A ona wie, że jest do tego zdolny, i daje za wygraną. Podaje się. Oddaje swoje życie w jego ręce.

Kobieta przeniosła wzrok na odległą górę Esja, a potem na zachód, gdzie widać było zarys lodowca Snaefellsjokull.

- I jej życie staje się cieniem jego życia - ciągnęła.  
- Znika jej opór, a wraz z nim znika chęć do życia. Ona już nie żyje. Jest martwa. Porusza się w ciemnościach, nieustannie poszukując ucieczki. Ucieczki przed ciosami i psychicznym cierpieniem. Ucieczki z jego życia, bo swoim już przecież nie żyje. Zaczyna istnieć wyłącznie w jego nienawiści.

I na koniec on triumfuje.

Bo ona jest już martwa. Za życia.

Kobieta zamilkła i przeciągnęła dłońią po nagich gałęziach krzewu.

- Aż do tamtej wiosny. W czasie wojny.

Erlendur milczał.

- Kto osądzi człowieka za mord psychiczny? - mówiła dalej. - Może mi pan to powiedzieć? Jak można oskarżyć człowieka za mord na duszy, postawić go przed sądem i skazać?

- Nie wiem - odparł Erlendur, który niezupełnie rozumiał, o czym kobieta mówi.

- Odkopaliście już kości? - spytała zamyślona.

- Jutro - odparł Erlendur. - Wie pani, kto tam spoczywa?

- Okazało się, że ona jest jak krzewy - beznamiętne rzekła kobieta.

- Kto?

- Jak krzewy porzeczek. Wcale nie trzeba o nie dbać. Są wyjątkowo odporne, przetrwają każdą pogodę, najsrozsze zimy i latem zawsze są zielone, piękne i soczyste, jakby nic się nie stało. Jakby nigdy nie było żadnej zimy.

- Przepraszam, jak pani na imię? - spytał Erlendur.

- Przywrócił ją do życia pewien żołnierz.

Kobieta umilkła i zapatrzyła się na krzewy, jakby przeniosła się w miejscu i czasie.

- Kim pani jest? - dopytywał się Erlendur.

- Mama uwielbiała kolor zielony. Mówiła, że zieleni to kolor nadziei.

Wróciła do teraźniejszości.

- Na imię mi Mikkelina - powiedziała. A potem się zawahała. - On był potworem - dodała. - Pozbawionym wszelkich hamulców.

## 23.

Dochodziła dziesiąta wieczór i na wzgórzu zaczęło robić się chłodno, więc Erlendur zapytał Mikkelinę, czy nie zechciałyby usiąść w jego samochodzie. Albo może żeby umówili się na rozmowę na jutro. Jest już późno i...

- Wsiądźmy na chwilę do samochodu - powiedziała i ruszyła w jego kierunku. Szła wolno. Przy każdym stąpieniu na nogę w bucie ortopedycznym przechylała się na bok. Erlendur szedł przed nią. Otworzył drzwi auta i pomógł jej wsiąść. Potem obszedł samochód z przodu. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Mikkelina dostała się na wzgórze, ale jasne było, że nie przyjechała tu własnym samochodem.

- Przyjechała pani taksówką? - spytał, zasiadając w fotelu kierowcy. Włączył stacyjkę. Silnik był jeszcze nagrany, więc szybko zrobiło się ciepło.

- Simon mnie podrzucił - odpowiedziała. - I za chwilę po mnie przyjedzie.

- Próbowaliśmy zdobyć jakieś informacje o osobach, które tu mieszkały. Myślę, że chodzi o pani rodzinę. Niektóre z tych informacji, oczywiście pochodzących od starych ludzi, są dość dziwne. Jedna dotyczy gazowni przy placu Hlemmur.

- Wykańczał ją psychicznie tą gazownią - powiedziała Mikkelina. - Ale nie sądzę, żeby tam została poczęta podczas jakiejś orgii, jak twierdził. Myślę, że ktoś kiedyś sztychował w ten sposób z niego, kiedy był młodszy, i on przerzucił to na nią.

- Więc sądzi pani, iż pani ojciec został poczęty w zbiorniku gazowym?

- On nie był moim ojcem - odparła Mikkelina. - Mój ojciec zginął. Był rybakim morskim i moja matka go kochała. Kiedy byłam mała, stanowiło to w moim życiu jedyną pociechę. Że on nie jest moim ojcem. Bo mnie nienawidził szczególnie. Garbuski. Z powodu mojego kalectwa. Zachorowałam w wieku trzech lat, sparaliżowało mnie i straciłam mowę. On uważał mnie za niespełna rozumu. Nazywał debilką. Ale ja byłam normalna. Zawsze. Tylko że nie poddawano mnie żadnej rehabilitacji, co dzisiaj jest normą. I nigdy się nie odzywałam, bo żyłam w ciągłym strachu przed tym człowiekiem. To żadna nowość, że dzieci, które przeżyją coś strasznego, zamykają się w sobie, a nawet tracą mowę. Myślę, że to właśnie spotkało mnie. Dopiero dużo później nauczyłam się chodzić i zaczęłam mówić. Podjęłam nawet naukę. Skończyłam studia. Psychologię.

Zamilkła.

- Nie udało mi się dowiedzieć, kim byli jego rodzice - podjęła po chwili. - Szukałam. Żeby zrozumieć to, co się stało. Poznać przyczyny. Próbowałam dowiedzieć się czegoś na temat jego młodości. Był parobkiem w różnych gospodarstwach tu i tam, ostatnio w Kjos, mniej więcej wtedy, kiedy poznali się z mamą. Dzieciństwo, które najbardziej mnie interesuje, spędził w okręgu Myrasysla. Tam wychował się w niedużym gospodarstwie Melur, które dziś już nie istnieje. Gospodarze mieli troje

własnych dzieci, ale wychowywali też cudze, na których utrzymanie pieniądze łożyła gmina. Wtedy jeszcze byli tacy biedacy, którzy z tego żyli. I akurat oni znani byli w okolicy z twardej ręki dla sierot. Mówiono o tym w sąsiednich gospodarstwach. Mieli nawet sprawę sądową z powodu dziecka, które zmarło pod ich opieką z niedożywienia i złego traktowania. Autopsję dziecka przeprowadzono na miejscu w bardzo prymitywnych warunkach, nawet jak na tamte czasy. Był to ośmioletni chłopiec. Wyjęto drzwi z zawiasów i na nich przeprowadzono sekcję zwłok. Wnętrznosci opłukano w potoku. Przeprowadzający autopsję doszli do wniosku, że dziecko traktowano brutalnie, jak to określili, ale nie byli w stanie stwierdzić, czy to akurat było przyczyną śmierci. I on był świadkiem tego wszystkiego. Może nawet zmarły był jego przyjacielem. Mieszkał w Melur mniej więcej w tym samym czasie. Zresztą jest o nim wzmianka w aktach sądowych. Niedożywiony, z ranami na plecach i nogach. Znowu umilkła.

- Nie szukam usprawiedliwienia dla czynów, które popełnił, i dla jego postępowania wobec nas - dodała po chwili. - Na to usprawiedliwienia być nie może. Chciałam się tylko dowiedzieć, kim był.

Urwała po raz kolejny.

- A pani matka? - spytał Erlendur. Czuł, że Mikkalina chce powiedzieć mu wszystko, co uzna za istotne, ale że zrobi to na swoich warunkach. Nie miał zamiaru na nią naciskać. Musiał dać jej dość czasu na opowieść.

- Miała pecha - odparła Mikkalina po prostu, jakby to był jedyny rozsądny wniosek, który można wysnuć. - Miała pecha, że trafiła na tego człowieka. Tylko tyle.

Ona też nie miała nikogo bliskiego, ale otrzymała przyzwoite wychowanie w Reykjavíku i kiedy się poznali, pracowała w porządnym domu. Zresztą też nie udało mi się dowiedzieć, kim byli jej rodzice. Jeśli kiedykolwiek istniały jakieś akta, to już dawno ich nie ma. Spojrzała na Erlendura.

- Ale zdążyła poznać prawdziwą miłość. Myślę, że on pojawił się w jej życiu w najbardziej odpowiednim momencie.

- Kto? Kto pojawił się w jej życiu?

- I Simon. Mój brat. Nie wiedzieliśmy, jak się czuł. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, w jakim napięciu żył przez te wszystkie lata. Ja osobiście bardzo przeżywałam znęcanie się mojego ojczyma nad mamą i cierpiałam razem z nią, ale byłam silniejsza od Simona. Biedny, biedny Simon. I jeszcze Tomas. Zbyt dużo było w nim z ojca. Zbyt dużo nienawiści.

- Przepraszam, ale straciłem już wątek. Kto pojawił się w jej życiu, w życiu pani matki?

- Pochodził z Nowego Jorku. Amerykanin. Z Brooklynu.

Erlendur skinął głową.

- Mama potrzebowała miłości, szacunku, dowodu na to, że istnieje, że jest człowiekiem. Dave przywrócił jej godność osobistą. Znów uczynił z niej człowieka. Długo się zastanawialiśmy, dlaczego spędza z nią tak dużo czasu. Co takiego w niej widzi, skoro nikt inny nawet na nią nie chciał spojrzeć. Poza moim ojczymem oczywiście, który spoglądał na nią wyłącznie po to, by ją bić. Ale potem powiedział to mamie. Dlaczego chciał jej pomóc. Powiedział, że wyczuł to od razu, jak tylko ją zobaczył, gdy po raz pierwszy przyszedł z pstrągami; często łowił

w jeziorze Reynisvatn. Znał wszystkie oznaki przemocy domowej. Poznał po mamie, widział to w jej oczach. W twarzy, gestach. W jednej chwili odgadł całą jej historię.

Mikkelina przerwała i spojrzała na wzgórze w kierunku krzewów porzeczek.

- Dave to znał. Wychował się w takich samych warunkach jak ja, Simon i Tomas. Jego ojciec nigdy nie został oskarżony ani nie poniósł żadnej kary za to, że bił swoją żonę. Doprowadził ją do śmierci. Dave był tego świadkiem. Byli bardzo biedni, matka zachorowała na gruźlicę i zmarła. Dave miał już kilkanaście lat, ale nie był w stanie stawić czoła ojcu. W dniu, w którym zmarła jego matka, opuścił dom i nigdy do niego nie wrócił. Kilka lat później wstąpił do wojska. Zanim zaczęła się wojna. I na wojnę wysłano go do Reykjavíku, tu, na wzgórze, gdzie przypadkiem zabłądził do obcego domu. I tu znów ujrzał twarz swojej matki.

Siedzieli w milczeniu.

- Wówczas był już na tyle dojrzały, żeby coś w tej sprawie zrobić - powiedziała Mikkelina.

Obok samochodu Erlendura powoli przejechało jakieś auto i zatrzymało się opodal fundamentu. Wsiadł z niego mężczyzna i zaczął się rozglądać. Patrzył w stronę krzewów porzeczek.

- Przyjechał po mnie Simon - zmieniła temat Mikkelina. - Późno już. Nie ma pan nic przeciwko temu, byśmy dokończyli rozmowę jutro? Jeśli ma pan ochotę, proszę mnie odwiedzić w domu.

Otworzyła drzwiczki i zawołała mężczyznę, który odwrócił się w jej stronę.

- Wie pani, kto tam spoczywa? - spytał Erlendur.

- Jutro - odparła Mikkalina. - Porozmawiamy jutro. Nie ma pośpiechu - dodała. - Mamy czas.

Mężczyzna podszedł do samochodu i pomógł Mikkalinie wysiąść.

- Dziękuję bardzo, Simonie - powiedziała. Erlendur przechylił się nad siedzeniem pasażera, żeby przyrzec się lepiej przybyszowi. Potem otworzył drzwi po swojej stronie i wysiadł.

- Ale przecież to nie może być Simon - rzucił do Mikkaliny, patrząc na podpierającego ją mężczyznę. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści pięć lat.

- Słucham? - spytała Mikkalina.

- Przecież Simon to był chyba pani brat? - dodał Erlendur ze wzrokiem utkwionym w mężczyźnie.

- Tak - przyznała Mikkalina i nagle zrozumiała zdziwienie Erlendura. - Ale to nie ten Simon - uśmiechnęła się nieśmiało. - To mój syn, który nosi imię na jego cześć.



## 24.

Następnego ranka Erlendur spotkał się z Elinborg i Sigurdurem Olim na odprawie w swoim gabinecie i opowiedział o Mikkelinie i o tym, co mu wyznała. Wspominał też, że ma ją odwiedzić. Był pewien, że powie mu, kto leży w ziemi, kto te zwłoki tam pogrzebał i dlaczego. A wieczorem kości miały zostać odkopane.

- A dlaczego wczoraj z niej tego nie wycisnąłeś? - spytał Sigurdur Oli, który obudził się wypoczęty po spokojnym wieczorze z Bergthorą. Porozmawiali na temat przyszłości, również na temat dzieci, i doszli do porozumienia w kwestii wspólnego życia; także w sprawie wyjazdu do Paryża i marki sportowego samochodu, który wynajmą.

- Żebyśmy wreszcie dali sobie spokój z tą orką - dodał.

- Mam już dosyć tych kości. Dosyć piwnicy Beniamina. I was też mam dosyć.

- Chciałabym z tobą do niej pojechać - zaproponowała Elinborg. - Myślisz, że to ona jest tą upośledzoną dziewczynką, którą Hunter widział w domu, kiedy aresztował tego człowieka?

- Wszystko na to wskazuje. Miała dwóch przyrodnich braci, których imiona wymieniła. Simon i Tomas.

To by się zgadzało: Hunter widział tam dwóch chłopców. Był także amerykański żołnierz imieniem Dave, który w pewnym sensie im pomagał. Pogadam o nim z Hunterem, ale nie znam nazwiska. A tę kobietę należy traktować delikatnie. Powie nam to, czego chcemy się dowiedzieć, nie ma powodu na nią naciskać.

Spojrzał na Sigurdura Olego.

- Skończyłeś w piwnicy Beniamina?
- Tak, wczoraj. Nic nie znalazłem.
- Czy możemy wykluczyć, że to jego narieczona leży na wzgórzu?
- Tak, tak sądzę, przecież utopiła się w morzu.
- Czy da się w jakikolwiek sposób potwierdzić, że ten gwałt miał miejsce? - zastanawiała się Elinborg.
- Myślę, że dowód spoczywa na dnie oceanu - powiedział Sigurdur Oli.
- Jak jej siostra to określiła? Letnia wizyta we Fljot? - parsknął Erlendur.
- Miłość mieszka na wsi - uśmiechnęła się Sigurdur Oli.
- Zidiociały mieszczuch! - skarcił go Erlendur.

Hunter czekał na Erlendura i Elinborg w drzwiach swojego domu. Zaprosił ich do salonu. Na stole walały się stosy papierów dotyczących bazy zaopatrzeniowej, telexy i kopie leżały na podłodze, a pamiętniki i inne zapiski porozrzucane były po całym salonie. Erlendur pomyślał, że facet odwalił kawał dobrej roboty. Hunter przerzucił stos na stole.

- Mam tu gdzieś spis zatrudnionych w bazie Islandczyków - powiedział. - Ambasada to znalazła.
- Odszukaliśmy już mieszkankę domu, który pan odwiedził - poinformował go Erlendur. - Myślę, że to ta niepełnosprawna, o której pan wspominał.

- To dobrze - odparł Hunter zatopiony w papierach. - To dobrze. O, tutaj, proszę.

Podał Erlendurovi odręcznie spisaną listę dziewięciu Islandczyków, którzy pracowali w bazie. Erlendur już ją znał. Jim przeczytał mu nazwiska przez telefon i chciał przesłać kopię. Nagle przypomniał sobie, że zapomniał spytać Mikkelinę o imię jej ojczyma.

- Udało mi się ustalić, kto nam doniósł. Kto nas poinformował o kradzieżach. Mój kolega z żandarmerii z Reykjavíku mieszka w Minneapolis. Utrzymujemy jeszcze kontakt, choć sporadycznie. Zadzwoń do niego. Doskonale pamiętał tę sprawę, podzwonił po ludziach i dowiedział się, kto nam doniósł.

- I kto to był? - spytał Erlendur.

- Na imię miał Dave i pochodził z Nowego Jorku. David Welch. Szeregowiec.

Erlendur przypomniał sobie, że właśnie to imię wymieniła Mikkelina.

- Żyje jeszcze? - spytał Huntera.

- Tego nie wiemy. Mój przyjaciel stara się go odnaleźć przez amerykańskie ministerstwo obrony. Nie wykluczone, że został wysłany na front.

Elinborg dostała do pomocy Sigurdura Olego i wspólnie mieli ustalić, kim byli Islandczycy pracujący w intendencji i gdzie oni lub ich potomkowie mieszkają obecnie, a Erlendur umówił się z nią ponownie na popołudnie. Mieli razem odwiedzić Mikkelinę. Najpierw jednak chciał zajrzeć do szpitala do Evy Lind.

Wszedł głową do sali na OIOM-ie, na której córka leżała bez ruchu z zamkniętymi oczami. Z wielką ulgą stwierdził, że nie ma u niej Halldory. Spojrzał w miejsce,

w które trafił ostatnio przez pomyłkę i gdzie odbył z małą kobietą dziwną rozmowę o chłopcu w zadymce. Wolniutko przeszedł pod salę na końcu korytarza i zauważył, że jest pusta. Zniknęła kobieta w futrze, a łóżko, na którym leżał umierający mężczyzna, świeciło pustką. Kobiety, która być miała medium, też nigdzie nie zauważyła. Erlendur nie był pewien, czy to wszystko w ogóle się zdarzyło, czy może raczej był to tylko sen. Postąpił przez chwilę w drzwiach, po czym wrócił na salę, na której leżała jego córka, i cicho zamknął za sobą drzwi. Żałował, że nie może ich zamknąć na zatrzask. Usiadł przy łóżku Ewy. Siedział w milczeniu i rozmyślał o chłopcu w zadymce. W ten sposób minęło sporo czasu. W końcu jednak ciężko westchnął.

- Miał osiem lat - powiedział do córki. - Dwa lata mniej ode mnie.

Pomyślał o słowach medium, że chłopiec się pogodził, że nikogo o to nie wini. Te proste, zasłyszane na korytarzu słowa same w sobie nic mu nie mówiły. On w tej zadymce spędził całe życie, a zadymka z czasem tylko gęstniała.

- Puściłem jego rękę - powiedział.

Poprzez wycie wiatru usłyszał krzyk.

- Nie widzieliśmy się nawzajem - ciągnął. - Prowadziliśmy się za ręce, jeden przy drugim, ale się nie widzieliśmy. A potem puściłem jego rękę.

Umilkł na chwilę.

- I dlatego tobie nie wolno odejść. Dlatego ty musisz przeżyć, wrócić i znów żyć. Wiem, że twoje życie nie jest usłane różami i sama je trwonisz, jakby nic nie było warte. Jakbyś ty nic nie była warta. Ale tak nie jest. Nie masz racji, jeśli tak uważasz. Nie wolno ci tak myśleć.

Patrzył na córkę oblaną bladym światłem lampki nocnej.

- Miał osiem lat. Mówiłem ci już? Taki sam chłopiec jak inni. Fajny, uśmiechnięty. Byliśmy przyjaciółmi. To nie należy do rzadkości. Ale zazwyczaj są też jakieś tarcia. Choć nie między nami. Może dlatego że byliśmy tak różni. Ludzie go uwielbiali. Mimo woli. Niektórzy tacy już są. Ja nie. Jest w nich coś, co przełamuje pierwsze lody, bo są dokładnie tacy, jak się zachowują. Nie mają nic do ukrycia, nie są zamknięci, są sobą, tak po prostu. Takie dzieci...

Erlendur przerwał na chwilę.

- Czasem mi go przypominasz. Nie od razu to uważyłem. Dopiero kiedy mnie odnalazłaś po tych wszystkich latach. Jest w tobie coś, co mi go przypomina. Coś, co niszczy, i dlatego tak mi przykro patrzeć, jak marnujesz swoje życie. Zwłaszcza że nie mam na to wpływu. Przy tobie jestem równie bezbronny, jak wtedy we mgle, gdy czułem, że jego ręka wyslizguje mi się z dłoni. Prowadziliśmy się za ręce i ja go puściłem. Czułem ból, kiedy to się działo i kiedy już było po wszystkim. Obaj mieliśmy umrzeć. Ręce nam zesztyniały z zimna. Dłużej nie mogliśmy się już trzymać. Nie czułem dłoni poza tą jedną krótką chwilą, kiedy jego ręka mi się wyslizgiwała.

Spojrzał na podłogę.

- Nie wiem, może to dlatego wszystko w moim życiu ułożyło się tak, jak się ułożyło. Miałem dziesięć lat i od tamtej chwili wciąż czuję się winien. Nie potrafię się z tego otrząsnąć. Nie chcę. Cierpienie jest bastionem smutku, którego nie mam ochoty się pozbyć. Być może już dawno powinienem był to zrobić i wziąć się za bary z życiem, które ocalało. Nadać mu jakiś cel. Ale tak się nie

stało i pewnie już się nie stanie. Każdy dźwiga swój ciężar. Mój może wcale nie jest większy niż innych ludzi, którzy stracili umiłowanego przyjaciela, ale ja nie potrafię inaczej reagować.

Coś jakby mnie zgasiło. Nigdy go nie odnalazłem i cały czas mi się śni. Wiem, że gdzieś tam jest i błąka się w zadyńce, sam, opuszczony, zziębnięty, aż w końcu runie w przepaść, gdzie go nikt nie znajdzie. I wiatr będzie nim miotać, aż spadnie śnieg i on w nim utonie. Nie ważne, jak długo będę go szukał i nawoływał. On i tak mnie nie usłyszy. Na wieki zginął dla mnie w zadyńce.

Erlendur przeniósł wzrok na Evę Lind.

- Zupełnie jakby poszedł prosto do Boga. Mnie znaleziono. Znaleziono, przeżyłem, ale jego straciłem. Nic nie widziałem w tej cholernej śnieżycy. Miałem dziesięć lat i nieomal zamarłem, i nic im nie byłem w stanie powiedzieć. A oni posłali ekipy ratunkowe, które chodziły po pustkowiu od rana do wieczora z lornetkami. Nawoływali go, sondowali śnieg długimi tyczkami, podzielili się na grupy i wzięli ze sobą psy. Słyszeliśmy ich nawoływania, słyszeliśmy ujadanie psów, ale nic się nie wydarzyło. Nigdy.

Nigdy go nie znaleźli.

Potem tutaj na korytarzu spotkałem kobietę, która twierdziła, że ma dla mnie wiadomość od chłopca z zadyńki. I powiedziała, że to nie była moja wina i że mam się nie bać. Co to znaczy? Nie wierzę w takie rzeczy, ale co mam o tym sądzić? Całe życie obwiniałem się o to, choć wiem i całe życie wiedziałem, że byłem wtedy zbyt mały, by sobie z tym poradzić. Ale mimo to dręczy mnie poczucie winy, zupełnie jak choroba, która w końcu każe człowiekowi umrzeć.

Bo to nie był jakiś zwykły chłopiec, którego dłoń puściłem.

Bo ten chłopiec w zadymce...

To był mój brat.

Matka zatrzasnęła drzwi, pozostawiając za sobą mroźny jesienny wiatr i zauważyła w mroku Grimura siedzącego w kuchni naprzeciwko Simona. Jego twarzy dobrze nie widziała. Nie widziała go od czasu, gdy odwieziono go stąd wojskowym dżipem, ale jak tylko wyczuła jego obecność w domu i zauważyła go majaczącego w półmroku, natychmiast powrócił strach. Całą jesień spodziewała się jego powrotu, ale nie wiedziała dokładnie, kiedy go wypuszczą. I gdy zobaczyła, jak biegnie do niej Tomasa, od razu wiedziała, co się stało.

Simon nie miał odwagi się poruszyć. Lekko tylko zwrócił głowę w kierunku drzwi, siedząc ze sztywnymi plecami. Zauważył, że matka na niego patrzy. Puściła dłoń Tomasa, który prześlizgnął się na korytarzyk do Mikkeliney. Widziała przerażenie w oczach Simona.

Grimur siedział na krześle i nawet się nie poruszył. W ten sposób minęło kilka chwil. Jedynym dźwiękiem, który słyszeli, było wycie jesiennego wiatru i oddech matki, zmęczonej biegiem pod górę. Jej lęk przed Grimurem osłabł nieco od wiosny, lecz teraz znów wybuchł z całą mocą. W okamgnieniu stała się taka, jaka była wcześniej. Jakby podczas jego nieobecności nic się nie wydarzyło. Nogi się pod nią ugięły, ból w brzuchu się wzmógł, straciła całą pewność siebie, uniosła ramiona i skuliła się. Uległa. Posłuszna. Gotowa na najgorsze.

Dzieci dostrzegły tę zmianę.

- Rozmawialiśmy sobie z Simonem - odezwał się Grimur i znów przesunął twarz w krąg światła, ukazując bliznę. Oczy matki rozszerzyły się, kiedy spojrzała mu w twarz i zauważyła czerwony ślad po oparzeniu. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć albo krzyknąć. Ale tego nie zrobiła. Patrzyła tylko z niedowierzaniem na Grimura.

- Podoba ci się? - zapytał.

Było w nim coś nieznanego. Coś, co Simon nie do końca potrafił określić. Większa pewność siebie. Większe samozadowolenie. To on tu rządził. Widać to było po jego zachowaniu. Zawsze tak było, ale teraz wydawało się to jakieś większe, groźniejsze. Simon zastanawiał się nad tym, kiedy Grimur wolno wstał od stołu.

Podszedł do matki.

- Simon opowiedział mi o żołnierzu, który tutaj przychodzi z pstrągami i ma na imię Dave.

Matka milczała.

- Zrobił mi to żołnierz imieniem Dave - powiedział, wskazując na bliznę. - Nie mogę całkiem otworzyć oka, bo uznał, że może chlusnąć mi kawą w twarz. Najpierw podgrzewał ją w dzbanku, dopóki nie zrobiła się tak gorąca, że musiał go chwycić przez szmatę, a kiedy pomyślałem sobie, że należy nam do filiżanek, chlusnął mi z dzbanka w twarz.

Matka przeniosła wzrok z Grimura na podłogę. Nie ruszała się.

- Wpuścili go, kiedy siedziałem z rękami skutymi na plecach kajdankami. Myślę, że wiedzieli, jakie ma zamiary.

Ruszył w stronę przycupniętych w korytarzyku Mikkeliny i Tomasa. Simon siedział jak skamieniały na swoim



krześle przy kuchennym stole. Nagle Grimur zmienił zamiar i podszedł do matki.

- Zupełnie jakby chcieli mu wyświadczyć przysługę - wycedził. - Nie wiesz dlaczego?

- Nie - wyszeptła matka.

- Nie - przedrzeźnił ją. - Zbyt byłaś zajęta rżnięciem się z nim.

Uśmiechnął się.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby go teraz znaleziono w wodzie. Może wpadł do jeziora podczas łowienia tych twoich pstrągów?

Stał blisko przy matce i nagle położył dłoń na jej brzuchu.

- Myślisz, że coś tutaj zostawił? - spytał cichym, groźnym głosem. - Po tych zabawach nad jeziorem? Jak myślisz? Myślisz, że coś po sobie zostawił? Chcę, żebyś wiedziała, że jeśli coś zostawił, to ja to zabiję. Kto wie, może to poparzę, tak jak on poparzył mi twarz.

- Nie mów tak - powiedziała matka.

Grimur patrzył na nią.

- Skąd ten skurwysyn wiedział o kradzieżach? - spytał. - Ciekawe, kto mu powiedział o tym, co robimy? Wiesz coś o tym? Może nie byliśmy dość ostrożni. Może nas widział. A może dał komuś pstrąga i zobaczył tu wszystkie te fanty, i zastanowił się, skąd się wzięły? A potem zapytał półkurwię, które tu mieszka, czy wie coś na ten temat.

Z całej siły ścisnął jej brzuch.

- Jak tylko widzicie mundur, nogi same się wam rozkładają.

Simon stanął bezszelestnie za plecami ojca.

- A co byś powiedziała, gdybyśmy napili się kawy? - zapytał Grimur matkę. - Co byś powiedziała na gorącą,

orzeźwiająca poranna kawkę? Jeśli Dave nam pozwoli. Myślisz, że nam pozwoli? - roześmiał się. - A może napije się z nami? Spodziewasz się go? Spodziewasz się, że się tu zjawi i cię uratuje?

- Nie - odezwał się Simon za jego plecami.

Grimur puścił matkę i odwrócił do syna.

- Nie rób tego - powiedział Simon.

- Simon! - krzyknęła matka. - Przestań!

- Zostaw mamę w spokoju! - krzyknął Simon drżącym głosem.

Grimur znów obrócił się do matki. Mikkelina i Tomas z drzwi korytarza obserwowali jego poczynania. Pochylił się nad nią i wyszeptał jej do ucha:

- A może po prostu znikniesz któregoś dnia jak dziewczyna Beniamina!

Matka spojrzała na niego, przygotowana na atak, który nieuchronnie się zbliżał.

- Co ty o tym wiesz?

- Ludzie znikają. Różni ludzie. Elegancyści państwo też. Tym bardziej taka nędzara jak ty może zniknąć. A kto by cię tam szukał? Chyba że szuka cię twoja mamusia z gazowni. Myślisz, że to możliwe?

- Zostaw ją w spokoju - powtórzył Simon, stojący obok stołu.

- Simon? - zdziwił się Grimur. - Myślałem, że jesteście kumplami. Ty, ja i Tomas.

- Zostaw ją w spokoju - powtórzył chłopiec jeszcze raz. - Masz przestać ją krzywdzić. Masz przestać i odejść. Iść sobie i nigdy tu nie wracać.

Grimur zbliżył się do niego ze wzrokiem utkwionym w jego oczy. Zupełnie go nie poznawał.

- Przecież mnie już tu nie było. Nie było mnie przez sześć miesięcy i oto jakie mi zgotowaliście powitanie! Stara z brzuchem, a malutki Simonek chce przepędzić tatę z domu. Jesteś już na tyle duży, żeby dać sobie radę z tatusiem, Simonie? Tak myślisz? Myślisz, że kiedykolwiek będziesz dość duży, żeby dać mi radę?

- Simon! - starała się go uspokoić matka. - Wszystko w porządku. Idź z Tomaszem i Mikkeliną do Gufunes i poczekajcie tam na mnie. Słyszysz, Simonie? Rób, co każe!

Grimur roześmiał się Simonowi w twarz.

- I stara zaczęła się rządzić. Myśli sobie, że kim jest? Ależ się wszyscy szybko pozmieniali.

Grimur spojrział w kierunku korytarzyka.

- A co z potworkiem? Garbuska też będzie mi pyrkować? Aj, aj, cholerna garbuska, którą powinienem udusić już dawno temu. To jest wasza wdzięczność? To jest wdzięczność!? - ryknął w kierunku korytarzyka.

Mikkelina cofnęła się w głąb korytarza. Zniknęła w ciemnościach. Tomasz został sam i patrzył na Grimura, który uśmiechnął się do niego.

- Ale z Tomaszem jesteśmy kumplami - powiedział. - Tomasz nigdy by nie zdradził swojego taty. Chodź tu, mój synku. Chodź do tatusia.

Tomasz podszedł do niego.

- To mama telefonowała - powiedział.

- Tomasz! - krzyknęła matka.

## 25.

- Nie sędzę, żeby Tomas chciał mu pomóc. Myślę raczej, że uważał, że pomaga mamie. Chciał go jakoś nastraszyć i w ten sposób ją uratować. Ale najbardziej skłonna jestem przypuszczać, że nie wiedział, co robi. Był jeszcze taki mały, biedaczek.

Mikkelina urwała i spojrzała na Erlendura. Siedział razem z Elinborg w jej salonie i słuchał opowieści o matce i Grimurze, o tym, jak się poznali i kiedy uderzył ją po raz pierwszy, o tym, jak przemoc wciąż narastała i jak matka dwukrotnie próbowała uciekać. I o tym, jak groził, że zabije jej dzieci. Opowiedziała im o życiu na wzgórzu, żołnierzach, bazie zaopatrzeniowej, kradzieżach i Davie, który łowił ryby w jeziorze, i o lecie, które ich ojciec spędził w więzieniu, o tym, jak żołnierz i matka zakochali się w sobie, jak bracia wynosili ją na słońce i jak Dave zabierał ich na pikniki. I o zimnym, jesiennym poranku, kiedy ojciec wrócił do domu.

Mikkelina nie śpieszyła się, spokojnie opowiadała o wszystkim. Nie chciała pominąć niczego, co uważała za istotne w rodzinnej historii. Erlendur i Elinborg słuchali, popijając kawę, którą poczęstowała ich Mikkelina, i racząc

się ciastem, które upiekła specjalnie z okazji wizyty Erlendur. Elinborg przywitała z szacunkiem i zapytała, czy wiele kobiet pracuje w policji śledczej.

- Bardzo mało - powiedziała Elinborg z uśmiechem.

- To wstyd i grzech - odparła Mikkalina i wskazała jej miejsce. - Kobiety wszędzie powinny być pierwsze i najważniejsze.

Elinborg spojrzała na Erlendura, który uśmiechnął się bez przekonania. Odebrała go po południu z komisarjatu, wiedziała, że był w szpitalu, więc rozumiała, że nie jest mu do śmiechu. Spytała go o stan Ewy Lind, bo się obawiała, że nastąpiło pogorszenie, ale powiedział, że jest bez zmian. Kiedy spytała, jak on sam się czuje i czy może coś dla niego zrobić, potrząsnął tylko głową i oświadczył, że właściwie pozostaje mu tylko czekać. Jej zdaniem to oczekiwanie dawało mu się już mocno we znaki, ale wolała tego nie mówić. Z wieloletniego doświadczenia wiedziała, że Erlendur nie czuje potrzeby rozmawiania o sobie.

Mikkalina mieszkała na niskim parterze niedużego bloku w dzielnicy Breidholt. Mieszkalnie było małe, lecz przytulne. Kiedy przygotowywała w kuchni kawę, Erlendur przeszedł się po salonie i obejrzał zdjęcia przedstawiające rodzinę Mikkaliny albo ludzi, których uważał za jej rodzinę. Zdjęć nie było zbyt wiele i żadne chyba nie zostało zrobione na wzgórzu.

Jeszcze podczas przygotowywania kawy w kuchni opowiedziała im krótko o sobie. Późno podjęła naukę w szkole, miała wtedy prawie dwadzieścia lat, i w tym samym czasie zaczęła rehabilitację. Bardzo szybko robiła postępy. Erlendurowi wydawało się, że trochę zanadto się śpieszy, opowiadając o sobie, ale tego nie skomentował.

Z czasem Mikkelinie udało się zdać maturę wieczorowo, pójść na studia i skończyć psychologię. Kiedy miała już pięćdziesiątkę na karku. A teraz była na emeryturze.

Niedługo przed rozpoczęciem studiów adoptowała chłopca, któremu dała na imię Simon. Założenie rodziny związane było z pewnymi kłopotami, w które nie chciała się zagłębiać. Uśmiechnęła się tylko ironicznie.

Powiedziała, że regularnie odwiedza wzgórze, wiosną i latem, dba o krzewy porzeczek, jesienią zbiera owoce i robi dżemy. Miała jeszcze trochę dżemu z zeszłego roku, przyniosła słoik i dała im spróbować. Elinborg, która знаła się na kuchni, pochwaliła ją. A Mikkelina podarowała jej resztkę dżemu, przeprasząc jednocześnie, że nie ma więcej.

Opowiedziała im, jak obserwowała rozrastające się przez dziesięciolecia miasto, które najpierw rozciągnęło się w kierunku Breidholt, a potem do Grafarvogur, z prędkością błyskawicy w kierunku Mosfellsbe i na koniec aż do Grafarholt, gdzie kiedyś mieszkała i skąd miała najbardziej bolesne wspomnienia.

- Stamtąd właściwie mam same złe wspomnienia - powiedziała. - Poza tym jednym krótkim latem.

- Urodziła się pani niepełnosprawna? - spytała Elinborg. Starła się sformułować pytanie jak najdelikatniej, ale w końcu doszła do wniosku, że nie ma delikatnego sposobu.

- Nie - odpowiedziała Mikkelina. - Zachorowałam, kiedy miałam trzy lata. Leżałam w szpitalu. Mama mówiła mi, że wtedy były jakieś przepisy zabraniające rodzicom przebywania razem z dziećmi. Mama nie rozumiała tej okropnej, bezlitosnej zasady, która nie pozwalała jej czuwać przy łóżku obłożnie chorego dziecka,

może nawet umierającego. Minęło kilka lat, nim mama zrozumiała, że poprzez codzienne ćwiczenia mogą znowu odzyskać utraconą sprawność, ale ojczym nie pozwolił jej mną się zajmować, chodzić do lekarza, leczyć. Pamiętam jeszcze co nieco z czasu przed chorobą, choć nie wiem, czy to był sen, czy jawa. Ogród przydomowy tonie w słońcu, pewnie tam, gdzie mama pracowała, ja biegnę szybko, piszcząc radośnie, a mama mnie goni. Więcej nie pamiętam. Pamiętam tylko, że mogłam swobodnie biegać. Uśmiechnęła się.

- Często miałam takie sny. W których jestem zdrowa, mogę się bez problemów poruszać i nie macham wciąż głową podczas mówienia. Panuję nad mięśniami twarzy i nie krzywię się bezwiednie.

Erlendur odstawił filiżankę.

- Powiedziała mi pani wczoraj, że nazwała syna na cześć brata Simona.

- Simon był uroczym chłopcem. Moim bratem przyrodnim. Ale nie miał w sobie nic z ojca. W każdym razie ja tego nie dostrzegałam. Czujący, pełen zrozumienia, chętny do pomocy. Nie znosił widoku cierpienia, biedny. Nienawidził swego ojca i ta nienawiść miała na niego zły wpływ. Nigdy nie powinien być niczego nienawidzić. Był taki jak my wszyscy, przerażony przez całe dzieciństwo. Kiedy jego ojciec wpadał w furję, Simona paraliżował strach. Widział, jak bił naszą matkę. Ja chowałam głowę pod kołdrę, ale czasem widziałam, jak Simon stoi i na to patrzy. Wyglądało, jakby szykował się do działania w przyszłości, kiedy będzie na tyle duży i silny, by powstrzymać ojca. Kiedy będzie na tyle duży, by dać mu radę.

Z czasami usiłował ich rozdzielić. Zasłaniał sobą matkę i mówił ojcu, by uderzył jego. Tego akurat mama bała się

bardziej niż ciosów ojczyma. Nie mogła znieść myśli, że coś może się stać jej dzieciom. Simon był tak cudownie delikatnym chłopcem.

- Mówi pani o nim tak, jakby był jeszcze dzieckiem - zauważyła Elinborg. - Odszedł?

Mikkelina nie odpowiedziała i uśmiechnęła się.

- A Tomas? - zainteresował się Erlendur. - Był was troje, prawda?

- Tak, Tomas - westchnęła Mikkelina. - Był zupełnie niepodobny do Simona. Ich ojciec to czuł.

Urwała na chwilę.

- Dokąd dzwoniła pani mama? - spytał Erlendur. - Zanim wróciła do domu?

Mikkelina nie odpowiedziała. Wstała i wyszła do sypialni. Elinborg i Erlendur spojrzeli po sobie. Wkrótce Mikkelina wróciła ze złożoną kartką papieru. Rozłożyła ją, przeczytała i podała Erlendurowi.

- Mama dała mi tę kartkę - powiedziała. - Pamiętam doskonale, kiedy Dave przesunął ją do niej po blacie stołu w kuchni, ale nigdy się nie dowiedzieliśmy, co tam jest napisane. Mama pokazała mi ją dopiero dużo później.

Wiele lat później.

Erlendur przeczytał kartkę.

- Dave namówił jakiegoś Islandczyka czy żołnierza mówiącego po islandzku, żeby mu to napisał. Mama zachowała tę kartkę na całe życie i ja ją pewno zabiorę do grobu.

Erlendur patrzył na karteluszek. Słowa napisane zostały wielkimi, koślawymi drukowanymi literami, ale bardzo wyraźnie.

WIEM, CO ON CI ROBI.

- Mama i Dave ustalili, że skontaktuje się z nim od razu, jak tylko mój ojczym wyjdzie z więzienia, a



wtedy on pośpieszy jej z pomocą. Nie bardzo wiem, jak to się miało odbyć.

- Nie mogła poprosić o pomoc w Gufunes? - spytała Elinborg. - Tam na pewno pracowało wiele osób.

Mikkelina spojrzała na nią.

- Moja matka była terroryzowana przez tego człowieka od piętnastu lat. Często bił ją tak dotkliwie, że nie mogła wstać z łóżka przez kilka dni, a nawet dłużej. I znęcał się nad nią psychicznie, niewykluczone, że było to dotkliwsze, ponieważ, jak już wczoraj panu mówiłam, moja matka stała się nikim. Gardziła sama sobą w takim samym stopniu, w jakim gardził nią jej mąż; przez długi czas miała myśli samobójcze, ale powstrzymywała ją myśl o nas, o dzieciach. Dave odmienił nieco jej życie w ciągu tych sześciu miesięcy, które z nią spędził, ale nigdy nie mogła liczyć na pomoc nikogo poza nim. Nigdy z nikim nie rozmawiała o swoich okropnych cierpieniach i przypuszczam, że gotowa była na kolejne cięgi, jeśliby zaszła taka konieczność. W najgorszym przypadku Grimur by ją pobił, a potem wszystko wróciłoby do normy.

Mikkelina spojrzała na Erlendura.

- Dave nigdy nie przyszedł.

Spojrzała na Elinborg.

- I nic już nie było tak jak wcześniej.

Telefonowała? Grimur objął Tomasa.

- A dokąd telefonowała, Tomasie? Nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic. Twojej mamie się zdaje, że może mieć tajemnice, ale to nieporozumienie. Tajemnice mogą być niebezpieczne.

- Nie wykorzystuj chłopca - odezwała się matka.

- A teraz zaczyna mi rozkazywać - powiedział Grimur, rozmasowując barki Tomasa. - Ależ wszystko szybko się zmienia! Ciekawe, co dalej?

Simon stanął obok matki. Mikkalina przykuśtykała do nich. Tomas zaczął płakać. Po jego spodniach rozlewała się ciemna plama.

- I ktoś odebrał? - spytał Grimur. Uśmiech zniknął z jego twarzy, a w zamian pojawił się wyraz zatroskania. Nie mogli oderwać oczu od blizny.

- Nikt nie odebrał - odparła matka.

- Nie zjawi się żaden Dave, żeby was uratować?

- Żaden Dave - odparła matka.

- Ciekawe, gdzie się podział donosiciel? - drwił Grimur. - Dziś rano przyplłynął po nich okręt. Po brzegi wylądowany żołnierzami. Zdaje się, że brakuje ich w Europie. Nie wszyscy zasługują na spokojny pobyt w Islandii, gdzie jedyne ich zadanie polega na ruchaniu naszych kobiet. A może go dopadli? To była o wiele większa afera, niż sądziłem, i poleciało wiele głów. O wiele ważniejszych od mojej. Oficerskich. Nie byli z tego zadowoleni.

Odepchnął Tomasa.

- Wcale nie byli zadowoleni.

Simon stał tuż przy matce.

- I tylko jednej rzeczy w tym wszystkim nie rozumiem - powiedział Grimur, zbliżywszy się tak bardzo, tak że poczuli od niego kwaśny smród. - Po prostu nie rozumiem. Nie potrafię tego ogarnąć. Rozumiem, że posłaś z pierwszym lepszym, który na ciebie spojrzal, kiedy mnie nie było. Jesteś tylko kurwą. Ale co on sobie myślał?

Prawie się dotykali.

- Co on w tobie widział?

Oburącz chwycił ją za głowę.

- Ty ohydna, pierdolona wywłoko!

Myśleliśmy, że tym razem rzuci się na nią i ją zabije. Byliśmy na to przygotowani. Drżałam ze strachu, a Simon wcale nie czuł się lepiej. Zastanawiałam się, czy uda mi się sięgnąć po nóż. Ale nic się nie wydarzyło. Patrzyli sobie w oczy, a on zamiast zacząć ją bić, cofnął się. Mikkelina przerwała na chwilę.

- Nigdy w życiu nie byłam równie przerażona. I Simon nigdy potem już nie był tym samym człowiekiem. Coraz bardziej się od nas oddalał. Biedny Simon.

Spojrzała na podłogę.

- Dave zniknął z naszego życia równie nagle, jak się w nim pojawił - powiedziała. - Mama nigdy nie dostała od niego żadnej wiadomości.

- Nazywał się Welch - poinformował ją Erlendur. - Sprawdzamy, co się z nim stało. A jak się nazywał pani ojczym?

- Thorgrimur - odparła Mikkelina. - Ale mówiono mu zawsze Grimur.

- Thorgrimur - powtórzył Erlendur. Pamiętał to imię ze spisu islandzkich pracowników intendenty.

W kieszeni jego płaszcza odezwała się komórka. Dzwonił Sigurdur Oli, który znajdował się na terenie ekshumacyjnym na wzgórzu.

- Powinieneś tu przyjechać - powiedział szybko.

- Tu? Dokąd? - spytał Erlendur. - Gdzie jesteś?

- Jak to! Na wzgórzu - odparł Sigurdur Oli. - Odkopali już kości i chyba wiemy, kto tu spoczywa.

- Kto gdzie spoczywa?

- No, w grobie.
- Kto taki?
- Narieczona Beniamina.
- Co?
- Narieczona Beniamina.
- Jak to gdzie? Dlaczego sądzisz, że to ona? - Erlendur wstał i wyszedł do kuchni, by móc spokojnie rozmawiać.

- Przyjeźdź tu i sam zobacz - powiedział Sigurdur Oli. - To nie może być nikt inny. Przyjeźdź i się przekonaj.

I przerwał połączenie.

## 26.

Piętnaście minut później Erlendur i Elinborg byli już na wzgórzu. W pośpiechu pożegnali Mikkelinę. Patrzyła ze zdziwieniem, jak opuszczają jej mieszkanie. Erlendur powiedział jej o telefonie Sigurdura Olego i o narzeczonej Beniamina, wyjaśniając, że muszą jechać na wzgórze, bo właśnie odkopują kości. Na koniec poprosił, by dokończyła swoją historię później. Przeprosił ją, że z powodu pilnych obowiązków muszą chwilowo odłożyć rozmowę.

- A może powinnam pojechać z wami? - spytała Mikkelina w przedpokoj, patrząc, jak oboje wychodzą. - Ja jeszcze...

- Nie teraz - przerwał jej Erlendur. - Porozmawiamy później. Mamy nowy wątek w tej sprawie.

Na wzgórzu czekał na nich Sigurdur Oli i natychmiast zaprowadził ich do Skarphedinna stojącego przy grobie.

- Erlendurze - powiedział archeolog, przywitawszy się - za chwilę będzie koniec. W sumie nie zajęło to aż tak dużo czasu.

- I co odkryliście? - spytał Erlendur.

- To jest kobieta - pośpieszył z odpowiedzią podniecony Sigurdur Oli. - Co do tego nie ma wątpliwości.

- A dlaczego? - spytała Elinborg. - Od kiedy to stałeś się lekarzem?

- Tu nie potrzeba lekarza - odparł Sigurdur Oli. - To jest oczywiste.

- W grobie mamy dwa szkielety - wyjaśni! Skarpheddinn. - Jeden dorosłej osoby, najprawdopodobniej kobiety, a drugi dziecka, bardzo małego, niewykluczone, że nienarodzonego. W każdym razie tak ten szkielet jest ułożony.

Erlendur patrzył nań zszokowany.

- Dwa szkielety?

Spojrzał na Sigurdura Olego, zrobił dwa kroki i zajrzał w głąb grobu. Od razu się zorientował, co Skarpheddinn miał na myśli. Większy szkielet już w zasadzie został odkopany w całości i widać go było wyraźnie, z uniesioną ręką, rozdziawioną szczęką pełną ziemi i z połamanymi żebrami. Puste oczodoły wypełniała ziemia, a ciało na twarzy jeszcze się całkiem nie rozłożyło.

Na tym szkielecie spoczywał drugi, bardzo drobny, skulony w pozycji embrionalnej. Archeolodzy szczoteczkami ostrożnie usunęli z niego ziemię. Kości kończyn dolnych i górnych miały wielkość ołówka, a główka rozmiarem przypominała malutką piłkę. Leżał na dużym szkielecie w okolicach miednicy z głową skierowaną w dół.

- Czy to w ogóle może być ktoś inny? - retorycznie spytał Sigurdur Oli. - Nie jest to narzeczona? Przecież była w ciąży. Jak jej było na imię?

- Solveig - odpowiedziała Elinborg. - To ona była w tak zaawansowanej ciąży? - Zamyśliła się, zapatrzona w szkielety.

- Na tym etapie mamy do czynienia z dzieckiem czy z płodem? - spytał Erlendur.

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Sigurdur Oli.

- Ja też nie - przyznał Erlendur. - Potrzebny nam biegły. Możemy zabrać stąd szkielety w takim stanie, w jakim są, i przewieźć je do kostnicy przy Baronsstigur? - zwrócił się do Skarphedinna.

- Co to znaczy w takim stanie, w jakim są?

- Jeden na drugim.

- Musimy tylko oczyścić duży szkielet. Zdejmiemy z niego jeszcze trochę ziemi, małymi szczoteczkami i pędzelkami, ostrożnie dostaniemy się pod spód i wtedy chyba zdołamy podnieść oba razem, tak. Myślę, że to się może udać. Nie chce pan, żeby lekarz obejrzał je sobie po prostu tutaj? W grobie? Tak, jak leżą?

- Nie, wolę, żeby były pod dachem - odparł Erlendur. - Musimy je zbadać w jak najlepszych warunkach.

W porze kolacji szkielety zostały całkowicie odsłonięte. Erlendur, Elinborg i Sigurdur Oli byli obecni przy ich przenoszeniu. Zdaniem Erlendura archeolodzy zrobili to bardzo fachowo. Nie żałował, że zlecił im to zadanie. Skarphedinn kierował ich poczynaniami z taką samą konsekwencją, jaką okazywał podczas całej akcji ekshumacyjnej. Powiedział Erlendurovi, że zżyli się już z tym szkieletem, który zresztą nazwali Człowiekiem Tysiąclecia na cześć Erlendura, i że będzie im go brakowało. Ale ich praca jeszcze się nie skończyła. Skarphedinn, który przy okazji złapał bakcyła kryminalistyki, postanowił wraz ze swoimi ludźmi przeszukać ziemię w nadziei znalezienia jakichś dowodów, które pomogłyby odpowiedzieć na pytanie, co wydarzyło się na wzgórzu wiele lat temu. Kazał szczegółowo sfilmować prace ekshumacyjne, zarówno na kasetach, jak i taśmach filmowych, twierdząc, że jest to doskonały materiał na ciekawy

wykład na uniwersytecie, zwłaszcza jeśli Erlendurowi uda się kiedyś wyjaśnić, w jaki sposób kości znalazły się w ziemi, dodał, szczerząc w uśmiechu kły.

Szkielety odwieziono do kostnicy przy Baronsstigur, gdzie miały zostać dokładnie zbadane. Lekarz sądowy przebywał z rodziną na wczasach w Hiszpanii i miał wrócić dopiero za tydzień, jak poinformował Erlendura telefonicznie po południu. Pewnie przygotowywał się do grilla i był już pod dobrą datą, jak przypuszczał Erlendur. Lekarz okręgowy z Reykjavíku obserwował wydobywanie kości z grobu i ich załadunek do policyjnej karetki i zadbał o to, by znalazły się na właściwym miejscu w kostnicy.

Zgodnie z życzeniem Erlendura nie rozdzielono dwóch szkieletów, lecz przewieziono je razem. Dlatego archeolodzy musieli załadować też dość dużo ziemi z miejsca pochówku. Na stole sekcyjnym w kostnicy przed stojącymi obok siebie, skąpanymi w świetle jarzeniowym Erlendurem i lekarzem okręgowym leżała zatem spora kupka piachu. Lekarz ściągnął białe prześcieradło, którym przykryto szkielety. Stali tak i oglądali kości.

- To co? Chyba przede wszystkim powinniśmy poznać wiek obu szkieletów - powiedział Erlendur, spoglądając na lekarza okręgowego.

- Tak, wiek - zamyślił się lekarz. - Zdaje pan sobie sprawę, że różnice między szkieletem kobiety a męczyzny są znikome i sprowadzają się do budowy miednicy, a tej nie możemy dokładnie zobaczyć, bo zasłania ją mniejszy szkielet i warstwa ziemi? Moim zdaniem większy szkielet ma wszystkie dwieście sześć kości. Żebra są połamane, o czym wiedzieliśmy. Szkielet jest dość duży, to była raczej wysoka kobieta. Takie są moje pierwsze wrażenia z oględzin, ale wolałbym się tym nie zajmować.



Czy musimy się śpieszyć? Nie może pan tydzień poczekać? Ja się nie specjalizuję w autopsjach i określaniu wieku kości. Mogą mi umknąć różne rzeczy, które przygotowany do tego lekarz sądowy zauważy, oceni i zinterpretuje. Jeśli chce pan, żeby wszystko zostało przeprowadzone w sposób fachowy, powinien pan poczekać. Po co ten pośpiech? Nie możemy poczekać? - powtórzył.

Erlendur dostrzegł krople potu na czole lekarza i przypomniał sobie, że ktoś kiedyś określił go jako człowieka obawiającego się trudnych zadań.

- Niech będzie - zgodził. - Nie ma pośpiechu. Przynajmniej tak sędzę. Chyba że te szkielety mają jakiś związek z czymś, o czym nie wiemy, i wyniknie z tego jakaś tragedia.

- Że niby ktoś, kto obserwował prace archeologów, wie, co się dzieje, i uruchomi jakąś lawinę zdarzeń?

- Zobaczmy, co będzie - odparł Erlendur. - Poczekamy na lekarza sądowego. Nie ma pośpiechu. Niemniej proszę się zastanowić, co może pan dla nas zrobić. Obejrzyć to na spokojnie. Może uda się panu oddzielić mały szkielet, nie zacierając ewentualnych śladów?

Lekarz okręgowy skinął głową, nie bardzo wiedząc, jak się zachować.

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedział w końcu.

Erlendur postanowił nie zwlekać do jutra i natychmiast porozmawiać z Elsą, siostrzenicą Beniamina Knudseną. Namówił Sigurdura Olego, by poszedł z nim do niej jeszcze tego wieczoru. Elsa zaprosiła ich do salonu. Usiedli. Erlendurovi wydała się bardziej zmęczona niż poprzednim razem, kiedy z nią rozmawiał. Obawiał się jej reakcji na wiadomość o znalezieniu dwóch szkieletów; doskonale

rozumiał, że już samo odgrzebywanie tej starej sprawy po tylu latach nie jest dla niej przyjemne, a co dopiero łączenie nazwiska jej wuja z morderstwem.

Przedstawił pokrótce to, co usłyszał od archeologów: że najprawdopodobniej są to zwłoki narzeczonej Beniamina. Elsa patrzyła to na Erlendura, to na Sigurdura Olego. Trudno jej było w to uwierzyć.

- Nie wierzę - jęknęła. - Chcecie mi panowie powiedzieć, że Beniamin zamordował swoją narzeczoną?

- Istnieje prawdopodobieństwo...

- I zakopał zwłoki na swojej posesji? Nie wierzę. Nie rozumiem, co chcecie przez to osiągnąć. Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie. Musi. Powiem wam tylko, że Beniamin nie był żadnym mordercą. Pozwoliłam wam grzebać do woli w piwnicy, ale teraz posunęliście się zbyt daleko. Myślicie, że zgodziłabym się na przeszukiwanie piwnicy, gdybyśmy ja albo moja rodzina mieli coś do ukrycia? Nie, przesadziliście panowie. Najlepiej będzie, jak opuścicie mój dom - powiedziała, podnosząc się z miejsca. - I to natychmiast!

- Ale przecież nie twierdzimy, że pani jest w jakikolwiek sposób zamieszana w tę sprawę - tłumaczył Sigurdur Oli. - Nie twierdzimy, że pani coś wiedziała i ukrywała to przed policją. Chyba że...?

- Co pan sugeruje? - oburzyła się Elsa. - Że coś wiedziałam? Chce pan powiedzieć, że jestem współwinna? Aresztuje mnie pan? Zamknie mnie pan w więzieniu?! Co to właściwie za sugestie?! - Przeniosła wzrok na Erlendura.

- Proszę się uspokoić - rzekł Erlendur. - Okazało się, że odkopaliśmy dwa szkielety, w tym jeden dziecka. Wiedzieliśmy, że narzeczone Beniamina była w ciąży.

A zatem nasuwa się wniosek, że to jej szczątki. Prawda? My niczego nie sugerujemy. Chcemy tylko wyjaśnić tę sprawę. Pani była niezwykle pomocna i doceniamy to. Nie każdy zachowałby się tak jak pani. To, że po ostatnich ustaleniach podejrzenia kierują się w stronę Beniamina, tego nie zmieni.

Elsa wciąż patrzyła na Erlendura, jakby był zbędnym meblem w jej domu. Po chwili jednak trochę się uspokoiła. Spojrzała na Sigurdura Olego, znów na Erlendura i wreszcie usiadła.

- To jakieś nieporozumienie - powiedziała. - Wiedzielibyście o tym, gdybyście znali Beniamina tak jak ja. On by nawet muchy nie skrzywdził. Nigdy.

- Dowiedział się, że jego narzeczona jest w ciąży - powiedział Sigurdur Oli. - Mieli zamiar wziąć ślub. Najwyraźniej był w niej bardzo zakochany. Swoją przyszłość opierał na działalności handlowej, na swojej pozycji w lepiej sytuowanej społeczności miasta. Przeżył szok. Może posunął się trochę za daleko? Jej zwłok nigdy nie znaleziono. Podobno miała się utopić. Zniknęła. Może to ją odnaleźliśmy.

- Powiedziała pani obecnemu tu Sigurdurowi Olemu, że Beniamin nie wiedział, kto jest ojcem dziecka jego narzeczonej - ostrożnie zaczął Erlendur. Obawiał się, czy nie zbyt pośpiesznie wyciągają wnioski. Przeklinał hiszpański urlop lekarza sądowego. Być może powinni byli poczekać z tą wizytą. Na potwierdzenie.

- To prawda - odparła Elsa. - Nie wiedział.

- Dowiedzieliśmy się, że później odwiedziła go matka Solveig i o wszystkim opowiedziała. Kiedy było już po wszystkim. Kiedy już Solveig zniknęła.

Elsa wyglądała na zaskoczoną.

- Nie wiedziałam o tym - powiedziała. - Kiedy?
  - Dużo później - wyjaśnił Erlendur. - Dokładnie nie wiem. A więc Solveig nie zdradziła, kto był ojcem dziecka. Z jakiegoś powodu milczała. Nie powiedziała Beniaminowi o tym, co zaszło. Zerwała zaręczyny i zachowała w tajemnicy imię ojca dziecka. Może po to, żeby chronić swoją rodzinę. Dobre imię swego ojca.
  - Co pan rozumie przez dobre imię swego ojca?
  - To jego bratanek zgwałcił Solveig, kiedy przebywała na wakacjach we Fljot.
- Elsa zapadła się w fotelu i nieświadomie uniosła dłoń do ust. Była kompletnie oszołomiona.
- Nie wierzę - szepnęła.

W tym samym czasie na drugim końcu miasta Elinborg opowiadała Barze o tym, co odkryto w grobie, i że najprawdopodobniej są to szczątki Solveig, narzeczonej Beniamina. I nie jest wykluczone, że to Beniamin je tam zakopał. Elinborg zaznaczyła oczywiście, że mówi to na własną odpowiedzialność, a policja jeszcze nie ma żadnych dowodów, poza jedyną poszlaką, że to właśnie on był ostatnim z jej znajomych, który widział ją żywą, i że w grobie znaleziono także szkielet dziecka. Szczegółowe badania kości zostaną dopiero przeprowadzone.

Bara słuchała relacji bez mrugnięcia okiem. Podobnie jak poprzednio była sama w swoim wielkim domu, otoczona bogactwem. Nie okazywała żadnych reakcji.

- Nasz ojciec nalegał, żeby poszła na zabieg - powiedziała. - Matka chciała, by pojechała z nią na wieś, urodziła dziecko i oddała je do adopcji, a potem wróciła jak gdyby nigdy nic i poślubiła Beniamina. Bez przerwy o tym rozmawiali i wzywali do siebie Solveig na rozmowy.

Wstała.

- Mama opowiedziała mi o tym dużo później.

Podeszła do dużej dębowej szafy, wyciągnęła z szuflady małą, białą chusteczkę i podniosła do oczu.

- Przedstawili jej te dwie możliwości. Trzeciej nigdy nie rozważano. Żeby urodziła dziecko i żeby stało się ono członkiem naszej rodziny. Solveig usiłowała ich przekonać, ale ani tata, ani mama nie chcieli o tym słyszeć. Nie chcieli widzieć tego dziecka. Chcieli je albo uśmiercić, albo oddać. Innej możliwości nie brali pod uwagę.

- A Solveig?

- Nie wiem - odparła Bara. - Biedna dziewczyna, nie wiem. Chciała urodzić dziecko, innej możliwości w ogóle sobie nie wyobrażała. Sama była taka młoda. Była jeszcze dzieckiem.

Erlendur spojrział na Elbę.

- Czy Beniamin mógł to potraktować jako zdradę?

- spytał. - Jeśli Solveig nie chciała mu powiedzieć, kto jest ojcem dziecka?

- Nikt nie wie, co między nimi zaszło podczas ich ostatniej rozmowy - odparła Elsa. - Najważniejsze rzeczy Beniamin opowiedział mojej matce, ale nie sposób dziś stwierdzić, czy powiedział wszystko, co ma jakieś znaczenie. Czy naprawdę ją zgwałcono? Mój Boże!

Patrzyła to na Erlendura, to na Sigurdura Olego.

- Beniamin mógł to uznać za zdradę - szepnęła.

- Przepraszam, co pani powiedziała? - spytał Erlendur.

- Beniamin mógł sobie pomyśleć, że go zdradziła - powtórzyła Elsa. - Ale to nie oznacza, że ją zamordował i zakopał na wzgórzu.

- Dlatego że milczała? - upewnił się Erlendur.

- Tak, dlatego że milczała - potwierdziła Elsa. - Nie powiedziała mu, kto jest ojcem. On nic nie wiedział o gwałcie. Tego jestem raczej pewna.

- Czy mógł namówić kogoś do pomocy? - spytał Erlendur. - Może zlecił komuś to zadanie?

- Nie rozumiem.

- Swój domek w Grafarholt wynajmował złodziejowi i zwyrodnialcowi. Samo w sobie to nic nie znaczy, ale to fakt.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Zwyrodnialcowi?

- No, na razie to chyba wystarczy. Może zbyt szybko się śpieszymy, Elso. Chyba najlepiej będzie poczekać na raport lekarza sądowego. Proszę wybaczyć, jeśli...

- Nie, ależ skąd, nie, jestem wam wdzięczna, że mogę przyglądać się śledztwu. Doceniam to.

- Poinformujemy panią o rozwoju wydarzeń - powiedział Sigurdur Oli.

- I macie kosmyk włosów - zauważyła Elsa. - Żeby to potwierdzić.

- Tak - przyznał Erlendur. - Mamy kosmyk włosów.

Elinborg wstała. Długi i ciężki dzień miał się ku końcowi. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. Podziękowała Barze i przeprosiła za tak późne najście. Bara powiedziała, że nic nie szkodzi. Odprowadziła ją do drzwi i zamknęła je za nią. Chwilę później odezwał się dzwonek i Bara znów musiała otworzyć.

- Czy ona była wysoka? - spytała Elinborg.

- Kto? - zdziwiła się Bara.

- Pani siostra - uściśliła Elinborg. - Czy była jakoś szczególnie wysoka, średnia czy niska? Jakiego była wzrostu?

- Nie, nie była wysoka - odpowiedziała Bara z lekkim uśmiechem. - Wręcz przeciwnie. Mówiło się raczej, że jest niska. Uchodziła za bardzo drobną kobietę. Nie wiele wyższa od krasnoludka, powiadała mama. Stanowili z Beniaminem bardzo śmieszny parę, bo on był ogromnego wzrostu i górował nad wszystkimi jak wieża.

Około północy lekarz okręgowy zadzwonił do Erlendura, który akurat był u córki w szpitalu.

- Jestem w kostnicy - zaczął - i właśnie rozdzieliłem oba szkielety. Mam nadzieję, że niczego nie popsułem. Nie jestem zbyt biegły w medycynie sądowej. Ale na stole i podłodze wszędzie jest pełno ziemi. Straszny bałagan.

- I? - ponaglił go Erlendur.

- A, przepraszam, więc mamy tu szkielet płodu, który miał co najmniej siedem miesięcy.

- Tak? - zniecierpliwiał się Erlendur.

- I nie ma w tym nic dziwnego. Tyle że...

- Tak?

- To dziecko mogło umrzeć zaraz po urodzeniu albo urodziło się martwe. Trudno mi to określić. Ale pod szkieletem dziecka nie leży jego matka.

- Czekaj, co...? Dlaczego tak twierdzisz?

- Osoba, która leżała pod dzieckiem czy została razem z nim pochowana, czy jak tam chcesz to określić, nie jest jego matką.

- Nie jest matką? O co ci chodzi? Więc kim?

- Na pewno nie matką. To wykluczone.

- Ale dlaczego?

- Nie ma co do tego wątpliwości - ciągnął lekarz okręgowy. - Świadczą o tym kości miednicy.

- Miednicy?
- Duży szkielet to szkielet mężczyzny. Pod dzieckiem leżał mężczyzna.



## 27.

Zima na wzgórzu była długa i ciężka.

Matka nadal pracowała w Gufunes, a chłopcy co rano jechali autobusem do szkoły. Grimur wrócił do pracy przy rozwózce węgla. Po aferze z kradzieżami wojsko nie chciało go ponownie zatrudnić. Baza została zlikwidowana, a baraki w całości przetransportowane do Halogaland. Pozostały tylko ogrodzenie i słupy oraz niewielki asfaltowy parking, który wylano przed barakami. Zabrano też z bunkra wielką armatę. Ludzie powiadali, że zbliża się koniec wojny. Niemcy wycofywali się z Rosji i wkrótce miała się zacząć wielka ofensywa na froncie zachodnim.

Tej zimy Grimur w zasadzie nie zauważał ich matki. Nie odzywał się do niej, jeśli nie liczyć słów obraźliwych. Już nie spali w jednym łóżku. Matka spała w łóżku Simona, a Grimur wziął do swojego Tomasa. Wszyscy poza Tomaszem zauważyli, że tej zimy matka przytyła nieco w pasie, aż w końcu brzuch zaczął jej sterczeć niczym słodko-bolesne wspomnienie letnich wydarzeń i przerażająca zapowiedź tego, co może się jeszcze wydarzyć, jeśli Grimur spełni swoje pogroźki.

Ze wszystkich sił starała się, by jej stan nie kłuł w oczy. Grimur regularnie jej groził. Powiedział, że nie pozwoli jej zachować przy sobie dziecka. Czasem mówił, że zabije je przy porodzie. Twierdził, że dziecko będzie debilem jak Mikkelina i najlepiej będzie zabić je od razu. Amerykańskie kurwię pierdolone, powiedział. Ale nie bił jej tej zimy. Zachowywał się w jej obecności cicho jak drapieżnik przygotowujący się do skoku na swoją ofiarę.

Próbowała poruszyć temat rozwodu, ale ją wyśmiał. Ludziom w Gufunes nie opowiadała, w jakim jest stanie, i ukrywała ciążę. Być może aż do końca uważała, że Grimur się opamięta i kiedy przyjdzie co do czego, jego zapowiedzi okażą się czczymi pogrozkami i mimo wszystko zastąpi dziecku ojca.

Aż w końcu sięgnęła po ostateczne rozwiązanie. Nie po to, żeby się mścić na Grimurze, choć powodów do tego miała bez liku, ale po to, by ochronić siebie i dziecko, które nosiła pod sercem.

Mikkelinę tej zimy mocno niepokoiło rosnące napięcie między matką a Grimurem. Zauważyła także zmianę, jaka zaszła w Simonie. Bardzo się o niego lękała. Zawsze był ogromnie przywiązany do matki, ale teraz po swoim powrocie ze szkoły i przyjściu matki z pracy ani na krok jej nie odstępował. Po wyjściu Grimura z więzienia stał się o wiele bardziej znerwicowany niż dotąd. Unikał ojca jak mógl, a jego obawy o matkę z każdym dniem rosły. Mikkelina słyszała czasem, jak rozmawia sam ze sobą, choć niekiedy zdawało jej się, że brat rozmawia z kimś, kogo ona nie widzi i kto nie może przebywać w ich domu; z kimś, kto nie istnieje. Słyszała, jak Simon głośno wylicza, co musi zrobić, żeby obronić matkę i dziecko, które nosiła, a którego ojcem był jego przyjaciel Dave. I

że od niego zależy, czy jego matka będzie bezpieczna przy Grimurze. Że od niego zależy, czy dziecko przeżyje. Nikt inny sobie nie poradzi. Jego przyjaciel Dave nigdy nie wróci. Simon bardzo poważnie traktował groźby Grimura. Wierzył święcie, że Grimur nie pozwoli dziecku żyć. Że je zabierze, a oni nigdy go nie zobaczą. Że zabierze je ze sobą na górę i wróci bez niego.

Tomas był milczący jak zawsze, ale i u niego Mikkeli-  
na wyczuła pod koniec zimy pewną zmianę. Grimur kazał mu sypiać w swoim łóżku, matce zaś zabronił spać w sypialni i przepędził ją do łóżka Tomasa, które było dla niej zbyt krótkie i niewygodne. Mikkeli-  
na nie miała pojęcia, co za nauki Grimur wpajał Tomasowi, dość że wkrótce chłopiec zaczął się wobec niej zachowywać zupełnie inaczej niż dotychczas. Nie chciał mieć z nią nic wspólnego i oddalił się także od Simona, choć zawsze dotąd byli nierozłączni. Matka usiłowała przemówić Tomasowi do rozsądku, ale on odwrócił się do niej plecami, wściekły, milczący, bezradny.

- Simon jakoś nam dziwaczeje - usłyszała raz sło-  
wa Grimura skierowane do Tomasa. - Już taki z niego  
dziwak jak z twojej matki. Uważaj na niego. Uważaj,  
żebyś się nie stał taki jak on. Bo wtedy ty też będziesz  
dziwakiem.

Raz Mikkeliną podsłuchiwała rozmowę matki z Grimu-  
rem o dziecku. Z tego, co wiedziała, tylko ten jeden raz  
pozwolił jej wygłosić własną opinię na ten temat. Już  
znacznie przybrała w pasie i Grimur zabronił jej praco-  
wać w Gufunes.

- Zrezygnujesz z tej roboty i powiesz, że musisz  
się zająć rodziną - usłyszała Mikkeli-  
na.

- Ale przecież możesz powiedzieć, że to twoje -  
błagała matka.

Grimur roześmiał się jej w twarz.

- Możesz.

- Stul głowę.

Mikkelina zauważyła, że Simon też podsłuchuje.

- Możesz powiedzieć, że to twoje dziecko - powtórzyła matka natarczywie.

- Nawet nie próbuj mnie namówić - odparł Grimur.

- Przecież nikt nic nie musi wiedzieć. Nikt nie musi się niczego dowiedzieć.

- Teraz już za późno na ratunek. Trzeba było o tym pomyśleć, kiedy ten cholerny jankes rznął cię na mchu.

- Przecież mogę oddać to dziecko - zaproponowała ostrożnie. - Nie tylko ja jestem w takiej sytuacji.

- O nie! - Grimur się zaśmiał. - Pół miasta dupczyło się z jankesami! Ale nie myśl sobie, że przez to jesteś jakaś lepsza.

- Nigdy nie będziesz musiał go oglądać. Oddam je, jak tylko przyjdzie na świat, i nawet go nie zobaczysz.

- Przecież wszyscy wiedzą, że moja żona to amerykańska kurwa - powiedział Grimur. - Każdy wie, że się z nimi puszczałaś.

- Nikt nie wie - odparła. - Nikt. Nikt nie wiedział o mnie i Davie.

- A ty myślisz, że skąd ja się o tym dowiedziałem, kretynko? Bo ty mi o tym powiedziałaś? Myślisz, że takie rzeczy się nie rozchodzą?

- Tak, ale nikt nie wie, że to jego dziecko. Nikt tego nie wie.

- Zamknij mordę - warknął Grimur. - Zamknij mordę albo...

I tak wszyscy czekali tej długiej zimy na to, co miało się stać i w przerażający sposób wydawało się nieuniknione.

Zacząło się od tego, że Grimur zaczął chorować.

Mikkelina wbiła wzrok w Erlendura.

- Tej zimy zaczęła mu dosypywać trucizny do jedzenia.

- Trucizny? - zdziwił się Erlendur.

- Nie wiedziała, co robi.

- Jak mu dosypywała tej trucizny?

- Pamięta pan sprawę gospodarstwa Dukskot w Reykjaviks

- Młoda kobieta użyła trutki na szczury i zabiła swego brata. Jakoś tak na początku ubiegłego wieku.

- Mama wcale nie chciała go zabić. Chciała tylko, żeby się rozchorował. Żeby mogła urodzić dziecko i oddać je do adopcji, zanim on odkryje, co się stało i że dziecko zniknęło. Kobieta w Dukskot podawała swojemu bratu trutkę na szczury. Mieszała duże porcje z twarogiem nawet wtedy, kiedy on to widział, ale nie wiedział, co to jest. Był w stanie o tym opowiedzieć tylko dlatego, że umarł dopiero kilka dni później. Do twarogu podawała mu gorzałkę, żeby zabić smak trutki. Przy sekcji odkryto fosfor, który działa z opóźnieniem. Nasza matka знаła tę historię, o tym morderstwie sporo się w Reykjaviku mówiło. W Gufunes zdobyła trutkę na szczury. Kradła niewielkie porcje i dodawała mu do jedzenia. Dawki były bardzo małe, tak że nie czuł żadnego podejrzanego smaku. Nic nie wzbudzało jego podejrzeń. Nie trzymała trucizny w domu, ale dopóki pracowała, za każdym razem brała, ile jej było trzeba. Odchodząc z pracy, wzięła większą porcję i ukryła w domu. Nie miała pojęcia, jakie będą objawy i jak trucizna na niego po-działa. Czy w ogóle zadziała w tak niewielkich dawkach.

Ale po jakimś czasie trucizna zaczęła działać. Grimur osłabł, często chorował i bywał zmęczony, wymiotował. Nie chodził do pracy. Leżał w łóżku i cierpiał.

- I nigdy niczego nie podejrzewał? - spytał Erlendur.

- Zorientował się dopiero, kiedy już było za późno - odparła Mikkalina. - Nie wierzył lekarzom. A ona oczywiście nie zachęcała go do pójścia na badania.

- A co z tym, co powiedział wcześniej, że zrobi porządek z Dave'em? Wspominał jeszcze kiedyś o tym?

- Nie, nigdy - zaprzeczyła Mikkalina. - To tylko były takie jego przechwałki. Gadanie, żeby wystraszyć mamę. Wiedział, że kochała Dave'a.

Siedzieli w jej salonie, Erlendur i Elinborg, i słuchali rodzinnej sagi. Powiedzieli Mikkalinie, że szkielet znaleziony w grobie w Grafarholt pod szkieletem dziecka należał do mężczyzny. Mikkalina tylko potrząsnęła głową; sama mogła im to powiedzieć, gdyby nagle nie uciekli od niej bez słowa.

Chciała dowiedzieć się czegoś na temat małych kostek, ale kiedy Erlendur zapytał, czy chce je zobaczyć, odmówiła.

- Ale chciałabym je dostać, kiedy wam już przestaną być potrzebne - powiedziała. - Najwyższy czas, żeby spoczęła w święconej ziemi.

- Ona? - spytała Elinborg.

- Tak. Ona - odparła Mikkalina.

Sigurdur Oli poinformował Elbę o odkryciu lekarza okręgowego. Szkielet znaleziony w grobie nie mógł należeć do Solveig, narzeczonej Beniamina. Elinborg telefonicznie przekazała siostrze Solveig, Barze, tę samą wiadomość.

Kiedy Erlendur i Elinborg jechali do Mikkeliney, na komórkę Erlendura zadzwonił Hunter. Powiedział mu, że jeszcze nie udało mu się ustalić, co się stało z Davidem Welchem; nie miał pojęcia, czy i kiedy został odesłany z kraju. Powiedział, że będzie szukał dalej.

Wcześniej tego ranka Erlendur zajrzał do córki na OIOM. Jej stan nie uległ zmianie. Posiedział przy niej chwilę, dalej snując opowieść o swoim bracie, który stracił życie na wyżynach niedaleko Eskifjordur, kiedy Erlendur miał dziesięć lat. Spędzali z ojcem owce z hal, kiedy nastąpiło nagle załamanie pogody. Bracia zgubili ojca i wkrótce stracili też kontakt ze sobą. Ojciec długo błądził, aż trafił do jakiegoś gospodarstwa. Rozesłano ekipy poszukiwawcze.

- Znaleźli mnie jakimś dziwnym zrządzeniem losu - podsumował Erlendur. - Nie wiem dlaczego. Miałem na tyle rozsądku, żeby zagrzebać się w śniegu. Byłem prawie martwy, kiedy wbili tyczkę w zaspę i w moje ramię. Wyprowadziliśmy się stamtąd. Nie mogliśmy dłużej tam mieszkać, wiedząc, że on zaginął na wyżynie. Usiłowaliśmy rozpocząć nowe życie w Reykjavíku. Na próżno.

W tym momencie na salę wszedł lekarz. Przywitał się z Erlendurem i zamienili kilka słów na temat stanu Evy Lind. Bez zmian, stwierdził lekarz. Żadnych oznak poprawy, nie wiadomo, czy się wybudzi. Pomilczeli. Pożegnali się. Lekarz odwrócił się jeszcze w drzwiach.

- Nie powinien pan robić sobie nadziei na cud - powiedział i zdziwił się, kiedy Erlendur smutnie się uśmiechnął.

A teraz Erlendur siedział naprzeciw Mikkeliney i myślał o swojej córce na szpitalnym łóżku i bracie spoczywającym

w śniegu, a słowa gospodyni sęczyły mu się do ucha.

- Moja matka nie jest żadną morderczynią - powiedziała.

Erlendur patrzył na nią.

- Nie była żadną morderczynią - powtórzyła Mikkelina. - Myślała, że może uratować dziecko. Obawiała się o swoje dziecko.

Zerknęła na Elinborg.

- Zresztą on nie umarł - powiedziała. - Nie umarł od trucizny.

- Ale powiedziałaś, że niczego nie podejrzewał, dopóki nie było za późno - zauważyła Elinborg.

- Tak - potwierdziła Mikkelina. - Wtedy już było za późno.

Tamtego wieczoru wyglądało, jakby Grimur, który cały dzień bardzo źle się czuł i leżał w łóżku, w końcu się poddał.

Matka odczuwała bóle brzucha, które pod wieczór przerodziły się w regularne skurcze porodowe. Wiedziała, że to jeszcze za wcześnie. Dziecko chciało przyjść na świat przed czasem. Kazała chłopcom przynieść sobie materace z ich pokoju. Wzięła także materac z łóżka Mikkeliny w kuchni, przygotowała sobie legowisko na podłodze i położyła się mniej więcej w porze kolacji.

Poprosiła Simona i Mikkelinę, by przygotowali czyste prześcieradła i gorącą wodę do umycia dziecka. Urodziła już troje dzieci, więc te bóle nie były dla niej niczym nowym.

Wciąż jeszcze panowała ciemna zima, choć tego dnia niespodziewanie się ociepliło i spadł deszcz. Wkrótce



miała nadejść wiosna. Matka w ciągu dnia zajmowała się porzeczkami - robiła wiosenne porządki, przycinała martwe gałązki. Powiedziała, że jesienią obrodzą smacznymi owocami, a ona nasmaży doskonałego dżemu. Simon nie odstępował jej ani na krok. Był z nią przy krzewach. Ona usiłowała go uspokoić. Powtarzała, że wszystko będzie dobrze.

- Nic nie będzie w porządku - powiedział Simon. I powtórzył: - Nic nie będzie w porządku. Nie wolno ci urodzić dziecka. Nie wolno. On tak mówi. I zabije dziecko. Tak mówi. Kiedy urodzisz to dziecko?

- Nie przejmuj się tym tak bardzo - uspokajała go matka. - Kiedy dziecko się urodzi, zabiorę je do miasta i on go nigdy nie zobaczy. Jest chory i nic nie będzie mógł zrobić. Całymi dniami leży w łóżku i nie może się ruszyć.

- Ale kiedy urodzisz?

- To może się stać w każdej chwili - uspokajała go matka. - Miejmy nadzieję, że jak najszybciej, bo wtedy szybko będzie po wszystkim. Nie bój się, Simonie. Musisz być silny. Dla mnie, Simonie.

- A dlaczego nie pójdziesz do szpitala? Dlaczego od niego nie odejdziesz, żeby urodzić dziecko?

- On mi na to nie pozwoli - powiedziała. - Zabrałby mnie stamtąd i kazał rodzić w domu. Nie chce, żeby to się rozniosło. Powiemy po prostu, że je znaleźliśmy. Oddamy je dobrym ludziom. On chce, żeby tak było. Wszystko będzie dobrze.

- Ale on mówi, że je zabije.

- Nie robi tego.

- Tak się boję! - załkał Simon. - Dlaczego musi tak być? Nie wiem, co robić. Nie wiem, co mam robić - powtórzył. Zorientowała się, że syn zupełnie nie panuje nad emocjami.

Teraz stał i patrzył na matkę leżącą na materacach w kuchni, bo było to jedyne pomieszczenie poza sypialnią na tyle duże, by można było w nim urodzić. Zaczął się bezgłośnie poród. Tomas był w sypialni z Grimurem. Simon podkraść się pod drzwi sypialni i zamknął je.

Mikkelina leżała obok matki, która starała się zachowywać możliwie najciszej. Drzwi sypialni otworzyły się. Na korytarzu zjawił się Tomas. Po chwili był już w kuchni. Grimur siedział na łóżku i jęczał. Wysłał Tomasa po miskę z kaszą, którą zostawił nietkniętą w kuchni. Powiedział mu, żeby też się poczęstował.

Tomas minął matkę, Simona i Mikkelineę, spojrzął na dziecko, którego główka była już widoczna. Matka ciągnęła je z całych sił, aż ukazały się ramiona.

Tomas wziął miskę z kaszą i łyżkę. Nagle matka zauważyła kątem oka, jak podnosi ją do ust.

- Tomas! Na rany Chrystusa, nie dotykaj tej kaszy! - krzyknęła rozpaczliwie.

W domu zaległa śmiertelna cisza. Dzieci wbiły wzrok w matkę siedzącą z nowo narodzonym dzieckiem na rękach, patrzącą na Tomasa, który tak się wystraszył, że upuścił miskę na podłogę. Rozbiła się na kawałeczki.

W sypialni zatrzeszczały sprężyny łóżka.

W kuchni zjawił się Grimur. Spojrzął na matkę i nowo narodzone dziecko w jej ramionach. Nie potrafił ukryć obrzydzenia. Potem popatrzył na Tomasa i kaszę na podłodze.

- Czy to możliwe? - szepnął zdumiony, jakby w końcu znalazł rozwiązanie zagadki, nad którą długo się zastanawiał. Znowu spojrzął na matkę.

- Chcesz mnie otruć?! - dodał głośno.

Matka podniosła wzrok na Grimura. Mikkelina i Simon nie mieli odwagi spojrzeć na niego. Tomas zamarł bez ruchu nad rozlaną kaszą.

- Cały czas coś podejrzewałem! To moje osłabienie. Ten ból. Choroba...

Grimur rozglądał się po kuchni. Potem rzucił się do szafek i zaczął wyciągać szuflady. Wpadł w szal. Wyrzucił zawartość szafek na podłogę. Wyciągnął starą torebkę z mąką i cisnął nią o ścianę. Rozerwała się i z mąki wypadł na podłogę nieduży słoik.

- Czy to jest to?! - wrzasnął. Podniósł słoik z podłogi. Pochylił się nad matką.

- Od jak dawna to robisz? - syknął.

Matka patrzyła mu prosto w oczy. Na podłodze obok niej paliła się mała świeczka. Zanim zaczął się poród, wzięła też w pośpiechu nożyce, które teraz leżały obok niej. Obcięła nimi pępowinę i zawiązała drżącymi rękami, kiedy on szukał trucizny.

- Odpowiadaj!! - ryknął Grimur.

Nie musiała odpowiadać. Widział to w jej oczach. Po minie. Po uporze. Po wyniosłości, którą zawsze go obrażała. Nieważne, jak bardzo znęcał się nad nią, nieważne, jak bardzo ją bił, widział to teraz w jej milczącym uporze, w jej prowokacyjnym spojrzeniu i w utrzymanym w ramionach okrwawionym żołnierskim pomociu.

Okazywała mu pogardę dzieckiem trzymanym na rękach.

- Zostaw mamę w spokoju - powiedział cicho Simon.

- No, dawaj mi je! - wrzeszczał Grimur. - Oddaj mi dziecko, pierdolona trucieli!ko!

Matka pokręciła głową.

- Nie dam ci go - odezwała się cicho.

- Zostaw mamę w spokoju! - powtórzył głośniejszym głosem Simon.

- Dawaj! - krzyczał Grimur. - Albo oboje was pozabijam! Wszystkich was pozabijam! Zabiję was!! Wszystkich!!

Wściekły, toczył pianę z ust.

- Ty pierdolona kurwo! Chciałaś mnie zabić! Myślisz, że możesz mnie zabić!

- Przestań! - krzyknął Simon.

Matka mocno tuliła do siebie dziecko jedną ręką, a drugą szukała nożyc. Nie znalazła ich jednak. Odwróciła wzrok od Grimura w rozpaczliwym poszukiwaniu nożyczek, które gdzieś zniknęły.

Erlendur patrzył na Mikkelinę.

- Kto zabrał nożyce? - spytał.

Mikkelina wstała i podeszła do okna. Erlendur i Elinborg spojrzeli po sobie. Oboje pomyśleli o tym samym.

- Pani jest jedynym świadkiem tamtych wydarzeń? - zainteresował się Erlendur.

- Tak - odparła Mikkelina. - Nie ma nikogo innego.

- Kto wziął nożyczki? - spytała Elinborg.

## 28.

Chcielibyście poznać Simona? - spytała Mikkelina. Oczy miała pełne łez.

- Simona? - spytał Erlendur, nie rozumiejąc, o czym mówi. A potem sobie przypomniał. Przypomniał sobie mężczyznę, który przyjechał po nią na wzgórze. - Chodzi o pani syna?

- Nie, nie o mojego syna. O mojego brata - powiedziała Mikkelina. - O Simona, mojego brata.

- On żyje?

- Tak. Żyje.

- No to będziemy musieli z nim porozmawiać - powiedział Erlendur.

- To niewiele da - uśmiechnęła się Mikkelina. - Ale pojedziemy się z nim spotkać. Lubi, jak się go odwiedza.

- A nie dokończy nam pani rozpoczętej historii? - spytała Elinborg. - Ależ to było bydlę. Aż się nie chce wierzyć. Że też człowiek może się tak zachowywać.

Erlendur spojrział na nią znacząco. Mikkelina podjęła decyzję.

- Opowiem ją wam po drodze. Pojedziemy spotkać się z Simonem.

Simon! - krzyknęła matka.

- Zostaw mamę w spokoju! - wrzeszczał Simon łamiącym się głosem i zanim zdążyli się zorientować, wbił nożyce w pierś Grimura.

Szarpnął rękę do siebie. Wtedy wszyscy zauważyli nożyce wbite po rękojeść w klatkę piersiową Grimura. Ten patrzył zdziwiony na syna, jakby nie rozumiał, co się stało. Spojrzał na nożyce, ale nie był w stanie się poruszać. Znów popatrzył na Simona.

- Zabiłeś mnie? - jęknął i opadł na kolana. Krew tryskała spod nożyczek na podłogę. Grimur przechylał się powoli na plecy, aż w końcu padł na podłogę.

Przeżrana matka w milczeniu mocno ścisnęła nowo narodzone dziecko. Mikkelina leżała przy niej bez ruchu. Tomas nadal stał nad rozpaćkaną na podłodze kaszą. Stojący obok matki Simon zaczął dygotać. Grimur się nie ruszał.

W domu zapanowała grobowa cisza.

Dopóki z piersi matki nie wyrwał się przesywający okrzyk rozpacz.

Mikkelina przerwała na chwilę.

- Nie wiem, czy dziecko urodziło się martwe, czy mama tak bardzo chciała je przed nim ochronić, że uduśliło się w jej ramionach. Urodziła je znacznie przed terminem. Spodziewała się go na wiosnę, ale kiedy przyszło na świat, wciąż jeszcze była zima. Ani razu nie krzyknęło. Mama nie oczyściła mu dróg oddechowych, tylko przyciskała jego buzię do piersi, wtulając je w siebie ze strachu przed Grimurem. Ze strachu, że je zabierze.

Erlendur zgodnie ze wskazówkami Mikkeliny skrzył pod niepozorną wilgę.

- Czy umarłby na wiosnę? - spytał. - Jej mąż? Czy liczyła na to?

- Może - odparła Mikkelina. - Podtruwała go już od trzech miesięcy. Ale to nie wystarczyło.

Erlendur zatrzymał samochód na podjeździe i wyłączył silnik.

- Słyszeliście o hebefrenii? - spytała Mikkelina, otwierając drzwi.

Matka wpatrzona w martwe dziecko w swoich ramionach kołysała się w przód i w tył i głośno płakała.

Simon zdawał się jej nie dostrzegać. Stał, patrząc na zwłoki ojca, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Pod ciałem utworzyła się wielka kałuża krwi. Simon drżał jak osika.

Mikkelina usiłowała uspokoić matkę, ale na próżno. Tomas bez słowa przeszedł obok nich, zniknął w sypialni i zamknął za sobą drzwi. Nie okazując nawet cienia reakcji.

Czas płynął.

Po chwili Mikkelinie udało się uspokoić matkę. Opłoniła się, umilkła i rozejrzała się wokół. Zauważyła Grimura leżącego na podłodze we krwi, tuż przy sobie zobaczyła trzęsącego się jak osika Simona, zobaczyła przerażoną twarz Mikkeliny. Następnie zaczęła myć dziecko w gorącej wodzie, którą wcześniej przygotował jej Simon. Jej ruchy były spokojne, precyzyjne i pewne. Doskonale wiedziała, co robić, i nie musiała zastanawiać się nad szczegółami. Odłożyła dziecko, wstała i objęła Simona, który wciąż stał w tym samym miejscu. Przestał się trząść, ale zaczął ciężko szlochać. Poprowadziła go do krzesła i kazała usiąść tyłem do zwłok. Potem podeszła do Grimura, wyciągnęła nożyczki z rany i wrzuciła je do zlewu.

Usiadła na krześle, osłabiona porodem.

Mówiła Simonowi, co powinni zrobić, i wydawała polecenia Mikkelinie. Przeturlali Grimura na narzutę i przyciągnęli zwłoki pod drzwi wyjściowe. Matka wyszła razem z Simonem. Odeszli kawałek od domu i Simon zaczął kopać wielki dół. W ciągu dnia rozjaśniło się nieco, ale znów zaczął padać deszcz, zimny i ciężki zimowy deszcz. Ziemia nie była zamrznięta. Simon kruszył ją motyką. Po dwóch godzinach kopania poszli po zwłoki i przyciągnęli je do grobu. Zrzucili ciało z narzuty do dołu. Leżało w grobie z lewym ramieniem wyciągniętym ku górze, ale ani Simonowi, ani matce nie starczyło odwagi, by go dotknąć.

Matka ciężkim, powolnym krokiem wróciła do domu po dziecko, wyniosła je na zimny deszcz i położyła obok ciała.

Chciała zrobić nad grobem znak krzyża, lecz się rozmyśliła.

- On nie istnieje - powiedziała.

Potem zaczęła zasypywać zwłoki. Simon stał obok i patrzył, jak mokra, czarna ziemia uderza o ciała. Widział, jak powoli pod nią znikają. Mikkelina w tym czasie zaczęła sprzątać kuchnię. Tomasa nigdzie nie było widać.

Zwłoki pokrywała już gruba warstwa ziemi, kiedy Simonowi wydało się, że Grimur się poruszył. Przestraszony spojrział na matkę, która niczego nie zauważyła. Znów popatrzył więc w grób i ku swemu przerażeniu zauważył, że twarz Grimura, na wpeł przykryta ziemią, poruszyła się.

Oczy się otwarły.

Simon stał jak wmurowany.

Grimur wbił w niego wzrok z grobu.



Simon krzyknął przeraźliwie. Matka przestała zasypywać dół. Najpierw spojrzała na Simona, potem do grobu i zauważyła, że Grimur wciąż żyje. Stała na samej krawędzi wykopu. Deszcz strumieniem lał się z nieba i zmywał ziemię z twarzy Grimura. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a po chwili wargi Grimura się poruszyły.

- No, dawaj!

I oczy znów się zamknęły.

Matka spojrzała na Simona. I w dół. I znów na Simona. Podniosła łopatę i znów zaczęła zasypywać dziurę w ziemi, jakby nic się nie stało. Grimur zniknął pod ziemią i więcej go nie widzieli.

- Mamo - jęknął Simon.

- Idź do domu, Simonie - poleciała matka. - Już po wszystkim. Idź do domu i pomóż Mikkelinie. Proszę cię, Simonie. Idź do domu.

Simon, przemoczony lodowatym deszczem, patrzył na matkę machającą łopatą, zasypującą grób. Potem w milczeniu powlókł się do domu.

Niewykluczone, że Tomas obwiniał o to wszystko siebie - powiedziała Mikkelina. - Nigdy o tym nie mówił i nie chciał z nami rozmawiać. Zupełnie zamknął się w sobie. Po tym, jak mama na niego krzyknęła i upuścił miskę na podłogę, i po tragedii, która kompletnie zmieniła nasze życie i spowodowała śmierć jego ojca.

Siedzieli w schludnej świetlicy, czekając na Simona. Powiedziano im, że wybrał się na spacer, ale w każdej chwili może wrócić.

- Personel jest tutaj wyjątkowo sympatyczny - powiedziała Mikkelina. - Nigdzie nie mogłoby mu być lepiej.

- Nikt nie poszukiwał Grimura czy...? - zainteresowała się Elinborg.

- Mama dokładnie wysprzątała dom i cztery dni później zgłosiła, że mąż wybrał się na piechotę do Selfoss przez wyżynę Hellsheidi i od tamtego czasu nie dał znaku życia. Nikt nie wiedział o ciąży, a przynajmniej nikt jej o nią nigdy nie pytał. Wysłano ekipy ratownicze, ale oczywiście go nie znaleziono.

- I co niby miały mieć do załatwienia w Selfoss?

- Mama nigdy nie musiała tego wyjaśniać - wyjaśniła Mikkeline. - Nigdy nie pytano jej szczegółowo o jego zamiary. W końcu kiedyś siedział w więzieniu. Był złodziejem. Co ich mogło obchodzić, jaki miał interes w Selfoss? W ogóle ich nie interesował. Ani trochę. Mieli dość roboty na co dzień. Tego dnia, kiedy mama zgłosiła jego zaginięcie, amerykańscy żołnierze zastrzelili Islandczyka.

Na twarzy Mikkeliney pojawił się nikiły uśmiech.

- Minęło kilka dni. Potem tygodni. Nigdy się nie znała. Uznano go za zaginionego. Zaginął. Bardzo typowy islandzki przypadek.

Westchnęła.

- Mama najbardziej opłakiwała Simona.

Kiedy już było po wszystkim, w domu zapanowała niesamowita cisza.

Matka siedziała przy kuchennym stole wciąż mokra od deszczu i patrzyła przed siebie. Jej oblepione ziemią dłonie spoczywały na blacie. Dzieci w ogóle nie dostrzegała. Mikkeline siedziała obok niej i gładziła ją po rękach. Tomas nadal nie wychodził z sypialni. Simon stał w kuchni, zapatrzony na deszcz, łzy spływały mu po policzkach. Spojrzył na matkę i Mikkelinę, po czym

znów przeniósł wzrok za okno, gdzie w deszczu majaczyły krzaki porzeczek. W końcu wyszedł z domu.

Był mokry, zziębnięty i trząsał się na deszczu, zbliżając się do krzewów. Zatrzymał się i dotknął nagich gałęzi. Spojrzał w niebo. Było czarne, a z oddali dochodziły odgłosy burzy.

- Wiem - powiedział Simon. - Inaczej się nie dało.  
Spuścił głowę. Deszcz chłostał go po twarzy.

- To było takie trudne. Takie trudne i takie złe, tak długo. Nie wiem, dlaczego on taki był. Nie wiem, dlaczego musiałem go zabić.

- Simonie, z kim rozmawiasz? - spytała matka, podchodząc i obejmując go.

- Jestem mordercą - powiedział Simon. - Zabiłem go.

- Ale nie w moich oczach, Simonie. W moich oczach nigdy nie będziesz mordercą. Nie bardziej niż ja. Być może on sam zgotował sobie taki los. Najgorsze, co się może stać, że teraz, kiedy on już nie żyje, będziesz cierpieć za to, że on był taki.

- Mamo, ale ja go zabiłem.

- Bo nic innego nie mogłeś zrobić. Musisz to zrozumieć, Simonie.

- Tak mi źle.

- Wiem, Simonie. Wiem.

- Tak mi źle.

Matka spojrzała na porzeczkę.

- Jesienią na krzaczkach pojawią się owoce i wtedy wszystko będzie dobrze. Słyszysz, Simonie? Wszystko będzie dobrze.

## 29.

Otworzyły się drzwi domu opieki i ukazał się w nich mężczyzna około siedemdziesiątki, przygarbiony, siwy, o przerzedzonych włosach, przyjaznej, uśmiechniętej twarzy, ubrany w ładny, gruby sweter i szare spodnie. Za nim szedł pracownik domu opieki, który dowiedział się, że pensjonariusz ma gości. Simon został zatem skierowany do świetlicy.

Erlendur i Elinborg podnieśli się z miejsc. Mikkeline ruszyła naprzeciw mężczyźnie i uściskała go, a on się do niej uśmiechnął. Twarz miał pogodną jak u dziecka.

- Mikkeline - powiedział zadziwiająco młodym głosem.

- Cześć, Simonie - przywitała go Mikkeline. - Przyprowadziłam ludzi, którzy pragną cię poznać. To jest Elinborg, a ten pan tutaj ma na imię Erlendur.

- A ja jestem Simon - odparł mężczyzna, podając im rękę. - Mikkeline to moja siostra.

Erlendur i Elinborg skinęli głowami.

- Simon jest niezwykle szczęśliwy - zaczęła Mikkeline. - I choć my tacy nie jesteśmy i nigdy nie byliśmy, Simon jest szczęśliwy, i to jest najważniejsze.

Simon usiadł obok nich, chwycił Mikkelinę za rękę i uśmiechnął się do niej. Potem pogłaskał ją po twarzy i uśmiechnął się do Erlendura i Elinborg.

- Co to za ludzie? - zapytał.
- Moi przyjaciele - odpowiedziała mu Mikkelina.
- Dobrze ci tutaj? - spytał Erlendur.
- Jak ci na imię? - zainteresował się Simon.
- Erlendur.

Simon zastanawiał się chwilę.

- Jesteś obcokrajowcem? - zapytał.
- Nie, Islandczykiem - odrzekł Erlendur.

Simon uśmiechnął się.

- Ja jestem bratem Mikkeliny.

Mikkelina gładziła go po dłoni.

- Ci państwo są z policji, Simonie.

Simon podniósł wzrok z Erlendura na Elinborg.

- Wiedzą o wszystkim, co się wydarzyło - powiedziała Mikkelina.

- Mama nie żyje - rzekł ze smutkiem Simon.
  - Tak, mama nie żyje - potwierdziła Mikkelina.
  - Mów ty - błagalnie zwrócił się Simon do siostry.
- Ty z nimi rozmawiaj. - Utkwił w niej wzrok, starając się nie patrzeć na Erlendura i Elinborg.

- W porządku, Simonie - uspokajała go Mikkelina. - Przyjdę później i z tobą pobędę.

Simon uśmiechnął się, wstał i wolnym krokiem odszedł korytarzem.

- Hebefrenia - powiedziała Mikkelina.
- Hebefrenia? - zapytał Erlendur.
- Nie mieliśmy pojęcia, co mu dolega - powiedziała Mikkelina. - Jakoś po prostu przestał się rozwijać. Pozostał tym samym czułym, dobrym chłopcem, ale jego

rozwój psychiczny nie nadążał za rozwojem fizycznym. Hebefrenia to jedna z odmian rozpadu osobowości. Simon jest jak Piotruś Pan. Czasem ma to związek z dojrzewaniem płciowym. Ale może już wcześniej był chory. Zawsze był wrażliwy, a po tych tragicznych wydarzeniach zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością. Zawsze żył w strachu i czuł wielką odpowiedzialność. Uważał, że jego obowiązkiem jest zapewnienie naszej matce bezpieczeństwa. Po prostu dlatego że nikt inny tego nie mógł zrobić. Był najstarszy i najsilniejszy, choć niewykluczono, że tak naprawdę był najmłodszy i najsłabszy.

- Czy od dzieciństwa przebywał w tego typu zakładach? - spytała Elinborg.

- Nie, mieszkał ze mną i z mamą, dopóki nie zmarła. Umarła, zaraz, dwadzieścia sześć lat temu. Pacjenci tacy jak Simon są bardzo układni, najczęściej czuli i grzeczni, ale wymagają ciągłego zainteresowania, a ona mu je zapewniała aż do samej śmierci. Zarabiał na siebie jako śmieciarz i w zieleni miejskiej, kiedy tylko był w stanie. Zbierał śmieci specjalnym szpikulcem. Przemierzał Reykjavik wzdłuż i wszerz i liczył śmieci, które wkładał do worka.

Umilkła. Siedzieli w milczeniu.

- Czy David Welch nie kontaktował się z wami potem? - spytała Elinborg.

Mikkelina spojrzała na nią.

- Mama czekała na niego aż do śmierci - odparła.  
- Ale nigdy się nie pojawił.

Znowu umilkła.

- Dzwoniła do niego tamtego ranka, kiedy wrócił mój ojczym, z gospodarstwa w Gufunes - odezwała się w końcu. - I rozmawiała z nim.

- Ale? - spytał Erlendur. - Dlaczego w takim razie nie zjawił się u was?

Mikkelina uśmiechnęła się.

- Już się pożegnali - odparła Mikkelina. - Wyjeżdżał do Europy. Jego okręt odpływał tego ranka, a ona nie dzwoniła do niego po to, żeby mu powiedzieć o niebezpieczeństwie, które jej zagraża, ale po to, żeby go pożegnać i powiedzieć, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Powiedział, że wróci. Pewnie zginął na wojnie. Nigdy nie miała o nim żadnych wieści, ale kiedy nie wrócił po wojnie...

- Ale dlaczego...

- Myślała, że Grimur go zabije. Dlatego przyszła do domu sama. Nie chciała go prosić o pomoc. Uważała, że to jej sprawa.

- Przecież on musiał wiedzieć, że pani ojczym wyszedł z więzienia i że nie da się ukryć romansu z jego żoną - zauważył Erlendur. - Pani ojczym musiał coś o tym wiedzieć, coś słyszeć.

- Oni chyba nie zdawali sobie z tego sprawy. Bardzo ukrywali swoją miłość. Nie wiemy, w jaki sposób dowiedział się o tym mój ojczym.

- A dziecko...?

- Nie wiedzieli, że matka jest w ciąży.

Erlendur i Elinborg nie odzywali się przez chwilę. Zastanawiali się nad słowami Mikkeliny.

- A Tomas? - zapytał wreszcie Erlendur. - Co się z nim stało?

- Tomas nie żyje. Dożył zaledwie pięćdziesięciu dwóch lat. Dwukrotnie się rozwodził. Miał troje dzieci, chłopców. Nie mam z nimi żadnego kontaktu.

- Czemu? - dopytywał się Erlendur.
- Był podobny do swego ojca.
- W jakim sensie?
- Miał koszmarne życie.
- Jak to?
- Stał się taki jak jego ojciec.
- To znaczy...? - Elinborg spojrziała zaciekawiona na Mikkelineę.
- Brutalny. Bił swoje żony. Bił swoje dzieci. Pił.
- A jego związek z pani ojczymem? Czy...?
- Tego nie wiemy - przerwała jej Mikkelinea. - Ale nie sądzę. Mam nadzieję, że nie. Staram się o tym nie myśleć.
- Co pani ojczym chciał powiedzieć przez to, co wykrzyczał z grobu? „No, dawaj!” Czy prosił o pomoc? A może o litość?
- Bardzo dużo na ten temat rozmawiałyśmy, mama i ja. Mama miała na ten temat pewną teorię. Jej ona wystarczała i mnie wystarcza.
- Jak to teoria?
- On wiedział, kim jest.
- Nie rozumiem - zainteresował się Erlendur.
- On wiedział, kim jest, i myślę też, że gdzieś w głębi duszy znał powód, dla którego akurat tak się zachowuje, choć nigdy go nie wyjawiał. Wiemy, że miał trudne dzieciństwo. Ale kiedyś przecież był małym chłopcem i z pewnością coś go jeszcze z tamtym chłopcem wiązało, coś w głębi jego duszy musiało krzyczeć. Nawet wtedy, kiedy był w najpodlejszym nastroju i kompletnie nie panował nad swoim gniewem, tamten chłopiec krzyczał mu w duszy, by przestał.
- Pani matka była wyjątkowo odważną kobietą - powiedziała Elinborg.



- Mogę z nim porozmawiać? - spytał Erlendur po krótkiej pauzie.

- Z Simonem? - spytała Mikkalina.

- Tak. Mogę pójść do jego pokoju? Sam?

- On nigdy nie mówił o tamtych wydarzeniach. Przez cały ten czas ani słowa. Mama uważała, że najlepiej, jeśli będziemy zachowywać się tak, jakby to się nigdy nie stało. Po jej śmierci usiłowałam nakłonić Simona, by się otworzył, ale szybko doszłam do wniosku, że to beznadziejne. Zupełnie jakby jego wszystkie wspomnienia zaczynały się po tym wydarzeniu. Jakby wszystko inne zniknęło. Choć czasem zdarza mu się powiedzieć jakieś pojedyncze zdanie, jeśli na niego naciskam. A poza tym jest zupełnie zamknięty w sobie. Należy do zupełnie innego, spokojniejszego świata, który sam sobie stworzył.

- Nie ma pani nic przeciwko temu? - nalegał Erlendur.

- Jeśli o mnie chodzi, to nie - zgodziła się Mikkalina.

Erlendur wstał, wyszedł do holu i na korytarz prowadzący do pokoi. Większość drzwi była otwarta. Zauważył Simona siedzącego w swoim pokoju na łóżku, patrzącego w okno. Erlendur zapukał w drzwi, a Simon odwrócił się do niego.

- Mogę przy tobie usiąść? - zapytał Erlendur.

Czekał, aż tamten pozwoli mu wejść do pokoju.

Simon patrzył na niego przez chwilę, po czym skinął głową i znów skierował wzrok za okno.

Przy niedużym biurku w pokoju znajdowało się krzesło, ale Erlendur usiadł na łóżku obok Simona. Na biurku stało kilka fotografii. Erlendur rozpoznał Mikkalinę i pomyślał, że starsza kobieta na jednym ze zdjęć może być ich matką. Sięgnął po to zdjęcie. Kobieta siedziała na krześle przy kuchennym stole, ubrana w nylonowy

kwiaciasty fartuch, i uśmiechała się tajemniczo do obiektywu. Simon siedział obok niej, wyraźnie pękając ze śmiechu. Zdjęcie było chyba zrobione w kuchni Mikkeliny.

- Czy to jest twoja matka? - spytał Erlendur Simona. Simon spojrział na zdjęcie.

- Tak. To mama. Ona nie żyje.

- Wiem.

Simon znów zapatrzył się w okno, a Erlendur odłożył fotografię na biurko. Siedzieli chwilę w milczeniu.

- Na co patrzysz? - spytał Erlendur.

- Mama mówiła mi, że wszystko jest w porządku - odparł Simon, wciąż patrząc w okno.

- Wszystko jest w porządku - potwierdził Erlendur.

- Nie zabierzesz mnie?

- Nie, nigdzie nie mam zamiaru cię zabierać.

Chciałem się tylko z tobą spotkać.

- Może zostaniemy przyjaciółmi?

- Na pewno - odparł Erlendur.

Siedzieli w milczeniu. Teraz obaj patrzyli w okno.

- Miałeś dobrego ojca? - spytał nagle Simon.

- Tak - odpowiedział Erlendur. - Był dobrym człowiekiem.

Znów umilkli.

- Opowiesz mi o nim? - poprosił w końcu Simon.

- Tak, kiedyś ci o nim opowiem - obiecał Erlendur. - On...

Urwał.

- Co?

- Stracił syna.

Znowu patrzyli w okno.

- Jest tylko jedna rzecz, której chciałbym się dowiedzieć - powiedział Erlendur.

- Co takiego? - zapytał Simon.
- Jak miała na imię?
- Kto?
- Twoja mama.
- A dlaczego chcesz wiedzieć?
- Mikkeline dużo mi o niej opowiadała, ale nigdy nie powiedziała, jak jej było na imię.
- Margret.
- Margret.

W tym momencie w drzwiach pokoju pojawiła się Mikkeline. Kiedy Simon ją zauważył, wstał i podszedł do niej.

- Przyniosłaś mi porzeczkę? - spytał. - Czy przyniosłaś mi porzeczkę?
- Przyniosę ci je jesienią - uspokoiła go Mikkeline.
- Jesienią. Wtedy przyniosę ci porzeczkę.

## 30.

W tym samym momencie mała łza pojawiła się w oku Ewy Lind leżącej bez ruchu w ciemnościach na OIOM-ie. Stawała się coraz większa, aż zamieniła się w dużą kroplę, która spłynęła po policzku, pod maskę tlenową i na wargi dziewczyny. Kilka minut później Eva Lind otworzyła oczy.